★ Ewangelia według Dostojewskiego i Tołstoja
★ Skandalu w Leśmierzu część druga
★ Na drewnianym bruku i w błocie ★ Dralnia
★ Robert Gluth o samobójcach
★ Rock — Szok!

Łódź

# Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 1 (1345) ROK XXVII 7 STYCZNIA 1984 ROKU CENA 15 ZŁ

## Cienko, z dołu i po porządku...

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Sezon zbliżał się ku końcowi. Pozostało chyba jeszcze pięć, może sześć sobotnich dni. I adieu — aż do wiosny.

On był dobry. Mocny. Szedł jak burza przez wiele letnich tygodni. Parę razy przychodził pierwszy o kilka długości. Bez wysiłku. Bez przepychanki na ostatnim. Życzliwi twierdzili, że i na koniu prosto ze szpitala by wygrał. Złośliwi, wytykali parę przypadków, gdy przepadał o łeb o pół długości. Udowadniali wręcz, że musi ściemniać, nie ma siły. A że stary wyjadacz, to i komisja techniczna nic nie zauważy. Wściekli, bo przecież obstawiali na niego. I co im z tego, że był w czołówce, że przegrał o końskie nozdrza. Dla niego to może i satysfakcja jakaś. Ale miał wygrać!...

A on mieszał ile wlezie. Żmudne kombinacje konkurentów z siodła brały w łeb, fuksy wychodziły takie że i „rachuba" za głowy się łapała. Nawet na porządek ciężko go było trafić, a cóż dopiero mówić o porządnej trupie! Siada taki drań na „trupa", co te ledwo pod doświadczonymi kandydatami nogami powłóczy i jakimś cudem pierwszy przychodzi. No i bądź tu mądry i graj...

Był w szkole. I to na dobrą sprawę już trzeci sezon. Tylko czasu na rozmowę nie mógł od paru tygodni znaleźć. Przynajmniej tak twierdził zasłaniając się dla odmiany treningiem zmęczeniem lub gonitwami. Dziś postanowiłem nie „rezygnować" do końca, przeczekać te kilka biegów.

* * *

Od czasu szkolnych niepowodzeń w „cymbergaju" hazardowe szranki jakoś mnie nie wciągały. Nie wspominając kilku prób ratowania studenckiego budżetu, samobójczych prób, bowiem sprowadzających się do obstawiania w „trzy karty" na bazarze. Zawsze z identycznym

13

## Wróżka czytaj strona 10

Wracamy do tematu: „Życie na stoku" (1)

## „Bałbym się powrócić do ludzi..."

WACŁAW OPACKI

Dnia 31 stycznia 1983 r. Sąd Wojewódzki w Łodzi ponownie rozpatrywał sprawę Krzysztofa Sołtysiaka. Uznał oskarżonego winnym zarzucanych mu przestępstw i skazał na karę śmierci.

Dnia 13 maja 1983 r. rewizję od wyroku rozpatrywał Sąd Najwyższy Izba Karna, który utrzymał w mocy zaskarżony wyrok.

Potem kilka miesięcy trwało postępowanie ułaskawieniowe, które niezależnie od woli skazanego toczyłoby się także z urzędu. Akta wróciły do Sądu Wojewódzkiego, który wydał opinię. Potem trafiły do Sądu Najwyższego, który wydał opinię. Akta trafiły w końcu do Prokuratora Generalnego PRL, który nie związany opiniami sądów obydwu instancji przedstawił 13 września 1983 roku ostateczną opinię Radzie Państwa.

Dnia 13 września 1983 roku Rada Państwa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej podjęła uchwałę, w której zdecydowała ostatecznie już o losach Krzysztofa Sołtysiaka, znanego powszechnie w Łodzi jako „wampira".

Rada Państwa nie skorzystała z prawa łaski.

Potem tajny obieg korespondencji, przerażający swoją beznamiętnością, nie dopuszczającą jakiejkolwiek wieloznaczności. Zawiadomienia, zarządzenia wykonawcze.

Dnia 11 października 1983 roku wyrok został wykonany — przez powieszenie, tak jak przewiduje kodeks karny wykonawczy.

Zbrodnie zostały ukarane! Ukarane?

### COFNIJMY SIĘ W CZASIE

Areszt Śledczy Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Łodzi. Cela, w której łóżko, krzesło... Świat życia i wolności zamknięty w czterech ścianach. W osiemnastym dniu po aresztowaniu chcąc zdjąć z siebie odium ludzkiego przekleństwa, pisze stąd list:

*„Kochani rodzice! Pozdrawiam was gorąco i życzę szczęścia. Nie martwcie się o mnie i proszę was gorąco już na początku, nie wydawajcie pieniędzy na adwokatów. Wam one się przydadzą, a mi to nie pomoże. Nie chce mi się już żyć. Myślę wciąż o śmierci, co dziwne — czekam na nią w spokoju. Pogodziłem się już z tym. Nie chcę żyć. Bałbym się powrócić do ludzi. nie mógłbym nikomu spojrzeć w oczy, tym bardziej wam, którzy dali mi życie*

6

# Przegląd prasy

Byłoby interesujące, gdyby „wypełnione kupony życzeń" nadesłano do redakcji Można byłoby przekonać się, kto i co komu życzy, a winę za te życzenia zwala całkowicie i wyłącznie na „Tu i Teraz", bo ono pod tymi życzeniami się podpisało.

Ja też nie będę oryginalny i będę życzył Czytelnikom, aby 1984 był lepszy od 1983 i gorszy od 1985, czego sobie też życzę.

„POLITYKA" (nr 52 z 24 grudnia 1983 r.) przynosi

## KLAPS DLA FILMOWCÓW

Co prawda tych klapsów jest kilka, bowiem rozmówcą prezesa Stowarzyszenia Filmowców Polskich, Janusza Majewskiego jest Zdzisław Pietrasik, który nie bywa w takich wypadkach człowiekiem zbytnio grzecznym i zadaje kłopotliwe pytania i domaga się na nie wyraźnych odpowiedzi. Może to i lepiej, bo — jak przyznaje to Janusz Majewski — niektórzy Polacy *„nie chodzą w ogóle na filmy polskie"*, bo przy okazji takiej rozmowy można dowiedzieć się, czy w polskim kinie będzie lepiej? Janusz Majewski nie daje jednoznacznej odpowiedzi, ale nie odbiera też nadziei:

— *„Jak by się ktoś uparł* — powiada — *to mógłby udowodnić, że właściwie to nic od nas nie zależy. A my właśnie chcemy, żeby dużo od nas zależało?"*.

Przepisuję tak, jak zostało wydrukowane, chociaż mam wątpliwości, czy na końcu tego cytatu powinien być znak zapytania, czy nie bardziej pasowałby wykrzyknik. Widać, że i w „Polityce" mają kłopoty z korektą! (Wykrzyknik w tym miejscu jest jak najbardziej uzasadniony).

W tymże samym numerze „Polityki" Krzysztof T. Toeplitz obnaża *„Anatomię zjazdu"* i zwraca uwagę, że SFP jest jedynym stowarzyszeniem twórczym, któremu udało się zachować ciągłość i które nie zostało rozwiązane, choć tendencje likwidatorskie były. Środowisko filmowców jest dokładnie podzielone, a on wyróżnia następujące grupy: Andrzej Wajda — a należy się domyślać: i jego zwolennicy — który uważa, że jego polityka miała poparcie, a poniósł jedynie porażkę na skutek *„niekorzystnego działania administracji filmowej i okoliczności historycznych wyższego rzędu"*, grupa *„fundamentalistów"*, która wszystko wokół siebie widzi w *„kategoriach walki dobra ze złem, przy czym walka ta toczy się głównie w rejonach moralnych"*, grupa centrowo-pragmatyczna, która widzi *„nieoczekiwane szanse przed SFP"* i pokłada nadzieje w przygotowywanej reformie kinematografii: grupa radykalna, która deklaruje współpracę, ale domaga się dla siebie *„prawa do odmiennych, własnych ocen ideowo-politycznych tego, co dzieje się w środowisku"*: na koniec reszta, czyli *„masa członków Związku"*, która chce, aby ZG zajął się *„interesami zawodowymi i socjalnymi filmowców"* i ona za 4 lata *„oceni skuteczność działań zarówno nowego Zarządu, jak i administracji filmowej"*.

Zdaniem K T Toeplitza osiągnięto porozumienie, z czego wcale nie wynika, że można

## REDAKCJE MIAŁY KŁOPOT ZE ZŁOŻENIEM ŻYCZEŃ

Bo i czego tu życzyć Czytelnikom w tych trudnych czasach, aby było oryginalne, a nie sztampowe i aby ludzie to zaaprobowali. Wpadły więc redakcje na różne pomysły Jedni poszli po najmniejszej drodze oporu, jak choćby „Odgłosy", „Karuzela" i „Argumenty" i życzyli po prostu: *„Wesołych Świąt"*. „Szpilki" chciały też prosto, ale i bardziej oryginalnie życzyły więc: *„Szczęśliwszych i weselszych!"*, „Życie Literackie" i „Przegląd Tygodniowy" postanowiły przy okazji życzeń upiec również swoją pieczeń i życzyły: „ZL" — *„Miłych, pogodnych Świąt z „Życiem Literackim"..."*, „PT" — *„Tym, którzy nas czytają i tym, którzy nas jeszcze nie czytają więcej serdeczności wokół..."* „Tygodnik Kulturalny" poszedł w kierunku spełnienia marzeń i życzył: *„Wszystkim i każdemu z osobna takich Świąt, o jakich marzą..."*. Podobną linię przyjęła „Polityka": *„... i innych osiągnięć życzy Czytelnikom świątecznie i noworocznie Redakcja"*, przyłączając się tym do indywidualnych życzeń każdego z nas. Tak samo, choć inaczej postąpiło „Tu i Teraz": *„Przyjaciołom i wrogom . . . . . życzy Redakcja"*. W miejsce wykropkowane każdy mógł sobie wpisać co w jego imieniu ma jego przyjaciołom i wrogom życzyć redakcja „Tu i Teraz".

Nazbierało się trochę zaległych lektur, jako że numer świąteczny „Odgłosów" pozbawiony był przeglądu prasy, a i ukazał się w połowie przedświątecznego tygodnia, a po nim nastąpiła tygodniowa przerwa. Numery świąteczne innych pism były obfite w ciekawe artykuły, choć nie wszystkie redakcje zdecydowały się na wydanie numerów podwójnych. Było więc co poczytać, ale też nie wszystkim starczyło na to czasu, bo to przecież obyczaj każe albo samemu iść w gości, albo gości u siebie przyjmować A po takim goszczeniu głowa boli i spać się chce.

Będzie więc to przegląd prasy trochę nietypowy, bo nie wszystko, co było warte przeczytania i odnotowania zdołam Czytelnikowi przekazać, sygnalizując raczej sprawy i publikacje warte zauważenia. Zacznę ten poświąteczny przegląd od uwagi, że niektóre

z istniejącymi po-
em *„niezbędne jest*
*ntycznych różnic*
*apatrywań, jakie*
*ędzy poszczególny-*
*udzi, szacunek dla*
*działania bez u-*
*niesugerowanie się*
*pozorami, że nie*
*oczywistej konie-*
*romisu"*.
szacunek dla we-
spraw środowisk
ale chciałbym
ważyć, że wszelkie
zukiwania kompro-
alej nie powinny
otrzeb widza kino-
po prostu oczekuje
u, żeby i pośmiać
odpocząć i nauczyć
eby to mu też pomo-
ej ocenić jego współ-
czesność. Jeśli więc to wszystko
ku temu zmierza, to można tylko zawołać: Tak trzymać! Ale o skutkach tego przekonamy się już niedługo w kinach.

„PRZEGLĄD TYGODNIOWY" (nr 52 z 25 grudnia 1983 r.) przynosi rozmowę Krzysztofa Drozdowskiego z autorem książki *„Znak cichociemnych"* Przemysławem Bystrzyckim. Jest to

## ROZMOWA O LOSACH KSIĄŻKI

która została wydana, a której faktycznie nie ma, gdyż rozeszła się nim się na półkach księgarskich ukazała. Powstała ta książka w 1958 roku, *„wędrowała po wydawnictwach — zwiedziła ich osiem czy dziewięć, a w samym Wydawnictwie Poznańskim"* była trzy razy. Ukazała się dopiero teraz. Ale, żeby było śmieszniej do Poznania... nie dotarła.

—*„Nie rozumiałem i do dzisiaj nie rozumiem, czy jest to jakaś forma bojkotu czy też brak kontroli nad rozprowadzaniem.* — mówi P. Bystrzycki. — *Jeżeli w makroregionie wielkopolskim, składającym się z czterech województw, otrzymano tylko 380 egzemplarzy tej książki, a — jak mnie poinformowano w Domu Książki — ani jeden egzemplarz nie został skierowany do sprzedaży w Poznaniu, w mieście gdzie żyję, to coś jest chyba nie w porządku"*.

Ale, żeby jeszcze było śmieszniej, w tymże Poznaniu ukuto historyjkę, że *„autor wykupił cały nakład skierowany do Poznania, 380 egzemplarzy, i nimi dysponuje"*.

Tylko, że mnie nie jest śmiesznie. Na płacz mi się raczej zbiera, gdy pomyślę, że taki los spotyka nie tylko tę jedną książkę. Albo to całkowita nieudolność, albo komuś to przeszkadza?

Skoro już wspomniałem o śmiechu, to

## POŚMIEJMY SIĘ RAZEM Z FRANCISZKIEM KASZAKIEM

który w tymże „Przeglądzie Tygodniowym" zachwyca się felietonem Jerzego Putramenta z cyklu „Wołomin" drukowanym w „Literaturze". Tytuł felietonu: *„Jak Piekarski (Maciej) na mękach"*, a felieton traktuje o eksplozji erotyzmu w naszej prasie.

*„Najbardziej* — pisze F. Kaszak — *dostało się, i słusznie, nam, tj. „PT", za Kalibabkę. Ja wiem, że można się głupio tłumaczyć, jakoby nie nasza była wina (he, he), że taki typ grasował parę lat po Polsce, my przecież tylko opisujemy fakty, podobnie jak przecie to nie Jerzy Putrament wymyślił narkomanię, prostytucję nieletnich czy odchylenia seksualne Elvisa Presley'a"*.

Dostało się też i innym.

*„Słusznie nazwani więc* — pisze dalej F. Kaszak — *jak zapomniałem zaznaczyć, czołowym organem wołomińskim, ale kulturalnym, kulturalnym organem — bo surowy, ale i sprawiedliwy jest Jerzy Putrament w rozdzielaniu ocen — z tym większą więc radością przyjąłem schlastanie przez Katona z ulicy Koszykowej łódzkich „Odgłosów"* (*„bodaj Odgłosy"*). *Gassa Andrzeja („podobno ceniony dziennikarz" he, he, ciekawe przez kogo, dobre!), „niejakiego" Wilmańskiego i „ignoranta" Piekarskiego („Macieja", bardzo dobre!). Tylko prasa śląska, osobliwie tygodnik „Tak i Nie", oraz „Rzeczywistość" potraktowane zostały łagodniej, bo bez przymiotników. Widocznie zasłużyły. A, nie, byłbym zapomniał, jeszcze Brandys Kazimierz. Zgłupieć można z takiego melanżu"*.

Jest jeszcze i o „Odgłosach" i Danielu Passencie. F. Kaszak pisze:

*„Więc Daniel Passent skrytykował silnie Zbigniewa Nienackiego za powieść „Raz w roku w Skiroławkach", drukowaną w odcinkach przez „Odgłosy" nieszczęsne, oj, kiepsko tam się coś dzieje. Teraz, kiedy skończył się im Nienacki, drukują, również w odcinkach, reportaż (?) pt. „Milcz, kiedy cię gwałcą"."*

Franciszkowi Kaszakowi chciałbym wyjaśnić, że wcale „Odgłosy" nie są takie nieszczęsne i że szykują nową niespodziankę dla swych Czytelników. Na ich życzenie zresztą.

W świątecznej „KARUZELI" (nr 24 z 31 grudnia 1983 r.) KaBe rozmawia ze Zbigniewem Nienackim o tym,

## CO BYŁO W WALIZCE PANI ALDONY O SZCZUPŁYCH POŚLADKACH

—*„Po starej znajomości* — odpowiada na to pytanie Z. Nienacki — *wyjawię panu w zaufaniu, ale pod warunkiem, że nie dowie się o tym redaktor „Tu i Teraz" Koźniewski..."*.

Wszakże, nim spełnił zamiar powiedział parę innych rzeczy. Otóż mianowicie to, że książkę „Raz w roku w Skiroławkach" wydaje „Pojezierze", że książka ukaże się niebawem. Tu mogę dodać od siebie, że to niebawem może oznaczać albo w styczniu 1984, w co nie wierzę, albo w drugiej połowie 1984 roku, co wydaje się bardziej prawdopodobne. Dalej Zbigniew Nienacki mówi o swojej książce, że jest to *„w gruncie rzeczy powieść wyłącznie dla młodzieży, której już nic nie jest w stanie zgorszyć"*. Tak sobie obaj panowie gadają o tym i o owym, a głównie o książce „Raz w roku w Skiroławkach", a KaBe ciągle swoje: *„a co było w tej walizce?"*. Tu muszę przypomnieć Czytelnikom, że pani Aldona, gdy przyjechała do malarza Porwasza, to przywiozła walizkę pełną przyrządów miłosnych W końcu KaBe nie wytrzymał: *„niechże pan powie wreszcie, co było w tej walizce!"*.

— *Powiem, ale na ucho"* — zdecydował się Z. Nienacki.

— *„O rany, Ale numer!"* — wykrzyknął wysłuchawszy go KaBe.

LUCJAN BOGUSZ

# Minął tydzień

## CO NAM PRZYNIESIE NOWY ROK?

— zwykliśmy się zastanawiać z początkiem każdego nowego roku. Czy będzie lepiej? Czy uda się przezwyciężyć nasze trudności i kłopoty? Czy nastąpi odprężenie w sytuacji międzynarodowej, a to oznacza życie w pokoju? Ponoć w USA w jednym z uniwersytetów, tam gdzie dokonano rozbicia jądra atomu, istnieje zegar atomowy, który pokazuje jak blisko do jądrowego konfliktu. W czasach zimnej wojny zegar ten pokazywał 2 minuty do 12, w czasach odprężenia 7 minut, dziś 3 minuty. Żyjemy więc ciągle na granicy konfliktu i katastrofy. Czy rok 1984 wpłynie na odsunięcie się wskazówek atomowego zegara od godziny 12, choć tylko na jedną minutę?

## POWIEŚĆ „RAZ W ROKU W SKIROŁAWKACH" WRÓCI DO „ODGŁOSÓW"!

W święta przebywał w Łodzi Zbigniew Nienacki. Szef „Odgłosów" spotkał się z pisarzem. Jak się dowiedziałem, rozmowa podczas spotkania upłynęła w przyjemnej atmosferze. Przedmiotem rozmowy była możliwość publikowania w „Odgłosach" fragmentów drugiego tomu powieści „Raz w roku w Skiroławkach".

— **Możliwość taka rysuje się poważnie** — powiedział szef. Obiecał dalsze szczegóły za tydzień. Proszę więc czekać i mieć nadzieję.

## TELEFONY W ŁODZI

misły znacznie lepiej pracować po włączeniu nowej centrali „E-10" w śródmieściu. Istotnie, obecnie jest znacznie lepiej niż było po wprowadzeniu sześciocyfrowych numerów, ale ciągle jeszcze nie tak dobrze jak obiecywano. Telefony dawnej „czwórki" i „ósemki" wróciły do stanu sprzed przełączenia, czyli sprzed 26 listopada 1983 roku, natomiast z połączeniem się z telefonami dawnej „dwójki" i „trójki" są duże kłopoty. Jeśli uzyskanie sygnału nawet w czasie szczytu telefonicznego w ciągu dnia nie sprawia już nadzwyczajnych kłopotów, to sprawia je trudność w połączeniach z innymi numerami zaczynającymi się na: 43, 32, 33, 78.

## TYGRYS W M-5

Zbigniew Nalepka — jak donosi w „Polityce" Dobrochna Kędzierska — mieszkaniec Włocławka, pracownik „Azotów", doszedł do wniosku, że skoro ludzie hodują w domach psy, koty, papugi, kanarki i różne inne zwierzątka, to on może trzymać sobie... tygrysa. Kiedy do „Azotów" przybyli I sekretarz KW PZPR we Włocławku oraz wojewoda włocławski, aby odpowiadać na pytania załogi, zapytał z miejsca: **„Chcę w domu hodować tygrysa, gdzie mogę uzyskać na to zgodę?"**. Ponieważ pytanie nie dotyczyło ani spraw ideologicznych, ani politycznych, odpowiedzieć na nie musiał wojewoda. Doszedł on do wniosku, że odpowiedź na to pytanie leży w kompetencji prezydenta Włocławka. Prezydent odesłał zainteresowanego do Wydziału Rolnictwa Urzędu Miejskiego. I tu się zaczęło.

Nie ma bowiem żadnych przepisów, które mogłyby stać się podstawą dla udzielenia zgody na prośbę Zbigniewa Nalepki. Zwrócono się po radę do dyrekcji ZOO w Płocku i w Warszawie. Z Płocka odpowiedziano, że owszem były pytania o możliwość hodowania tygrysów w domu, ale dyrekcja odradza serdecznie, gdyż to drogie i niebezpieczne. Chętnie weźmie tygrysa do ZOO i może nawet zafundować tabliczkę z napisem, że ten i ten tygrys jest własnością tego i tego pana.

Odpowiedź z Warszawy była bardziej wyczerpująca. Składała się z 10 punktów. 1. Tygrys cuchnie. 2. Zjada dziennie do 8 kg mięsa, co daje miesięcznie ćwierć tony. 3. Dziennie wydala tyle, ile zjada. 4. Siusia prostopadle do 1,5 m wysokości. 5. **„Musi jeść witaminy i ktoś musi go leczyć"**. 6. Mieszkanie w wieżowcu nie jest odpowiednie do trzymania tygrysa. 7. Tygrys nawet nieduży może rozwalić paździerzowe drzwi i wyjść sobie na spacer. 8. Skacze do 6 metrów i może wyskoczyć przez okno. 9. Parę uderzeń łapą może zabić człowieka. 10. Co zrobi Urząd Miejski we Włocławku, jeśli Z. Nalepka ma już w domu małego tygryska?

Opinie podzieliły się. Weterynarze nie widzieli problemu. Byłoby oczywiście lepiej, gdyby Z. Nalepka był właścicielem domku z ogrodem i dobrym ogrodzeniem. Ale nie był. Mieszka na 9 piętrze wieżowca w osiedlu im. Kazimierza Wielkiego. Sanepid był zdecydowanie przeciw. Nigdy nie da zezwolenia. W tej sytuacji Wydział Rolnictwa UM we Włocławku wydał decyzję negatywną, informując, że Zbigniewowi Nalepce przysługuje prawo odwołania się do wojewody.

Byłaby to ciekawostka przyrodnicza ii tylko, gdyby nie fakt, że również w Łodzi parę osób ostatnio zastanawiało się nie, czy nie zafundować sobie tygryska?

A. B. SEKATOR

# Odznaczenia dla naszych kolegów

*Foto: Mirosław Zajdler*

W 35 rocznicę Kongresu Zjednoczeniowego partii robotniczych odbyła się w Klubie Dziennikarza w Łodzi uroczystość wręczenia odznaczeń państwowych dla grupy dziennikarzy i pracowników RSW „Prasa-Książka-Ruch", szczególnie zasłużonych dla naszej instytucji.

Krzyże Kawalerskie Orderu Odrodzenia Polski otrzymali: Janina Lasoń i Zygmunt Foltyński, Złote Krzyże Zasługi — Leokadia Wierczewska, Andrzej Makowiecki i Jerzy Całusiński Srebrne Krzyże Zasługi — Eleonora Gajdka, Zofia Jaros, Lucyna Hoszowska i Jan Dąbrowski, Brązowy Krzyż Zasługi — Grażyna Olechnowicz.

Odznaczonym kolegom składamy serdeczne gratulacje, a zwłaszcza pracownikom naszej redakcji — Janinie Lasoń, emerytowanej wieloletniej sekretarce w „Odgłosach" Zofii Jaros, Grażynie Olechnowicz i Andrzejowi Makowieckiemu, a także Eugeniuszowi Iwanickiemu, który otrzymał Odznakę „Za Zasługi dla RSW".

## W NASTĘPNYCH NUMERACH:

- ROZMOWA W CELI ŚMIERCI
- POWRACAMY DO PROBLEMÓW ZAWARTYCH W REPORTAŻU „REJS W CIENIU ŚMIERCI"
- MAJOWY SNYCERZ
- KTO DBA, TEN MA
- „KRONIKI AKASZY" CIĄG DALSZY
- RECENZJA Z FILMU „POSZUKIWACZE ZAGINIONEJ ARKI"

# Na drewnianym bruku i w błocie

Władysław Reymont przybył do Łodzi w 1896 roku. Wtedy to przeczytał powieść Wincentego Kosiakiewicza, wydaną w Petersburgu w 1895 roku, pod tytułem „Bawełna". Powieść ta oburzyła Władysława Reymonta. Postanowił podjąć ten sam temat. W sześć miesięcy napisał „Ziemię obiecaną", która najpierw drukował w „Kurjerze Codziennym" w latach 1897 i 1898, a w 1899 wydał ją drukiem.

W dwa lata później przybył do Łodzi młody, 16-letni chłopiec. Pochodził z Sulejowa nad Pilicą. Nazywał się Lucjan Rudnicki. Dopiero po drugiej wojnie światowej napisał powieść „Stare i nowe". Opisał w niej Łódź sprzed pół wieku, miasto i ludzi. Opowiedział

## JAK SIĘ WÓWCZAS LUDZIOM ŻYŁO

*„W „blichu" Widzewskiej Manufaktury* — pisał Lucjan Rudnicki — *pięćdziesiąt lat temu pracowali chłopi z bliższych i dalszych okolic, poprzetykani Niemcami, i, mimo, że się zaprzęgli do nowej pańszczyzny, umieli cenić dobrodziejstwo i potęgę maszyny... W owym czasie chłop polski, uciekając od bydlęcej doli, nie tylko nie miał zamiarów maszynoburczych, ale błogosławił maszyny i fabrykanta. Wprawdzie niebogato się żyło rodzinie robotniczej za sto dwadzieścia groszy dziennie, ale w stosunku do bytu na wsi za „pięć czeskich" (trzydzieści groszy) lub co najwyżej za czterdziestkę, zdobywaną dorywczo przy karczowaniu poręby, był to społeczny awans".*

Łódź była wtedy miastem wielonarodowym. Osiedlali się tu Niemcy, Żydzi, Rosjanie, Polacy, a i innych nacji nie brakło. Gdy w 1892 roku badano skład narodowościowy majstrów w łódzkich fabrykach okazało się wtedy, że na 1.045 majstrów tylko 700 zna dobrze język polski i rosyjski, a 256 nie znało ani jednego, ani drugiego. Było wśród nich wówczas 675 Niemców, 247 Polaków, 41 Żydów, 40 Czechów, 17 Francuzów, 10 Szwajcarów, 7 Anglików, 3 Rosjan, 2 Belgów i po jednym Węgrze, Rumunie i Łotyszu. Majstrowie — jak ich charakteryzowały ówczesne dokumenty — byli z natury grubiańscy, przy każdej sposobności okazywali swoją wyższość i władzę, bili małoletnich, stosowali wysokie kary, chętnie brali haracz od robotników, obniżali płace i przedłużali bez powodu dzień pracy i jak tylko mogli wykorzystywali młode robotnice, a odmawiające im lub stawiające opór wyrzucali z pracy.

Dzień pracy trwał od 1897 roku 11,5 godziny z przerwą na śniadanie i obiad. Za niedziele i święta się nie płaciło. Pojęcia urlop robotnik nie znał.

*„Nie mogłem wyprostować się pod ciężarem długów* — pisał Lucjan Rudnicki — *dwanaście rubli — mało go ubywało. Gdy w tygodniu nie było święta, wypłacano mi (...)trzy srebrne ruble i trzy czterdziestki. Było to na całotygodniowe wyżywienie i półtora rubla na dług. Ale stale zdarzały się święta, a Wielkanoc z pięciodniową przerwą do rozpaczy doprowadzała... A tu buty spadają z nóg: dwa i pół rubla. Koszula i podkładki: rubel. A ile drobiazgów!".*

W 1901 roku średnia płaca roczna wynosiła 226 rubli. Niewykwalifikowany robotnik zarabiał tygodniowo 4 ruble 80 kopiejek. Na życie wydawało się tygodniowo 2 ruble 25 kopiejek. Jak się było kawalerem — jakoś się koniec z końcem wiązało i można było od czasu do czasu wypić kwaterkę lub bombę piwa. Ale jak się miało rodzinę?

*„Z czasem jednak* — pisał Lucjan Rudnicki — *zacząłem spostrzegać ciężkie położenie towarzyszy obarczonych rodzinami, widziałem starych robotników, po pięćdziesiątce, usuwanych z pracy przy lada pretekście, dowiadywałem się o faktach wyrzucania innych na bruk bez wymówienia, za to, że byli „za mądrzy". Nie tylko wypadek przy pracy, ale nawet kilkudniowa choroba, urodziny, śmierć — sprowadzały ciężką niedolę z następstwami odczuwalnymi całe lata".*

Najlepiej płacono w fabrykach Karola Scheiblera. Tkacz zarabiał tam tygodniowo 6.70 rubla, prządka i pracujący w bielniku po 6.30 rubla tygodniowo. Jeśli się nie miało rodziny, można już było jakoś gospodarować. Skromnie, bo skromnie, ale coś tam zawsze z tygodnia na tydzień zostawało. Ale na ogół wszyscy dość chętnie zakładali rodziny i wtedy nie było innego wyjścia tylko wszyscy musieli pracować. Dzieci, gdy kończyły 9—10 lat też szły do pracy.

Gdy patrzy się na poszczególne wydatki, to wyglądają one zachęcająco. Funt chleba — 0,40 kg — 4 kopiejki. Funt słoniny — 16—20 kopiejek. Funt wieprzowiny — 11—16 kopiejek. Ale trzeba do tego dodać czynsz — 60 kopiejek oraz światło i opał — 80 kopiejek tygodniowo. Dane te pochodzą z obliczeń dr E. Sonnenberga dokonanych dla Zgierza. W Łodzi mogło być drożej. Przyjmijmy jednak te dane za właściwe i spróbujmy obliczyć to razem. 5 funtów chleba — a być może i więcej go zjadano — 20 kopiejek, funt wieprzowiny tygodniowo — 15 kopiejek, funt słoniny — 18 kopiejek, do tego dochodzi czynsz, światło i opał — 1.40 rubla. Razem: 1,93, co można zaokrąglić do 2 rubli. Ale szczegółowe obliczenia wykazują, że tygodniowe wyżywienie jednej osoby w tym czasie kosztowało 2.25 rubla. Jeśli więc do sumy 2.25 rubla dodamy 1.40 rubla za czynsz, opał i światło wtedy otrzymamy łączny wydatek tygodniowy: 3.65 rubla. Na jedną osobę — podkreślam. Odejmijmy to od najlepszego zarobku — 6.70 rubla, zostaje: 3.05 rubla. Gdy dochodzi następna osoba do wyżywienia pozostanie wtedy 80 kopiejek. Chyba że ta druga osoba też zarabiała, a więc i budżet rodziny układał się już zupełnie inaczej. Tym niemniej trzeba było się liczyć z każdym groszem.

Ot, przychodziła niedziela i chciało się pojechać za miasto. Na przykład do Andrzejowa. Bilet II klasy kosztował 11 kopiejek. Pomnóżmy to przez ilość osób, na przykład 2—22 kopiejki, 3—33 kopiejki i tak dalej. Chodzili więc robotnicy piechotą za miasto, siadali w lesie najbliższym, rozkładali na trawie chusty i serwety, wyjmowali z koszyków kaszankę, pasztetową, kiełbasę, butelki z piwem i gorzałką, pili i bawili się. A to ktoś grał na organkach, a to na harmonii, a to na gitarze lub bałałajce. Gdy słońce chyliło się ku zachodowi wracali wszyscy do domu. Szli grupami, bo nie najbezpieczniej było wówczas chodzić samotnie po Łodzi.

## NAJGORSZĄ SŁAWĘ MIAŁY BAŁUTY

Stefan Gorski w książce „Łódź spółczesna" tak o tym pisze:

*„Chcąc mówić o złodziejach, trzeba zacząć od Bałut. Kiedy się minie północną część Łodzi, tak zwane Stare Miasto, dzielnicę niesłychanie brudną i cuchnącą, zamieszkałą przeważnie przez najmniej zamożną warstwę żydowską, przeszedłszy rzeczkę „Łódkę", wkrótce staje się na przedmieściu zwanym Bałutami. Nazwa ta łączy się z bardzo tragicznymi wspomnieniami, przed kilku laty odgrywających się tu napadów, zabójstw w biały dzień, ćwiczeń nożowych...*

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

*Dziś, nad Bałutami zawisła różdżka pokoju, bezpieczniej można tu przechodzić wąskimi, krętymi uliczkami, niż po Rybakach w Warszawie... Więcej potwornej nędzy, posuniętej do moralnej tragedii, odgrywa się na Bałutach, niźli utarczek ulicznych lub napadów... Wstrząsające sceny miotań duchowych kryją się poza ścianami tych skromnych domków bałuckich...".*

Ale niespokojnie było nie tylko na Bałutach. Niespokojnie było na Chojnach, Widzewie i to nie tylko na początku XX wieku. Długo jeszcze w legendach łódzkich trwały opisy waśni między młodzieżą Widzewa, Bałut i Chojen. Toczono wręcz „wojny dzielnicowe". Straszno było podróżować po Łodzi wieczorem i nocą. Właściciel ziemski z powiatu brzezińskiego, Stanisław Bukowski w lutym 1912 roku ruszał z Łodzi do domu. Zbliżał się wieczór, więc postanowił, *„żeby wcześniej wyjechać z niebezpieczeństw bandyckiego miasta"*. Postanowił też nie jechać *„przez Bałuty po szosie Brzezińskiej, gdzie napadają i grabią"*. Skręcił więc w ulicę Cegielnianą, aby jechać przez Nowosolną. Ale ulica ta była pełna dołów i mimo ostrożnej jazdy wpadli do jednego z nich. Ale to już zupełnie inna historia.

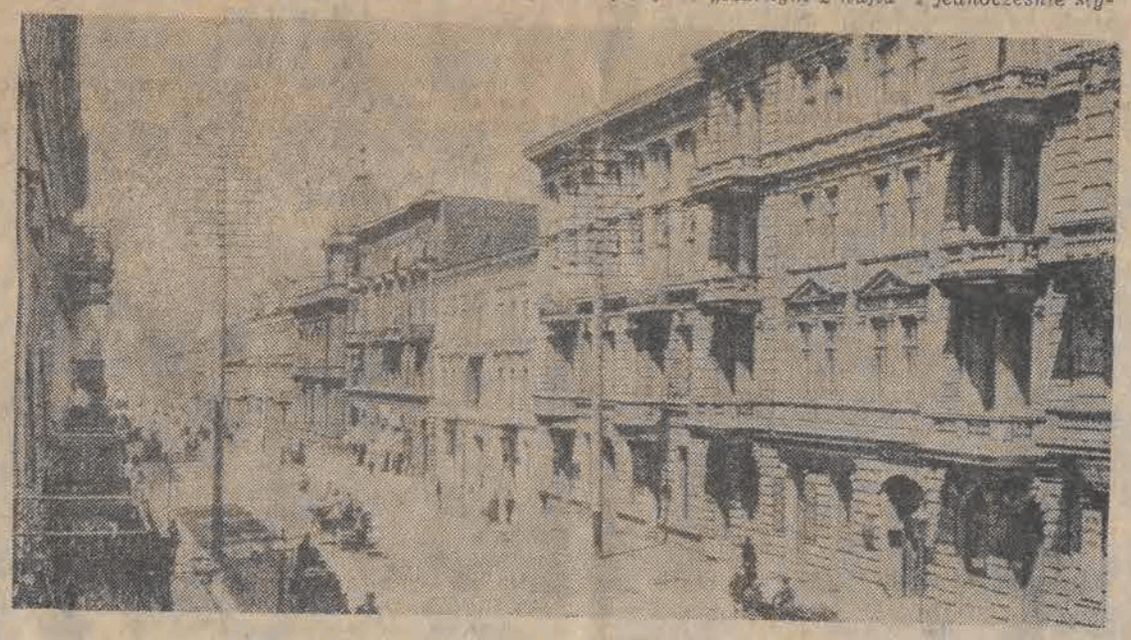

## „ŻYCIA TOWARZYSKIEGO W ŁODZI NIE MA"

— pisał Adolf Starkman. Ale też zaraz zadawał pytanie:

*„...kto właściwie na brak życia towarzyskiego w Łodzi narzeka?"*

I odpowiadał:

*„...korespondenci łódzcy do pism warszawskich i warszawianie, przybywający do bawełnianego grodu na czas krótszy lub dłuższy, a o sposobie życia towarzyskiego mający już cywilizowane pojęcie...".*

Łódź już wtedy — jak nie tylko z tego wynika — była mierzona inną miarą. Starano się porównywać ją do innych miast, które inną miały tradycję, inaczej się rozwijały, inny był tam skład socjalny mieszkańców. Socjalny — powtórzmy i dodajmy: narodowy. Miało to ogromne znaczenie dla dalszego rozwoju miasta.

*„Bajką może się wydać czytelnikowi* — pisał tenże Adolf Starkman — *że ukazanie się cylindra na głowie warszawskiego osobnika wywołuje na łódzkiej ulicy... sensację i uważane jest za... fanfaronadę... niegodną człowieka?"*

Ale też Adolf Starkman — notabene warszawianin, który przyjechał podpatrzyć co się to w Łodzi nie dzieje i opisać to wszystko — chwali ponad wszelką miarę... warszawiaków, szukających w Łodzi lepszej pracy i lepszej płacy.

*„Osiedleni nad Łódką warszawianie* — pisze on — *zaćmiewają w ogóle zamieszkałych tam od dawna lub urodzonych łodzian i pracą, i inteligencją, mimo to napotykają ciągle jeszcze na niechęć ze strony łódzkich pracodawców".*

Nie jest moją rzeczą wnikać w zamierzchłe spory, ale też sygnalizuję, iż „konflikt taki nie jest nowy" i dość kontrowersyjny. Nie mogę też pominąć pewnego incydentu, który ma przecież znacznie szerszą i głębszą wymowę niż tylko niepowodzenie jednego człowieka.

Był w Łodzi — znany wówczas i popularny — poeta i dziennikarz, Artur Gliszczyński. Syn powstańca z 1863 roku, urodzony w 1869 roku. Jego ojciec był urzędnikiem kolei dąbrowieckiej w Radomiu. Artur Gliszczyński był absolwentem Szkoły Handlowej Kornenberga. W Łodzi osiadł w 1893 roku, został urzędnikiem kolei fabryczno-łódzkiej, a później kierownikiem handlowym fabryki maszyn J. Arkuszewskiego. Przez pewien czas związany był z ugrupowaniami socjalistycznymi. Współpracował z pismami łódzkimi i warszawskimi, drukował gdzie tylko mógł. Był uważany za piewcę Łodzi, poetę okolicznościowego, pisywał wierszowane wstępy do programów teatralnych, toasty, różne teksty z okazji imprez kulturalnych i handlowych. W 1900 roku przeniósł się na stałe do redakcji „Wieku", a w 1901 roku opuścił Łódź.

Jan Józef Lipski, w zbiorze dawnych felietonów: „Warszawscy „pustelnicy" i „bywalce", tak pisze o dalszej drodze twórczej Artura Gliszczyńskiego:

*„Jest w tym coś smutnego dla warszawskiego patrioty, gdy musi stwierdzić, iż inne miasto ukształtowało to, co najciekawsze w postaci i twórczości jakiegoś pisarza, podczas gdy powtórny związek ze stolicą nie wniósł istotnych nowych elementów, gorzej: przyniósł obniżenie lotu, z wyjątkiem tych momentów, gdy kontynuował łódzki temat i natchnienie. Ale tak właśnie było z Gliszczyńskim".*

Tylko, że Jan Józef Lipski pisał to na początku lat siedemdziesiątych XX wieku. 84 lata temu traktowano już Łódź jako pustynię kulturalną, a przecież wcale tak nie było. Pod warunkiem, że mierzy się życie kulturalne miasta nie miarą innych miast, ale miarą opartą o realne warunki i potrzeby ówczesnej Łodzi.

*„Czymże więc zadowala ta, tzw. inteligencja łódzka, potrzeby i zachcenia swego umysłu?* — pytał Adolf Starkman. — *Gdzie się chodzi, koncentruje, porusza zagadnienia bytu i rozwija polot ducha i myśli?".*

I odpowiadał na to pytanie:

*„Nie podobna też oprzeć się zdumieniu, gdy w licznych jadło- i piwodajniach łódzkich spotyka się całe falangi młodzieży miejscowej, raczącej się objście „czarnym z kufla" i jednocześnie słyszy biadolenia na nie istniejące tu zgoła życie towarzyskie...".*

W Warszawie „towarzystwo" spotykało się w teatrach, operze, restauracjach, w salonach, na rautach, kwestach, balach. A w Łodzi?

*„...niemal wszystkie tutejsze domy prywatne* — pisze dalej Adolf Starkman — *odgradzają się murem chińskim od życia i świata zewnętrznego; wynika to stąd, że zmaterializowani i rozwielmożeni parweniusze nie tylko nie odmykają na oścież podwojów swoich salonów dla spragnionej ciepła domowego młodzieży, lecz przeciwnie — zamykają je szczelnie na wszystkie spusty...".*

Ale też i inna była inteligencja w Łodzi. Jeśli Warszawa miała swoją cyganerię, pisarzy, rzeźbiarzy, malarzy, poetów, aktorów, ludzi nadających ton życiu kulturalnemu, choć przez „towarzystwo" niekiedy lekceważonych, to Łódź miała przede wszystkim urzędników, kancelistów, handlowców, lekarzy, adwokatów, nauczycieli, a więc ludzi nastawionych pragmatycznie, szukających nie tyle wzniosłych celów, co skutecznego sposobu spędzenia czasu wolnego. Nie przypadkiem właśnie w Łodzi długo nie udawało się stworzyć stałej sceny teatralnej.

## KAŻDY BAWIŁ SIĘ JAK UMIAŁ

i na tle było go stać. Latem bogaci bawili się w Helenowie, „letnim salonie Łodzi".

*„W Helenowie* — pisał Stefan Gorski — *spotkać się można z grotami i wodospadem, z tarasami, łódkami, placem do gier, zwierzyńcem, cukiernią, teatrem i orkiestrą...*

*Jak na park spacerowy, może za dużo wygód i filisterstwa, ale za drogo płacone wejście łodzianin ma w zamian wszystko, na co stać „salon letni" w stolicy królów bawełnianych. W Helenowie ma się wszystko „na miejscu" — jest to typowy park burżuazji.*

*W niedzielę i święta zbiera się tu „doborowa publiczność". Przy stolikach pełno pań i panów, ubranych starannie, „podług ostatniej mody". Wyćwiczona orkiestra przygrywa marzycielskie walce, a stuk kufli towarzyszy, tonom melodii (jest tu od dawna przyjęty zwyczaj, że panie na równi z mężczyznami „bombą" piwa uprzyjemniają letnią rozrywkę ogrodową).*

*Największy ruch w Helenowie panuje w maju i w pierwszej połowie czerwca. Później bogatsza Łódź wyludnia się — jedni wyjeżdżają do Karlsbadu, inni na Riwierę, a także do — „pomarańczowego powietrza" (geografowie krainę tę pospolicie nazywają Włochami). W tym czasie i wielcy przemysłowcy porzucają swe zajęcia, od „interesu" odrywają się bankierzy, wyjeżdżają z rodzinami — używają zagranicy do syta i we wrześniu znowu powracają do pracy".*

A kogo nie stać na Riwierę czy *„pomarańczowe powietrze"*, ten może jechać do Ciechocinka. Bilet III klasy tylko 2.82 rubla (II — 4.23, a I — 7,05 rubla). Ale można jeszcze bliżej. W „Czasie" — kalendarzu na rok 1900 i na rok 1901 do wypoczynku i ratowania zdrowia zachęcał *„Zakład hydropatyczno-leczniczy Chojny pod Łodzią"*, czynny cały rok, dysponujący dwoma lekarzami.

Pozostali pracowali z przerwą tylko na święta, bez urlopu i możliwości wypoczynku. Mieli też swoje rozrywki. Wspomniałem już o wycieczkach za miasto. Wypada jeszcze wspomnieć o „fajce", odbywającej się w każde Zielone Świątki w parku Źródliska. Zjeżdżali się wtedy do Łodzi kramarze, przekupnie, rozkładali swoje kramy, budowano sceny, na których występowali kuglarze i wędrowni aktorzy, grały orkiestry, było wiele różnych atrakcji. Do parku ciągnęli ludzie z całej Łodzi i jej przedmieść. Atrakcją był również doroczny odpust w Łagiewnikach. Zimą czynne były sale tańca, gdzie można było wypić piwo, potańczyć i... oberwać po łbie.

Na początku XX wieku coraz bardziej popularną rozrywką staje się kino. Jest to już rozrywka typowo robotnicza. Kina są czynne bez przerwy od godziny 10 do 23. Pogardza wszakże nimi inteligencja, traktując kino jak jarmaczną rozrywkę dobrą jedynie dla „maluczkich". Ale przecież w Łodzi nadal nie ma stałej sceny.

Próbowano od dawna, ale praktycznie udało się to po części Michałowi Wołowskiemu, który dyrekcję teatru w Łodzi objął w 1895 roku, a opuścił ją — umierając zresztą — w 1900. Jego poprzednik Czesław Janowski szukał ratunku w lekkim repertuarze i to pozwoliło utrzymać się mu na stanowisku dyrektorskim w latach 1890—1895. Michał Wołowski był dyrektorem o jeden sezon dłużej, ale był to sukces większy niż Czesława Janowskiego, bo ograniczył lekki repertuar na korzyść ambitnego i wartościowego. Nie znalazło to jednak wielkiego uznania u łódzkiej publiczności. Nie znalazły też uznania „Wieczory Fredrowskie", z których dochód miał być przeznaczony na rozwój teatru dla robotników. A mimo tych niepowodzeń Michał Wołowski we wrześniu 1898 roku otworzył na Księżym Młynie teatr dla robotników, gdzie grał dokładnie to samo, co dla inteligencji w „Victorii" na ulicy Piotrkowskiej. Mimo powodzenia, po 4 miesiącach teatr na Księżym Młynie zamknięto.

We wrześniu 1901 roku otwarto w Łodzi Teatr Wielki przy ul. Konstantynowskiej 14 (ulica obrońców Stalingradu) wybudowany przez F. Sellina. Teatr miał 1.250 miejsc, a w uroczystości otwarcia uczestniczyli Henryk Sienkiewicz i Henryk Siemiradzki. Wtedy dyrektorem teatru w Łodzi był Henryk Grubiński. Wytrzymał on w Teatrze Wielkim tylko do 1903 roku i powrócił do mniejszej i bardziej opłacalnej „Victorii" przy ul. Piotrkowskiej.

Adolf Starkman narzekał, że *„przy pewnej choć nieznacznej garstce inteligentnej (na ogólną liczbę 300.000 mieszkańców) Łódź nie posiada ani jednej biblioteki publicznej, która by się jednak przydała, ani jednego zbioru muzealnego, ani jednego salonu dzieł sztuki, który by się rozwijał prawidłowo i żywotnie, a istniejące tu teatry bądź co bądź zmuszone są tu stale zerkać w stronę potentatów mamony i protektorów sceny...".*

O bibliotece miejskiej myślano też od dawna, ale z mizernym skutkiem. W 1885 roku próbował założyć taką bibliotekę adwokat Henryk Elzenberg, ale splajtował. Po nim próby takie ponowił inny adwokat — Emil Holc, też z podobnym skutkiem. Czynił takie próby mecenas Adolf Kon. Dopiero w 1898 roku powstała Łódzka Wypożyczalnia Książek Janiny Kaplińskiej i Klaudyny Szopskiej. Początkowo mieściła się ona przy ulicy Dzielnej (ulica Gabriela Narutowicza), a od 1899 roku, kiedy ją kupiła Helena Rogowska, przy ul. Świętego Andrzeja. W 1907 roku przeszła ona na własność sióstr Felicji i Haliny Pieńkowskich i pozostała w ich władaniu do 1939 roku. Biblioteka odegrała w życiu kulturalnym miasta znaczną rolę. Jednym z czytelników w Łódzkiej Wypożyczalni Książek był Julian Tuwim. Z jej księgozbioru korzystał też Lucjan Rudnicki.

Książki można było wypożyczać w... księgarniach. Na przykład księgarnia S. Strakuna tak się reklamowała:

*„Posiada zawsze na składzie: książki szkolne, dziecinne, ilustrowane, słowniki. Przyjmuje prenumeratę na wszystkie dzieła, dzienniki i pisma periodyczne po cenach redakcyjnych. Poleca wypożyczalnie książek polskich, ruskich, niemieckich i francuskich, składające się z kilku tysięcy tomów, ciągle zasilane wychodzącymi nowościami".*

Coraz więcej księgarń w tym czasie występowało o prawo prowadzenia wypożyczalni. Widać z tego, że cieszyły się one powodzeniem.

Ale nie zapominajmy, że Łódź była przede wszystkim miastem analfabetów. Szkół było mało. Postępowała rusyfikacja. Dopiero w 1886 roku utworzono dwa rządowe gimnazja. Były poza tym szkoły prywatne. Wszystko to jednak było mało oraz było prawie niedostępne dla dzieci robotników. Oni na drewniane bruki Piotrkowskiej przychodzili tylko w niedziele, aby obejrzeć niczym w kinie wytworne życie bogatych, na co dzień pozostawała im ciężka praca, błoto i kurz bocznych uliczek.

# Ewangelia według Dostojewskiego i Tołstoja

EDMUND LEWANDOWSKI

Słowo „ewangelia" jest pochodzenia greckiego (euangelion) i dosłownie znaczy *„dobra nowina"* Rozpoczynając swoją działalność w Galilei, Jezus Chrystus głosił: *„Odmieńcie siebie i wierzcie w Dobrą Nowinę"* Tą dobrą, radosną nowiną miała być zawarta w jego nauce koncepcja zbawienia i szczęścia człowieka. A później, od II wieku. terminem „ewangelia" zaczęto określać pisemne relacje o życiu i nauce Jezusa. Pierwsi chrześcijanie znali około 50 różnych relacji tego rodzaju — czyli około 50 ewangelii — z których Kościół katolicki wybrał i uznał za kanoniczne (właściwe, natchnione) jedynie cztery: Mateusza, Marka, Łukasza i Jana. Odrzucono natomiast i uznano za apokryficzne (niepewne, nieprawdziwe) między innymi ewangelie: Piotra, Tomasza, Filipa, Nikodema, Macieja, Barnaby, Hebrajczyków, Nazarejczyków, Egipcjan.

Fiodor Dostojewski (1821—1881) i Lew Tołstoj (1828—1910) nie napisali oczywiście, jak zdaje się sugerować tytuł mego szkicu, żadnej ewangelii. Ale obaj ci wielcy pisarze przedstawili w swoich utworach pewne wizje nawrócenia ludzkości i urządzenia życia społeczno-moralnego według zasad chrystianistycznych. Obaj czuli się powołani do ukazania światu głębokiego sensu doktryny Jezusa i do zdemaskowania błędnych filozofii życiowych. Uważali, że ich chrystologia pozwala zmniejszyć zło i stwarza nadzieję na osiągnięcie szczęścia.

## FIODORA DOSTOJEWSKIEGO APOLOGIA PRAWOSŁAWIA

Dostojewski sądził, że istnienie Boga jest koniecznością moralną. Bez Boga życie człowieka nie miałoby żadnego sensu, ludzie mogliby wtedy robić wszystko, co chcą — dopuszczalne by było wszelkie zło i świat przestałby istnieć. W Boga zatem trzeba w i e r z y ć, ale jego istnienia nie można dowieść, gdyż nasz euklidesowy umysł ograniczony jest do rzeczywistości trójwymiarowej Nie potrafimy przekroczyć przestrzeni i czasu i racjonalnie czy empirycznie wykazać istnienia transcendentnego Boga. Dlatego jesteśmy skazani na wieczne wątpliwości.

Autor „Braci Karamazow" namiętnie pragnął silnej wiary w Boga i równocześnie panicznie bał się argumentów ateistycznych. W znanym i często cytowanym liście do Natalii Fonwizin y zwierzał się:

*„Co do mnie, to powiem Pani, że jestem dziecięciem stulecia, dziecięciem niewiary i zwątpienia dotychczas, a nawet (wiem o tym) do grobowej deski Ileż straszliwej udręki kosztowało mnie i kosztuje nadal pragnienie wiary, które jest w mej duszy tym silniejsze, im więcej we mnie dowodów przeciwnych. Ale też Bóg czyła mi chwile, w których jestem zupełnie spokojny: w takich chwilach kocham i myślę, że jestem kochany przez innych, i w takich właśnie chwilach ułożyłem sobie symbol wiary, w którym wszystko jest dla mnie jasne i święte. (...) Gdyby mi ktoś dowiódł, że Chrystus jest poza prawdą, i rzeczywiście, byłoby tak, że prawda jest poza Chrystusem, to i tak wolałbym pozostać z Chrystusem aniżeli z prawdą".*

Ojciec Paisij, w rozmowie z Aloszą Karamazowem, przyznaje, że w wyniku ostatnich analiz naukowych księgi święte zostały zdewaluowane i niewiele pozostało z ich świętości, lecz naukowcy ci *„rozkładając na cząstki, prześlepili całość"* — zagubili gdzieś istotę sprawy Nauka świecka jest więc ślepa bo nie potrafi dojrzeć najważniejszego. Zbudowany na jej podstawie ateizm jest wątpliwy i niezadowalający. Kiedy ateiści rozprawiają o Bogu — powiada książę Myszkin — to zawsze mówią *„nie o tym"* i prześlizgują się obok sedna problemu.

Pisarza intrygowało jednak, co by się stało, jak wyglądałby świat, gdyby ludzie uwierzyli, że Boga nie ma. Nie wykluczał on takiej ewentualności, że może wtedy ludzie staliby się lepsi. Spekulują na ten temat Iwan Karamazow i Wiersiłow z „Młodzika" Iwan przypuszcza, że negacja Boga przyniesie wywyższenie człowieka; pojawi się *„człowiek-bóg"*, pogodzony z nieuchronnością śmierci i zadowolony z ujarzmiania przyrody, a nie obietnicy szczęścia niebieskiego Wiersiłow z kolei zakłada, że samotność — spowodowana brakiem Boga — zbliży ludzi do siebie i zjednoczy tym nadmiarem miłości, który dotąd kierowali ku Bogu.

*„Ludzie* — czytamy — *pokochaliby ziemię i życie miłością wyjątkową, daleką od poprzednich uczuć, pogłębiającą się w miarę tego, jak zaczęliby zdawać sobie sprawę ze swej nietrwałości i skończoności; dostrzegliby i odkrywali takie tajemnice i zjawiska przyrody, których istnienia nie podejrzewali poprzednio, spojrzeliby na tę przyrodę innymi oczyma, jakimi kochanek patrzy na kochankę; obudziwszy się, padliby sobie w objęcia i kochaliby się wzajemnie w poczuciu, że te krótkie dni — to wszystko, czym rozporządzają. Pracowaliby jedni na drugich i każdy oddawałby wszystkim cały swój majątek i w tym znajdowaliby szczęście"*

Wizja szczęśliwego społeczeństwa ateistycznego wydawała się Dostojewskiemu mało prawdopodobna i kojarzyła mu się z mrowiskiem. Próbę urzeczywistnienia takiego systemu uważał za zbyt ryzykowną i nieodpowiedzialną. Sam był zwolennikiem społeczeństwa chrześcijańskiego którego religijność przejawia się w moralnym życiu. Toteż jego bohaterowie n a ś l a d u j ą Chrystusa ale w zasadzie nie m o d l ą się i nie przyw ązuja wagi do obrzędów kościelnych. W religijności tej najważniejsza jest m i ł o ś ć oraz ogotowość do poświęceń.

W ramach chrześcijaństwa Fiodor Dostojewski uznawał za autentyczne tylko prawosławie. Natomiast zdecydowanie potępiał i odrzucał katolicyzm W protestantyzmie zaś upatrywał jedyne adwersarza katolicyzmu, który wraz z nim przestanie istnieć Katolicyzm, jego zdaniem, przestał już być chrześcijaństwem i staje się bałwochwalstwem a protestantyzm szybko przechodzi w ateizm i zmienne moralizatorstwo Kościół rzymskokatolicki — podkreślał Fiodor Dostojewski — zdradził Chrystusa i uległ pokusom Szatana. Zamiast — wzorem Jezusa — odrzucić, wybrał bogactwo i władzę. W istocie Kościołowi temu Chrystus nie jest potrzebny Dla Kościoła najważniejszą kwestią jest posiadanie władzy nad światem.

*„Papież zagarnął ziemię, tron ziemski i ujął miecz w rękę; od tego czasu wszystko też tak idzie, tylko do miecza dodano kłamstwo, matactwo, oszustwo, fanatyzm, przesądy, łotrostwo, grano na najświętszych, najszczerszych, najbardziej ufnych i płomiennych uczuciach ludu; wszystko, wszystko sprzedano za pieniądze, za podłą władzę świecką. Czyż to nie jest nauka Antychrysta?!"*.

Zamiast dać ludziom wolność, jak to czynił Chrystus, Kościół zniewolił ich przy pomocy trzech sił: cudu, tajemnicy i autorytetu, a ponadto sięgał do przemocy fizycznej. Dlatego katolicyzm jest zaprzeczeniem chrześcijaństwa. Jest nawet gorszy od ateizmu, ponieważ głosi Chrystusa absolutnie fałszywego. Logicznym wytworem katolicyzmu jest socjalizm.

Dostojewski przewidywał, że Kościół katolicki, który odwrócił się od ludu i ukrył przed nim Ewangelię, zmieni front i zwróci się do ludu, aby przekonać go do socjalizmu i komunizmu. Zacznie mianowicie zapewniać, iż *„komunizm jest chrześcijaństwem i że Chrystus właśnie o tym mówił"*. W ten sposób Kościół rzymski jeszcze raz sprzeda Jezusa, jak wielokrotnie czynił to dotąd.

W niedawno wydanym u nas „Dzienniku pisarza" znajdujemy następujące proroctwo:

*„Katolicyzm nie chce umierać, a rewolucja socjalistyczna, nowy socjalistyczny okres społeczny w Europie też jest niewątpliwy; dwie siły niewątpliwie muszą się zgodzić, dwa prądy połączyć w jeden"*.

A z tego połączenia wyniknie coś bardzo groźnego, gdyż socjaliści-chrześcijanie są jeszcze gorsi od socjalistów-ateistów.

Wielki pisarz rosyjski nie był przeciwnikiem socjalizmu w ogóle, lecz krytykował socjalizm ateistów-nihilistów oraz działaczy przeceniających znaczenie przemocy i form mechanicznych. Na przykład o „szatanie" Nieczajewie powiedział: *„Nieczajew to nie socjalista, ale burzyciel, w ideale jego bunt i zniszczenie, a później «obojętne, co będzie»"*. Tak samo, jak prymitywną koncepcję socjalizmu, odrzucał też Dostojewski ustrój kapitalistyczny. W kapitalizmie, według niego, istnieje wolność dla milionerów, natomiast ubodzy nie mają wolności, lecz z nimi bogaci robią co chcą.

Dostojewski popierał socjalizm oparty na „prawdziwym" chrześcijaństwie p r a w o s ł a w n y m. Miał to być system, w którym państwo przeobrazi się w Kościół, a religia będzie k r i e s t i a n s k a j a (ludowa, chłopska). Wprawdzie lud rosyjski nie zna zasad wiary Chrystusowej, ale o d c z u w a je: ma w sercu Chrystusa, jest naturalnie i spontanicznie chrześcijański. Autor „Braci Karamazow" duże nadzieje wiązał z ruchem świętych Starców, nieufnie zaś odnosił się do oficjalnego Kościoła i jego funkcjonariuszy. Kapłanów prawosławnych uważał za oderwanych od ludu zdzierców, których szanuje się głównie w świątyni.

Socjaliści twierdzili, że w celu zniesienia zła wystarczy obalić dany ustrój społeczny oraz zbudować nowy system oparty na podstawach rozumu i wiedzy naukowej. Pogląd ten Fiodor Dostojewski uważał za naiwny. Był bowiem absolutnie przeświadczony, że zło nie tyle zależy od ustroju, co pochodzi od człowieka. Zło jest immanentną cechą natury ludzkiej, dlatego zmiana ustroju niewiele pomoże.

*„Staje się jasne i oczywiste* — pisał — *że zło tkwi w ludzkości głębiej, niż przypuszczają lekarze-socjaliści, że w żadnym systemie społecznym nie usunie się zła, że dusza ludzka pozostanie taka sama, że nienormalność i zbrodnia pochodzą z niej właśnie i że wreszcie prawa rządzące duchem ludzkim są jeszcze tak niezbadane, tak mało znane nauce, tak nieokreślone i tajemnicze, że nie ma na razie i nie może być ani lekarzy, ani nawet sędziów ostatecznych, lecz jest Ten, który mówi: «Mnie pomsta, Ja oddam». Tylko On jeden zna całą tajemnicę tego świata i ostateczny los człowieka. Człowiek natomiast nie może się podejmować rozstrzygnięcia czegokolwiek w pysze swej nieomylności, jeszcze nie nadszedł czas na to"*.

Raziła Dostojewskiego i przerażała arogancja socjalistów, ich pewność, że poznali już dobrze świat i potrafią uczynić człowieka szczęśliwym. Sam zaś był zdania, że ludzie nie są bynajmniej powołani do szczęścia, że nie po to się rodzą na świat. Muszą oni na swoje szczęście dopiero z a s ł u ż y ć, a to — tylko i zawsze poprzez c i e r p i e n i e. W cierpieniu należy szukać szczęścia. Cierpienie jest konieczną katharsis. Trzeba mieć świadomość, że każdy z nas za wszystkich odpowiada i za wszystko jest winien. Nikt nie może uważać się za niewinnego, bo nie jest naprawdę człowiekiem ten, kto nie zgrzeszył. Dlatego ludzie powinni wyzbyć się pychy, nauczyć pokory i odwagi cierpienia; innymi słowy: winni żyć według wzorów chrześcijańskich i porzucić złudzenia, że do szczęścia prowadzi wzrost dobrobytu.

Dostojewskiego dobra nowina dla Europy i całego świata polega na tym, że Rosja przyniesie zbałamuconej ludzkości prawdziwego Chrystusa Pisarz był przekonany że dla Zachodu — z jego katolicyzmem rodzącym ateizm i socjalizm — wybawienie nadejdzie z Rosji Sądził też, że Ro janie uświadamiają sobie iż mają do spełnienia m i s j ę ogólnoludzką i czeka ich specjalna służba w imię Chrystusa W niedalekiej przyszłości — *„Wsio w buduszczym stoletiju"* — Rosja dokona zjednoczenia najpierw narodów słowiańskich następnie Europy i dale całego świata. Zjednoczenie takie jest celem i przeznaczeniem Rosji Powstanie ogólnoludzka wspólnota chrześcijańska, w której każdy naród znajdzie całkowite poszanowanie swych osobliwości, a każdy człowiek swej wolności. Będzie to wspólnotą oparta na powszechnej miłości i braterstwie, a nie utrzymywana strachem przed gilotyną.

Fiodor Dostojewski ubolewał nad tym, że narody europejskie nie znają i nie rozumieją d u c h a Rosji, że narodu rosyjskiego nawet *„nienawidzą i stale się boją"* Tak samo również narody słowiańskie nie zdają sobie sprawy z bezinteresowności i służebności Rosji wobec nich. Kiedy Rosja w końcu wyzwoli innych Słowian, to zamiast wdzięczności, spotka się z ich strony z taką wrogością i nienawiścią, jakiej jeszcze nie zaznała. Niestety nie da się tego uniknąć, gdyż *„takie rzeczy na świecie nie mogą odbywać się inaczej"*. Toteż niewdzięczne, wyzwolone przez Rosję, narody słowiańskie będą spiskowały przeciw niej, poniżały ją i wywyższały siebie, a przy tym drżały o swoją wolność i piaszczyły się przed państwami zachodnimi. Aby zmniejszyć nieufność, Rosja musi dać Słowianom jak największą wolność oraz okazać im maksimum bezinteresowności politycznej.

Nienawiść do Rosji bierze się stąd, według Dostojewskiego, że reprezentuje ona trzecią — s ł o w i a ń s k ą — prawosławną ideę światową, odrzuca zaś ideę katolicką, której najpełniejszym wcieleniem jest Francja, oraz ideę protestancką, reprezentowaną przez Niemcy. Naród rosyjski ma wprawdzie sporo poważnych wad i pod wielu względami ustępuje narodom zachodnim (szczególnie Niemcom), lecz w charakterze jego jest *„zdolność do syntezy, skłonność do tolerancji, pojednawczości, uczuć ogólnoludzkich. Rosjanin nie ma w sobie europejskiej kanciastości, oporności, czelności, ze wszystkimi i ze wszystkim się zżywa, we wszystko się wczuwa"*. Lud rosyjski wyróżnia się naturalnym chrystianizmem: potrzebą stałego cierpienia, gotowością niesienia pomocy innym, pragnieniem powszechnego zjednoczenia. Na owym zjednoczeniu w imię Chrystusa polega rosyjski socjalizm, rosyjska koncepcja zbawienia i szczęścia.

Ktoś powiedział, że Fiodor Dostojewski miał straszliwą wiedzę o człowieku. Ze stwierdzeniem tym zdaje się kontrastować jego utopia religijno-społeczna, ale jest tu tylko pozorna sprzeczność, gdyż pisarz nie miał złudzeń co do trudności realizacji swej wizji. Rozumiał on, że „prawdziwe" ideały i wzory Chrystusowe nie przyjmą się łatwo, a ludzie nie staną się prędko lepszymi. Na przykładzie księcia Myszkina pokazał, że człowiek naprawdę dobry — naśladujący Chrystusa — nie ma szans wśród normalnych, zwykłych ludzi. Wprawdzie go podziwiają i przyznają, że *„ma swój rozum"*, lecz jednocześnie uważają za *„owcę"* i *„idiotę"*. W obliczu słabego i grzesznego otoczenia, Myszkin przypomina Don Kichota: jest człowiekiem nie z tego świata, aż żałosnym w swej naiwności i dobroci.

Natomiast w duszach ludzi z tego świata toczy się walka dobrego i złego, Boga i Szatana. Toteż są oni zdolni do krańcowo różnych czynów moralnych. Nastasja Filipowna — *„niesłychanie rosyjska kobieta"* — postępowała nieraz w sposób cyniczny i skandaliczny, lecz w istocie była *„znacznie wstydliwsza, delikatniejsza i bardziej ufna, niż się sądziło"*. Podobnie Dymitr Karamazow równocześnie odznaczał się zdolnością do wielkich podłości i szlachetnych działań.

Dostojewski nie oczekiwał rychłego zniesienia zła, lecz chciał objawić światu Chrystusa bez katolickich wypaczeń, aby każdy mógł dobrowolnie wybrać właściwą drogę do szczęścia. Wierzył on w pociągającą moc p i ę k n a duchowego Jezusa i jego słowiańskich naśladowców. Spodziewał się, że to piękno właśnie zbawi ludzkość.

## LWA TOŁSTOJA NEGACJA KOŚCIOŁA

Lew Tołstoj, tak samo jak Fiodor Dostojewski, namiętnie pragnął wiary w Boga i starał się przezwyciężyć trapiące go wątpliwości. Wychowany w prawosławnym duchu religijnym, już w wieku 18 lat przestał uznawać wpojone mu od dzieciństwa dogmaty i stopniowo doszedł do pesymistycznego wniosku, iż życie ludzkie ma charakter przypadkowy. W celu wykrycia jakiegoś sensu naszej egzystencji podjął gruntowne studia religijne. Nauczył się języka hebrajskiego i udoskonalił swoją grekę, aby w oryginale poznać Pismo Święte. Ponadto przez pewien czas starannie wypełniał wszystkie obowiązki zalecane wiernym przez Kościół. W rezultacie tych zabiegów odkrył, że nauka Jezusa ma głęboki sens moralny, lecz została totalnie sfałszowana przez duchowieństwo. Istota prawdziwej religii polega na etyce, a nie dogmatach i obrzędach.

Tołstoj postanowił stworzyć nową religię i odsłonić prawdziwe oblicze chrystianizmu. Miała to być religia p r a k t y c z n a, która zamiast obiecywać zbawienie w niebie, dałaby zbawienie na ziemi. Kiedy zaczął ujawniać swoje poglądy, spotkał się ze stanowczą reakcją Kościoła prawosławnego. W lutym 1901 roku pisarz został uznany za wroga Cerkwi i ekskomunikowany W uchwale Synodu stwierdzono, że hrabia Tołstoj jest nowym fałszywym nauczycielem, którego Kościół przestał zaliczać do swych członków i nie zmieni decyzji aż do okazania skruchy.

Pisarz początkowo zamierzał zignorować postanowienie Synodu, lecz ze względu na masowe, różnorodne reakcje społeczne (pozytywne i negatywne) udzielił publicznej odpowiedzi. Czytamy w niej:

*„To, że wyrzekłem się Kościoła, który zwie się prawosławnym, jest najzupełniej słuszne. Ale wyrzekłem się go nie dlatego, że powstałem przeciwko Bogu, przeciwnie — dlatego tylko, że ze wszystkich sił pragnąłem mu służyć"*.

Dalej Tołstoj odważnie podkreślał, iż przekonał się, że *„nauka Kościoła to teoretycznie podstępne i szkodliwe kłamstwo, praktycznie zaś zbiór najprymitywniejszych przesądów i czarownictwa, przesłaniający cały sens nauki chrześcijańskiej"*.

Autor znakomitych powieści — „Wojna i pokój", „Anna Karenina", „Zmartwychwstanie" — zarzucił Kościołowi, że zupełnie wypaczył naukę Jezusa Chrystusa i uprawia praktyki czarnoksięskie o tej samej wartości co kult idola wśród Czuwaszów. Natomiast prawdziwa nauka Jezusa wcale nie polega na *„owych czarnoksięstwach, modlitwach, mszach, świecach, obrazach, lecz na tym, żeby ludzie miłowali się wzajem, nie odpłacali złem za zło, nie osądzali i nie zabijali wzajemnie..."*.

Lew Tołstoj nie uznawał boskości Jezusa. Uważał, że był on c z ł o w i e k i e m — synem Boga, — który najlepiej wyraził wolę Bożą. A wolą tą jest, aby ludzie zmienili świat, urzeczywistnili zasady miłości bliźniego i stworzyli Królestwo Boże na ziemi. Zdaniem Tołstoja, Jezus nie umarł za rodzaj ludzki, lecz za prawdę. Dogmat o odkupieniu należy do najbardziej szkodliwych.

Lew Tołstoj odrzucał tak ważne dogmaty religijne, jak o stworzeniu świata, o łasce, zmartwychwstaniu i piekle. Za bluźnierstwo uważał modlenie się do Jezusa, który wcale tego nie żądał. W ewangelii Tołstojowskiej nie ma cudów, proroctw, zmartwychwstania, lecz jest „czysta" doktryna etyczna, bez kościelnych „zafałszowań" i bez samej instytucji Kościoła. Tołstoj zwracał uwagę na te fragmenty wypowiedzi Chrystusa, w których potępiał on zbiorowe modły oraz istnienie hierarchii.

*„Najbardziej chyba zuchwałym nieposłuszeństwem wobec Chrystusa* — czytamy w „Dzienniku" — *jest nabożeństwo, wspólne modły w świątyniach i nazywanie duchownych ojcami..."*.

Wspólnie zaś warto wykonywać pracę, gdyż tak jest łatwiej, ale do Boga można się zbliżać tylko w samotności.

Fundamentalnym w naszej egzystencji jest pytanie: skąd bierze się zło? Czy wynika ono z warunków zewnętrznych, czy też pochodzi od nas samych? Z reguły ludzie wybierają pierwszą odpowiedź i podejmują działania mające na celu zmianę okoliczności. Tego rodzaju wysiłki są jednak nieskuteczne, a nawet przyczyniają się do zwiększenia zła, ponieważ naprawdę my sami jesteśmy źródłem naszych nieszczęść. Jeśli w końcu to zrozumiemy — uczył Tołstoj — wtedy dopiero będziemy mogli usunąć podstawy zła. Musimy zatem przede wszystkim zmienić siebie i nasze życie. A sposobu tej odmiany należy poszukać w nauce Jezusa.

Według Tołstoja głównym elementem chrystianizmu jest zasada n i e s p r z e c i w i a n i a s i ę z ł u, dlatego zrozumienie jej głębokiego sensu pozwala pojąć całą doktrynę Jezusa. Wszyscy wyznawcy religii chrześcijańskiej winni nie sprzeciwiać się złu ani złemu, lecz godnie cierpieć i znosić przeciwności losu. Na tym polega prawdziwa wiara pozwalająca sensownie i szczęśliwie żyć. Takiej wiary nie ma wśród warstw zamożnych, lecz łatwo ją znaleźć pośród ludu:

*„W przeciwieństwie do tego, co widziałem w naszej sferze, w której całe życie przechodzi na próżniactwie, rozrywkach i niezadowoleniu z życia, widziałem, że całe życie tych ludzi przechodziło w ciężkiej pracy i że oni byli z życia zadowoleni. W przeciwieństwie do tego, że ludzie naszej sfery buntowali się i szemrali na los za cierpienia i wyrzeczenia, ci ludzie przyjmowali choroby i zgryzoty bez szemrania, ze spokojną pewnością, że wszystko to musi być i nie może być inaczej, że wszystko to jest dobrem"*.

Obiektywnie rzecz biorąc sytuacja ludu jest często zła i beznadziejna, natomiast bogaci żyją dobrze; ale w subiektywnym odczuciu — a to jest najważniejsze — lud jest bardziej szczęśliwy. Dzieje się tak, ponieważ lud ma prawdziwą religię — religię życia, która pomaga mu znosić nawet najtrudniejszy los.

Ludziom zwykle wydaje się, iż cel życia sprowadza się do unikania cierpień i osiągania rozkoszy. Są jednak w błędzie, gdyż hedonizm jest niemożliwy Człowiek nie jest w stanie pozbyć się cierpień. Trzeba więc przyjmować taką postawę wobec nieszczęść, jak mądry Płaton Karatajew z „Wojny i pokoju" zaś u kresu życia przyjmować śmierć, jak prosty chłop z opowiadania „Trzy śmierci".

Podczas pobytu w niewoli francuskiej, Pierre Biezuchow — pod wpływem ciężkich doświadczeń oraz filozofii życiowej Karatajewa — dokonał niezwykle doniosłego odkrycia. Uświadomił sobie mianowicie, że *„człowiek stworzony jest do szczęścia"*, ale owo szczęście wcale nie znajduje się gdzieś daleko, lecz jest w nim samym, w zaspokajaniu codziennych potrzeb. Zrozumiał też hrabia, iż *„nieszczęście pochodzi nie z braku, lecz z nadmiaru.."*

Do szczęścia, zdaniem Lwa Tołstoja wystarczy żyć według zasad nauki Jezusa Chrystusa. Należy nie sprzeciwiać się złu nie unosić gniewem, nie osądzać, lecz wybaczać i kochać. Kitty Szczerbacka z „Anny Kareniny" przekonała się, że *„wystarczy zapomnieć o sobie i kochać bliźnich, by osiągnąć spokój, szczęście i piękno"* Odkryła ponadto — dzięki Warience i pani Stahl — wspaniałość życia duchowego, do którego kluczem jest religia; ale nie ta znana od dzieciństwa i polegająca na udziale w porannych i wieczornych nabożeństwach, lecz religia spontaniczna i wzniosła.

Motto powieści „Anna Karenina" stanowią następujące słowa Pisma Świętego: *„Pomsta do mnie należy. Ja odpłacę"* Tytułowa bohaterka,

która opuszczając męża dla kochanka popełniła czyn niemoralny, poniosła klęskę. Natomiast Karenin doznał szczęścia, kiedy przebaczył swej niewiernej żonie. Czytamy, że wtedy *„radosne uczucie miłości i przebaczenia wrogom napełniło mu duszę"*. Do Wrońskiego mówił, iż błaga Boga, żeby nie pozbawił go szczęścia płynącego z przebaczenia. W ten sposób Tołstoj poucza nas i zachęca, abyśmy przebaczali winnym i rezygnowali z zemsty, która należy do Boga. Nie możemy bowiem karać innych, skoro sami nie jesteśmy bez grzechu. Prawdę tę pojął Niechludow z powieści „Zmartwychwstanie". Zrozumiał on — co przypomina Dostojewskiego — *że „jedyny i niewątpliwy sposób ocalenia przed okrutnym złem, które ludzie cierpią, polega tylko na tym, żeby ludzie uznawali się zawsze za winnych wobec Boga i dlatego za niezdolnych ani do tego, by karać, ani do tego, by innych zmuszać do poprawy"*

Niechludow początkowo był człowiekiem dobrym i gotowym do poświęceń, lecz później stał się zepsutym egoistą. Skąd ta zmiana na gorsze? Otóż przestał on wierzyć sobie, a zaczął wierzyć innym ludziom i szukać aprobaty kolegów. Przez to w jego osobowości czynnik zwierzęcy wziął przewagę nad duchowym. Odtąd zaczął ulegać złym myślom, z których rodzą się wszystkie złe uczynki.

Lew Tołstoj potępiał zdecydowanie państwo, własność i nierówności. Zjawiska te uważał za źródła zła i twierdził, że ludzkość może się bez nich obejść. Ale równocześnie odcinał się od rewolucjonistów zmierzających do zniesienia wymienionych instytucji. W przeciwieństwie do rewolucjonisty — podkreślał pisarz — chrześcijanin mówi, że państwa, własności i nierówności po prostu n i e m a. To znaczy, że chrześcijanin w e w n ę t r z n i e wyzwala się od nich i lekceważy te sztuczne twory. Tołstoj propagował — przyjętą potem przez Gandhiego — zasadę biernego oporu i niestosowania przemocy. Hindusom walczącym z Anglikami radził: *„Nie sprzeciwiajcie się złu, ale i sami nie czyńcie zła, nie bierzcie udziału w owałtach administracji, sądów, ściąganiu podatków, a co najważniejsze — w akcjach wojska, wówczas nikt na świecie nie zdoła was ujarzmić"*.

Podobnie jak Fiodor Dostojewski, Tołstoj krytycznie odnosił się do ustroju kapitalistycznego. Był to dla niego system n i e w o l n i c z y, ponieważ opiera się na własności chronionej przez przemoc oraz na prawnie gwarantowanej eksploatacji człowieka przez człowieka. Czynnikiem umacniającym owe niewolnictwo oraz demoralizującym i dehumanizującym stosunki społeczne są — zdaniem pisarza — pieniądze.

Oceniając poglądy Lwa Tołstoja, Włodzimierz Lenin nazwał go z w i e r c i a d ł e m rewolucji rosyjskiej. Zwrócił przy tym uwagę na charakterystyczne sprzeczności w jego twórczości, stanowiące wyraz pełnej przeciwieństw sytuacji rewolucyjnej w Rosji. Niedawno jeszcze patriarchalna wieś, po wyzwoleniu z poddaństwa, stała się łupem kapitału i systemu podatkowego: gwałtownie załamały się tradycyjne, odwieczne struktury; postępował proces pauperyzacji mas chłopskich; rodził się ruch protestu przeciwko nadciągającemu kapitalizmowi. W takiej sytuacji powstawały najróżnorodniejsze koncepcje zbawienia Rosji i dróg jej dalszego rozwoju, pojawiło się wielu proroków.

W 1908 roku Lenin pisał:

*„Sprzeczności w utworach, w poglądach, w naukach, w szkole Tołstoja są istotnie uderzające. Z jednej strony — genialny artysta, twórca nie tylko niezrównanych obrazów życia rosyjskiego, ale i utworów należących do najwyższej klasy literatury światowej. Z drugiej strony — obszarnik opętany w Chrystusie. Z jednej strony — niezwykle mocny, bezpośredni i szczery protest przeciwko społecznej obłudzie i fałszowi, z drugiej — „tołstojowiec", tj. zużyty, rozhisteryzowany płaksa, zwany rosyjskim inteligentem, który publicznie bijąc się w piersi oświadcza: „jestem wstrętny, jestem ohydny, ale zajmuję się samoudoskonaleniem moralnym: nie jadam już mięsa i odżywiam się teraz kotlecikami z ryżu". Z jednej strony — bezlitosna krytyka wyzysku kapitalistycznego, demaskowanie przemocy rządu, komedii sądownictwa i administracji państwowej, ujawnianie całej głębi sprzeczności między wzrostem bogactwa i zdobyczami cywilizacji a wzrostem nędzy, zdziczenia i męczarni mas robotniczych; z drugiej strony — opętańcza doktryna „niesprzeciwiania się złu" przemocą"*

Słowa te w pewnym stopniu można odnieść także do Fiodora Dostojewskiego. Należy jednak dodać, że takie typy osobowości i wizje utopijne kształtowały się nie tylko pod wpływem specyficznych warunków społeczno-ekonomicznych i politycznych, lecz również pod wpływem oddziaływania religii prawosławnej.

Prawosławie odznacza się silnym irracjonalizmem i mistycyzmem. W odróżnieniu od katolicyzmu jest to doktryna mniej skodyfikowana i mniej zdogmatyzowana, a przez to dopuszczająca w większym stopniu samodzielne poszukiwania. Wiara prawosławna oparta jest na trzech podstawach, które przenikają całą twórczość Dostojewskiego i Tołstoja. Po pierwsze — przyjmuje się, że każdy odpowiada za swoje czyny i może jeść tylko chce, udoskonalić się moralnie. Po drugie — uznaje się, iż każdy odpowiada także za czyny innych ludzi. I po trzecie — zakłada się, że warunkiem całkowitego odpuszczenia grzechów jest szczere pojednanie się z wszystkimi. Prawosławni ponadto — co bardzo ważne — za Chrystusem uważają, że Królestwo Boże nie jest z tego świata, ale jest w nas samych. W kulturze prawosławnej nie mogłaby narodzić się racjonalistyczna formuła — myślę więc jestem — gdyż tutaj obowiązuje wnioskowanie: c z u j ę, więc jestem. Wola, czucie i pragnienie więcej znaczą, aniżeli logiczne kalkulacje.

# Samobójstwa

**ROBERT GLUTH**

Niewątpliwie jednym z najciekawszych odcinków programowych w radiofonii naszego obozu jest audycja „Poranne sygnały" w I programie Polskiego Radia. Otóż 13 października br., w stałym odcinku „Uniwersytet przy śniadaniu", usłyszeliśmy w „Porannych sygnałach" szokującą wiadomość. Krakowski psychiatra mówił o ogromnym wzroście tzw. samobójstw szkolnych — to znaczy usiłowanych i popełnionych przez młodzież, a nawet działwę szkolną. Idąc dalej tym tropem, dowiadujemy się, że w wielkich aglomeracjach miejskich służby psychiatryczne obserwują wzrastającą ilość targnięć się na życie uczniów i uczennic na tle połączenia takich czynników, jak: ogromne przeciążenie programem szkolnym, przy równoczesnej obojętności wychowawczej przepracowanych nauczycieli i tzw. fachowo „odrzuceniu" problemów potomstwa przez rodziców zawiedzionych w swoim oczekiwaniu wybitnych postępów w nauce. To jeden fakt.

A teraz fakt drugi: W Polsce istnieje dziewięć ośrodków specjalistycznych oraz klinika toksykologiczna Instytutu Medycyny Pracy w Łodzi, w których hospitalizuje się pacjentów z rozpoznaniem ostrych zatruć. Tam, gdzie nie ma ośrodków specjalistycznych toksykologii — hospitalizuje się ofiary zatruć na innych oddziałach szpitalnych. Dzieci leczone są przez oddziały pediatryczne. Te rozgraniczenia są dlatego istotne, że jedyna pełna statystyka toksykologiczna jest prowadzona i publikowana zbiorczo z kliniki Instytutu i wspomnianych 9 ośrodków. Nawet tak wycinkowo potraktowane zjawisko zmusza do zastanowienia się nad problemem zatruć w Polsce. Dla przykładu, w roku 1970 mieliśmy do czynienia z 5.900 przypadkami hospitalizacji, w 1974 r. już z 12.400, w 1977 r. — 13.700, zaś w 1978 — z 12.700. Tak więc widzimy, że liczby te rosną, niezależnie od takich czy innych sezonowych wahań. Tu należy dodać, że wśród osób hospitalizowanych aż 70 proc. stanowią samobójcy, dopiero reszta przypada na zatrucia przypadkowe, kryminalne i przemysłowe.

A oto fakt trzeci: po oddaniu do użytku Dworca Centralnego w Warszawie, służba kolejowa MO stanęła przed nieoczekiwanym i niezwykle alarmującym zadaniem. Funkcjonariusze i wywiadowcy musieli interweniować w ogromnej ilości przypadków samobójstw przez rzucenie się pod pociąg. Z niejasnych jak do tej pory przyczyn, samobójcy z niemal całego kraju wyznaczyli sobie na tym dworcu rendez-vous ze śmiercią.

## CO TO JEST WŁAŚCIWIE — SAMOBÓJSTWO?

Spośród wszystkich kręgowców najprawdopodobniej jedynie człowiek jest zdolny na podstawie decyzji własnej pozbawić się świadomie życia. Należy przypuścić, że samobójstwo jest tak stare, jak stary jest gatunek homo sapiens. Wiele dziedzin wiedzy zajmuje się tym zagadnieniem, a więc: antropologia kultury, etnologia, prawo, kryminalistyka, socjologia, psychologia i szereg gałęzi medycyny (psychiatria, medycyna społeczna, toksykologia).

W zależności od stref kulturowych samobójstwo bywało też oznaką honoru. Dość przypomnieć obyczajowość Wschodu, a szczególnie Japonii — gdzie kodeks rycerski Bushido (droga rycerska) nakazywał wręcz samurajowi w momencie upadku, niewypłacalności, hańby, a nawet niepowodzenia szoguna (pana lennego) popełnienie harakiri (seppuku). W długiej Erze Szogunatów (X—XIX wiek n.e.) nikt natomiast nie słyszał o samobójstwach chłopów.

Oczywiście nie mam zamiaru ani możliwości prezentowania tutaj historycznego czy etnologicznego zarysu wiedzy o samobójstwach. Ograniczę się do przypomnienia niektórych wybranych faktów, które powinny nieco światła rzucić na interesujący nas temat.

Z historii Europy wiemy, że w takim na przykład Imperium Rzymskim, w różnych epokach, samobójstwo było efektem szeregu bodźców natury wewnętrznej i zewnętrznej. Tak więc utrata przyjaciela, władzy, znaczenia zmuszała patrycjusza do szukania ucieczki w nielstnieniu poprzez otwarcie żył. Cezarowie sięgali po miecz przeciwko sobie (Neron), gdy słyszeli kroki rozgniewanej pretorii. Niejednokrotnie zdarzało się, że zamachu na życie własne dokonywali patrycjusze na polecenie cezara (np. czasy Caiusa Juliusa Caligulli). Z przekazów historycznych wiemy wyłącznie o tego rodzaju spotkaniach ze śmiercią wśród ludzi z warstw wyższych. Ten fakt podkreślam nie bez kozery, co stanie się jasne w dalszych rozważaniach.

W okresie Średniowiecza europejskiego, a więc w epoce szczytowego poczucia wewnętrznego bezpieczeństwa i równowagi, jak twierdzi Erich Fromm, też znane były zamachy samobójcze wśród górnych warstw społecznych — mimo iż panująca doktryna i praktyka Kościoła sprzeciwiały się ze wszystkich sił takim zamachom, widząc w nich grzech przeciwko Duchowi św. i stosując szereg ostrych restrykcji (anatema, pochówek poza murem cmentarnym).

W epoce nowożytnej, wśród konwulsyjnych ruchów społecznych, rewolt i przewrotów przemysłowych, wzrasta ilość samobójstw — powstają całe trendy, a nawet mody na samozagładę. I tak do czasów najnowszych. Znamy wiele przekazów historycznych, mówiących o decyzjach samobójczych wśród wyższych oficerów, po przegranych walkach lub wojnach — decyzjach nie będących skutkiem lęku przed odpowiedzialnością czy niewolą, lecz jedynie świadomości „przegrania życia". To już jest nowa wartość. (Posłużywszy się dziejami najnowszymi, warto przypomnieć pułkownika Dąbka — obrońcę Kępy Oksywskiej w 1939 roku, bądź też dowódcę niemieckiej obrony Berlina, gen. Weidlinga, który bynajmniej nie miał na sumieniu zbrodni wojennych).

Schyłek XIX wieku i wiek XX pozwalają na obserwacje przyczyn o charakterze społecznym, bytowym i losowym, które są determinantami już nie sporadycznych, lecz ilościowo znaczących decyzji samobójczych. Opuszczone kobiety, bezrobotni, nieuleczalnie chorzy, prześladowani — to wszystko grupy potencjalnych nosicieli trendu samobójczego. Jak więc widzimy, w ciągu wieków następuje przeniesienie samego zjawiska z dosyć wąskich warstw górnych na szersze kręgi społeczne. Następuje coś w rodzaju „pauperyzacji" samobójstwa.

Tu warto zatrzymać się na moment przy tak określonym problemie. Socjologowie i antropolodzy kultury mówią częstokroć o zjawisku, które nazywają populizacją lub socjalizacją (od pojęcia społeczeństwo a nie socjalizm) spożycia i użycia oraz wzorców postępowania i zachowania się. Niektórzy używają tutaj określenia demokratyzacja lub upowszechnienie, które to terminy są jednak bardzo dalekie od precyzji. Chodzi o to, że we współczesnym społeczeństwie rozwiniętej cywilizacji industrialnej następuje rozproszenie i przyswajanie wszystkiego przez wszystkich. Ma to oczywiście ogromną ilość objawów dodatnich. Na przykład ekskluzywne bądź wyrafinowane sztuki teatralne były odbierane 50 lat temu w Polsce przez wąziutkie grona wykształconych smakoszów. Obecnie, na spektakle „Szklanej menażerii", „Końcówki" czy „Czekając na Godota" organizuje się autokarowe wycieczki masowe. Czy to jest dobre dla percepcji sztuki i stanu umysłów, to już inna sprawa. Pozytyw zawiera się w uczestnictwie.

Zygmunt Kałużyński w swoim rewelacyjnym reportażu z Cannes („Tu i Teraz", czerwiec 1983) podaje m. in. taki fakt: ekskluzywna ongiś firma kosmetyków „Coty" reklamuje obecnie na murach francuskiego uzdrowiska swoje wyroby jako „pomadki do ust i dezodoranty dla mas".

Ale jest i druga strona medalu. Np. narkotyki. Lat temu 50 próbował kokainy, meskaliny czy peyotlu wyrafinowany Witkacy, aby później napisać szokującą książeczkę. Nie do pomyślenia byłoby, żeby młodociani z zaledwie podstawowym wykształceniem masowo brali się za „niuchanie" i „żarcie" wszelkich świństw od Ixi do LSD.

Na przełomie wieków Europa uważała się za wstrząśniętą po śmierci młodego Habsburga i Marii Vetzery — którzy wspólnie popełnili samobójstwo „z miłości, spleenu i atmosfery niezrozumienia". Czy wtedy komukolwiek do głowy mogłoby przyjść, że dość nagminny będzie taki przypadek w Warszawie? Parę tygodni temu młody człowiek „z tłumu" otruł się wraz z młodą przyjaciółeczką w efekcie — jak wyjaśnił w liście — niezrozumienia ze strony najbliższych i poczucia bezradności.

## PRZYCZYNY... PRZYCZYNY...

Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) wymienia samobójstwa jako zagrożenie cywilizacyjne, obok choroby nowotworowej, nadciśnieniowej, psychoz, schorzeń układu trawiennego i naczyń wieńcowych.

Polskie statystyki samobójstw są niedokładne i niepełne. Aby ten fakt zobrazować wystarczy rozpatrzyć rodzaje samobójstw. Podzielimy je z grubsza na „mechaniczne" i „niemechaniczne". Do takich „mechanicznych" samobójstw zaliczymy skok z wysokiego piętra, rzucenie się pod pociąg czy użycie broni palnej. Gdy samobójstwo zostaje dokonane, czyli istnieją zwłoki — wówczas wkracza do akcji prokurator i statystyka zgonów z powodu samobójstwa zostaje w sposób oczywisty uzupełniona. Ile jednak jest skoków nie kończących się śmiercią, gdy pacjent trafia na oddział chirurgii urazowej, nie przyznając się — po odpowiedniej refleksji — do kroku samobójczego. Podobnie jest z bronią palną. Wszak nawet Hemingway zginął „czyszcząc broń" i nikt nie mówił o samobójstwie. Jak wspomniałem na początku, niepełna jest również statystyka zamachów na życie przy pomocy trucizny bądź leku — a więc tych „niemechanicznych". Jedno jest pewne: wycinkowe dane wskazują już nie na wzrost, ale na dwojenie się i trojenie liczb w następujących po sobie latach.

Lekarze mający do czynienia z samobójcą odratowanym, zadają mu szereg pytań w celu określenia przyczyny takiego kroku. W lecznictwie powszechnym nie ma czasu na psychoanalizę czy inne testowanie — tak więc pacjent sam podaje determinanty swoich poczynań: kłopoty rodzinne, małżeńskie, w szkole, uczelni, pracy.. Czasami mowa jest o zawodzie miłosnym, przewlekłym alkoholizmie i nieuleczalnych chorobach somatycznych. Granice są tu bardzo płynne. Przez kłopoty rodzinne, dajmy na to, rozumieją niektórzy osamotnienie, brak porozumienia, inni — trudne warunki mieszkaniowe czy też ogólnie egzystencjalne. W istocie otrzymujemy tutaj przybliżoną odpowiedź na pytanie o indywidualne powody samobójstw.

Szpital nie jest w stanie sformułować tezy o przyczynach zjawiska zbiorowego. A takie właśnie istnieje i o nim mówimy: ilustracja dialektycznej tezy o związku między wzrastającą ilością a powstawaniem nowej jakości. Na dobrą sprawę, w statystyce szpitalnej znajdujemy jeden ślad: około 10 procent stwierdzonych schorzeń psychicznych wśród samobójców.

Uprzednio wspomniałem o zjawisku populizacji lub, jak kto woli, socjalizacji struktur spożycia i użycia oraz stereotypów postępowania i zachowania. Podobnie można wspomnieć o lawinowym procesie urbanizacji życia zbiorowego. I tutaj również znajdujemy częściową odpowiedź na niepokojące pytanie.

Dlaczego migracja i urbanizacja? Z tej prostej przyczyny, że odbywając się żywiołowo, stwarzają sytuację, w której oferta m o ż l i w o ś c i błyskawicznie maleje, wobec gigantycznego wzrostu z a p o t r z e b o w a n i a n a n a d z i e j ę. Tu właśnie rodzą się rozczarowania, niedostosowania kulturowe, świadomość totalnej przegranej i przysłowiowej samotności w tłumie.

Wielu twórców i naukowców dostrzega związki pomiędzy stanem równowagi społecznej a wzrastającą ilością samobójstw. Analizy tego typu posiadają jednak poważny niedostatek: nie pozwalają odpowiedzieć precyzyjnie na żadne ze stawianych pytań. O ile bowiem czas niepokojów, kryzysów społecznych sprzyja decyzjom ostatecznym — o tyle okresy stabilizacji powinny wpływać na nie hamująco. Tymczasem żadne dane takiego zdania nie potwierdzają. Wiadomo na przykład, że kraje o wysokiej stabilizacji (np. Szwajcaria) wykazują również wzrastające ilości zamachów samobójczych. Przyjęło się tłumaczyć to zjawisko lękiem przed utratą stabilnego dorobku bądź neutralności, lękiem przed kataklizmem. W jakim stopniu występujące w naszym kraju przemiennie kryzysy i okresy stabilizacji wpływają na masowość samobójczego trendu — to pytanie na które chwilowo nikt nie posiada odpowiedzi.

**Post scriptum**

**Winien jestem Czytelnikom pewne rozgraniczenie. Powiada się bowiem o samobójcach, których decyzja wynika z głębokich przyczyn osobistych oraz o takich, którzy targają się na życie w celu zaszantażowania otoczenia. Większość psychiatrów jednak i psychologów jest zdania, że w momencie dokonywania samobójstwa determinacja jest tak pełna, że owa granica jest bardzo nieostra. Dlatego też nie wyróżniałem tych dwóch typów samobójczych.**

**Pozostaje jeszcze do wyjaśnienia zagadnienie częstotliwości odratowania osób, które popełniły samobójstwo. Przynajmniej w dziedzinie zatruć mamy do czynienia z dość znacznym stopniem odratowania. Ale jest to rzecz względna. Wszystko zależy od jakości i ilości przyjętego specyfiku. Pewne zawody — jak np. farmaceuci, chemicy, inżynierowie innych specjalności, lekarze, itp., a nawet amatorzy — doskonale orientują się w takich sprawach, jak skuteczna dawka śmiertelna. Wówczas z reguły ratunek jest niemożliwy, względnie — przy zastosowaniu bardzo długiej i ryzykownej terapii — następuje poprawa, a nawet wyleczenie.**

**R. G.**

# Wracamy do tematu „Życie na stoku" (1)

# „Bałbym się powrócić do ludzi..."

Dokończenie ze strony 1

*i wychowywali tak jak potrafili najlepiej. Przez całe swoje życie przynoszę wam tylko wstyd. Dlatego, jeśli dostanę karę śmierci, będzie to dla mnie najlepsza kara, jaką mógłby mi dać sąd. Sankcję mam do 18 grudnia, ale chciałbym, żeby to wszystko już się skończyło. Męczę się cały czas, nie mogę spać, boję się po prostu, bo mam to wszystko przed oczyma, bez przerwy myślę o tym. Nie wiem co się ze mną stało, że to zrobiłem. Sam chciałem z sobą skończyć, ale uważam, że to tchórzostwo. Chcę, aby osądzili mnie ci, którzy cierpieli przeze mnie. Mamo, nie wiem czy zobaczę cię kiedykolwiek. Mam do was tylko jedną prośbę, jeśli możecie to przyślijcie mi coś do jedzenia. Mamo, śledczy mówił mi, że byłaś u niego i rozmawiałaś z nim. To on namówił mnie abym napisał, sam nie miałbym odwagi napisać. Proszę was, pilnujcie Sławka i Robka. Nie chcę aby mieli życie takie jak moje, nie dopuśćcie do tego. Ja straciłem wszystko, ale oni mają całe życie przed sobą. Mamo, gdyby coś stało się ze mną, nie płacz nade mną, nie jestem wart twoich łez. Nie potrafiłem docenić waszej miłości i dobroci. Wiem, że chcieliście dla mnie zawsze jak najlepiej, dziękuję wam za to z całego serca. Zapomnijcie, że mieliście kiedykolwiek takiego syna. Nie chcę, abyście zamartwiali się z mego powodu. Zniszczcie wszystko co do mnie należało, chcę abyście o mnie zapomnieli. Tak będzie najlepiej. Kocham was i nie chcę abyście cierpieli z mojego powodu. Pozdrów babcię. Jej jest mi najbardziej żal, zawsze stawała w mojej obronie, zawsze chciała dla mnie jak najlepiej. Kończę już ten list, nie mogę już pisać. Przyślijcie mi coś z żywności i papierosy. Proszę was jeszcze raz — nie traćcie na mnie pieniędzy i czasu, nie jestem tego naprawdę wart. Zajmijcie się Sławkiem i Robkiem, by nie popełnili tych błędów w swoim życiu co ja. Szkoda aby marnowali sobie życie. Na tym kończę ten list. Żegnam was wszystkich i życzę wszystkiego najlepszego.*

Autor listu — Krzysztof Sołtysiak, urodzony 28 lutego 1962 roku w Łodzi, w niej ostatnio zamieszkały, w ostatnim miesiącu przed aresztowaniem dokonał wielokrotnych makabrycznych morderstw. Popełnił także inne przestępstwa, które jednak w którymś miejscu świadomości społecznej giną przytłoczone ciężarem koszmaru zabójstw.

## SPOTKANIE W CELI

Osiemnastego dnia po aresztowaniu, 5 października 1980 roku pojechałem do Komendy Wojewódzkiej w Łodzi.

Obserwowałem go siedzącego w celi. Oczy spuszczone, tak jakby nie szukały nigdzie ratunku, pomocy, jakby nie chciały już w nic wierzyć. Czy, zresztą, miały do czegoś prawo?

Potem wstał, trzy kroki w lewo — ściana, trzy kroki w prawo — ściana, trzy kroki wprost — kraty. I znowu...

Potem pokój przesłuchań, w którym znajdował się kapitan Białek, porucznik Olszycki i ja.

Wszedł. Sweter, dżinsy, długie baki. Ale i tak wyglądał na chłopca mającego najwyżej 15—16 lat.

Powiedziałem mu najpierw, że pojechałem na cmentarz. Odnalazłem groby jego ofiar. Na nagrobkach daty śmierci były tak świeże, jakby narodzin.

Nic nie powiedział.

Wcześniej kapitan Białek powiedział mi że Sołtysiak jest skryty, mało mówi częściej milczy, za to ożywia się, gdy rozmowa zbacza na inny temat. Uzupełnił fragmentem opinii psychologicznej: *„Chętnie odpowiada na pytania, ale jego odpowiedzi są ogólnikowe. Sposób wypowiadania się prawidłowy, dość dobry zasób pojęć i słów. Chłopiec jest zamknięty w sobie nieufny, nie można z nim nawiązać bliższego kontaktu emocjonalnego. Spokojny, opanowany brak żywych reakcji emocjonalnych".*

Chodziło więc o to, żeby mówił. Żeby po prostu mówił. Padały więc pytania bez ładu i składu.

Miałem przed sobą wielokrotnego mordercę, nazwanego wampirem, a oficerowie mówili do niego po prostu: Krzysiu.

*— No i co Krzysiu. Ty wiesz, że w tym samochodzie z Piotrkowskiej zostawiłeś ślad buta?*

*— Szyba była już zbita, ale do środka nie wchodziłem.*

*— Zostawiłeś jednak ślad buta.*

*— Wsadziłem tylko jedną nogę.*

*— W opinii przysłanej z zakładu w Laskowcu napisano, że gdybyś tylko znalazł pracę — miałeś być zwolniony.*

*— No tak.*

*— Będziesz coś pisał jeszcze do domu?*

*— Nie wiem.*

*— Ile razy uciekałeś z Zakładu Poprawczego?*

*— Dwa.*

*— Czy źle cię traktowali?*

*— Nie, dobrze.*

*— Jak układały się stosunki z kolegami z zakładu?*

*— Tak sobie.*

*— Czy masz jakieś przyjemne wspomnienia ze szkoły?*

*— Nie.*

*— Czy jakiś moment z życia utkwił ci najbardziej w pamięci?*

*— Chyba nie.*

Odpowiedzi suche, jakby wyczuwał, że dotykają dla niego spraw obecnie nieistotnych, stojących gdzieś na obrzeżu tragicznego scenariusza, którego zakończenia on sam już

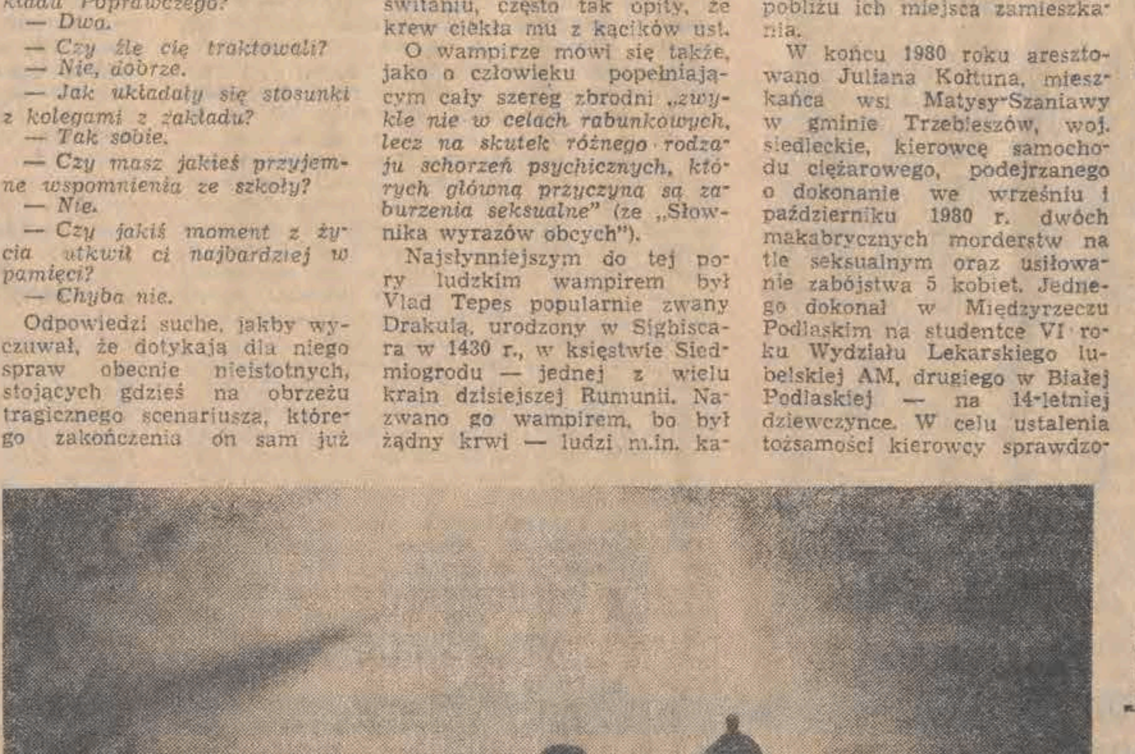

być może nie napisze. Byłem na filmie Herzoga „Nosferatu — wampir". O nim znany krytyk napisał zdanie, które jakoś mi do tej sytuacji szczególnie pasowało, a o którym sobie przypomniałem w półtora roku później, obserwując Krzysztofa Sołtysiaka na sali sądowej: *„wampir — główny bohater jest w sumie tragicznym człowiekiem, poszukującym uczuć, od których roztaczane przez niego zło skutecznie go oddziela".*

## WAMPIRY POLSKIE I INNE

W 1979 roku ogromnym zainteresowaniem cieszyła się, zorganizowana w filadelfijskim ZOO, wystawa nietoperzy, zwanych wampirami. Wystawa mieściła się w mrocznej pieczarze, wymoszczonej torfem i mchem, a znajdująca się w niewielkich pojemnikach krew zwierzęca była z upodobaniem zlizywana przez te stworzenia.

Według podań ludowych wampir oznacza ducha zmarłego człowieka, który wychodzi w nocy z grobu by napadać na żywych ludzi i wysysać z nich krew.

Tony Masters w swojej 500-stronicowej książce „Historia naturalna wampirów" wymienia 406 przyczyn opuszczania przez nieboszczyków grobu dla celów krwiożerczych. *„Najczęstszy goście* (cytuję za Mieczysławem Ziemskim) *to samobójcy, obłożeni kościelną klątwą, zamordowani skrytobójczo i nie pomszczeni, po*[illegible] *nieprawidłowo"* — [illegible] *obowiązującymi* [illegible] *zwyczajami, po*[illegible]*dani na świat w* [illegible]*ch świat kościel*[illegible]*i przez rodziców,* [illegible] *magią, krzywo*[illegible]*oszczególne naro*[illegible]*wnież swoje am*[illegible]*rologiczne i swo*[illegible]*ych wampirów".*

[illegible]ze także o wampirze [illegible]. wyjątkowo pil[illegible]witym. Nie ocze[illegible]ojje północ — godzina duchów, lecz opuszczał swój grób nawet wczesnym popołudniem, a wracał dopiero o świtaniu, często tak opity, że krew ciekła mu z kącików ust.

O wampirze mówi się także, jako o człowieku popełniającym cały szereg zbrodni *„zwykle nie w celach rabunkowych, lecz na skutek różnego rodzaju schorzeń psychicznych, których główną przyczyną są zaburzenia seksualne"* (ze „Słownika wyrazów obcych").

Najsłynniejszym do tej pory ludzkim wampirem był Vlad Tepes popularnie zwany Drakulą, urodzony w Sigbiscara w 1430 r., w księstwie Siedmiogrodu — jednej z wielu krain dzisiejszej Rumunii. Nazwano go wampirem, bo był żądny krwi — ludzi m.in. kazał wbijać na pal. Nie oszczędzał przede wszystkim swoich najbliższych.

Na świecie w ostatnich kilkunastu latach byli znani: potwór z Düsseldorfu, dusiciel z Bostonu, Richard Chase z Sacramento, John Gacy z Chicago i Peter Sutcliffe, zwany „Rozpruwaczem w Yorkshire". Był wreszcie Rymaru w Bukareszcie i Mrazek w Czechosłowacji.

Mieliśmy i my rodzimych ludzkich wampirów.

Przypomnijmy.

Rachubiński z połowy lat pięćdziesiątych miał na koncie trzy ofiary. Najpierw zadawał kobietom liczne ciosy, potem podrzynał gardło. Modzelewski z Gałkówka — siedem zabójstw w ciągu 15 lat — dusił swe ofiary i słuchał ich jęków. Zdzisław Marchwicki ze Śląska zadawał swym ofiarom rozległe obrażenia. Uderzał 2—4 razy. Ujęto go w dwa lata po ostatnim morderstwie, w wyniku ogromnej i żmudnej pracy informacyjno-analitycznej. Rozprawa Marchwickiego i jego kompanów trwała 125 dni procesowych, a ciągnęła się przez 11 miesięcy — do 15 grudnia 1975 r., kiedy wydano wyrok. Został on uznany winnym zabójstwa piętnastu kobiet, usiłowania zabójstwa czterech. Dostał karę śmierci. Na tę karę skazano również jego brata — Jana. Sąd Najwyższy utrzymał wyrok w mocy. Rada Państwa nie skorzystała z prawa łaski. Wyrok wykonano.

O sprawie Marchwickiego Janusz Kidawa nakręcił długometrażowy film „Anna i wampir", który jest opowieścią o poszukiwaniach i ściganiu „wampira Zagłębia".

Wcześniej na Śląsku w latach 1966—1967 działał Bogdan Arnold, który zamordował 4 kobiety oraz popełnił o wiele więcej gwałtów.

W końcu lat siedemdziesiątych aresztowano Wiesława Ciszewskiego z Baranowa, w województwie suwalskim, podejrzanego o morderstwo czterech kobiet i usiłowanie kilku innych zabójstw. Upatrywał ofiary, dla których przed zabójstwem przygotowywał grób w pobliżu ich miejsca zamieszkania.

W końcu 1980 roku aresztowano Juliana Kołtuna, mieszkańca wsi Matysy-Szaniawy w gminie Trzebieszów, woj. siedleckie, kierowcę samochodu ciężarowego, podejrzanego o dokonanie we wrześniu i październiku 1980 r. dwóch makabrycznych morderstw na tle seksualnym oraz usiłowanie zabójstwa 5 kobiet. Jednego dokonał w Międzyrzeczu Podlaskim na studentce VI roku Wydziału Lekarskiego lubelskiej AM, drugiego w Białej Podlaskiej — na 14-letniej dziewczynce. W celu ustalenia tożsamości kierowcy sprawdzono w województwie bialskopodlaskim 1047 kierowców samochodów ciężarowych marki „Star", 270 — marki „Jelcz", 41 — marki „Skoda". W całym kraju sprawdzono 300 tys. samochodów. Śledztwo trwało ponad rok. Kołtun przebywał w tym czasie przez kilka tygodni na obserwacji psychiatrycznej. Biegli orzekli pełną poczytalność. Sąd Wojewódzki w Białej Podlaskiej skazał J. Kołtuna na karę śmierci i pozbawienie praw publicznych na zawsze. Wyrok wykonano.

15 maja 1982 r. aresztowano mieszkańca Piekar Śląskich, trzydziestoletniego Joachima K., żonatego, ojca dwojga dzieci, z zawodu cieślę górniczego, zatrudnionego w kopalni węgla kamiennego „Andaluzja". Jest on podejrzany o zabójstwo 5 kobiet, o usiłowanie dalszych siedmiu. Ofiarami jego były mieszkanki Bytomia, Tarnowskich Gór, Piekar Śląskich i Siemianowic w wieku 11—39 lat.

Joachim K. oczekuje na rozprawę sądową. Ludzie na Śląsku nie zdążyli jeszcze ochłonąć, a już w areszcie śledczym znalazł się kolejny wampir — Mieczysław Z. Zatrzymano go 8 marca 1983 r. pod zarzutem dokonania poprzedniego dnia w Mysłowicach gwałtu na 13-letniej dziewczynce. Funkcjonariusze Miejskiego Urzędu Spraw Wewnętrznych znaleźli przy ofierze legitymację honorowego dawcy krwi. Mieczysław Z. powitał ich w domu słowami: *„No, nareszcie. Czekałem na was..."*.

W toku przesłuchania przyznał się do popełnienia 4 morderstw. W trakcie dalszego śledztwa przyznał się do 6 zabójstw. Morderstwo kobiety w ciąży liczył za 2 zabójstwa, natomiast był przekonany, że gwałt na 68-letniej Beacie N. w Rudzie Śląskiej 18 kwietnia 1982 r. zakończył się śmiercią ofiary.

W maju 1983 roku funkcjonariusze Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Gdańsku aresztowali 37-letniego Pawła T., z zawodu elektryka, właściciela 6-hektarowego gospodarstwa, ojca dwojga dzieci, przed ujęciem karanego za kradzieże samochodów. W godzinach wieczornych napadał na samotnie przechodzące młode kobiety, które pozbawiał przytomności uderzając młotkiem w głowę, a następnie gwałcił. Zabierał pieniądze i inne wartościowe przedmioty. Potem znikał w mroku. Przed ujęciem Pawła T. milicja wytypowała i sprawdziła ponad 2300 osób.

## STRACH NAD MIASTEM

W sierpniu i wrześniu 1980 roku seria potwornych morderstw i gwałtów wstrząsnęła Łodzią i okolicami. Ofiarami były kobiety i małe dziewczynki (szczegółowo pisałem o nich w „Odgłosach" z dnia 9, 16 i 23 maja 1982 roku).

Łódź bije wiele rekordów.

Należy do najbardziej zurbanizowanych, najgęściej zaludnionych obszarów kraju. Na 1 km kwadratowy przypada średnio 730,6 osób (woj. stołeczne — 596,5, katowickie — 543,7). Na najniższy w miastach przyrost naturalny, najwyższy wskaźnik (obok Chorzowa) ilości zgonów. Posiada także najwyższy wskaźnik zatrudnienia na 1000 mieszkańców, jednocześnie jest jednym z miast o najwyższej w świecie zawodowej aktywności kobiet — pracujących w systemie trzyzmianowym.

Byłby to niewątpliwie szkic do portretu miasta.

Obraz wielkiej milionowej aglomeracji. Dużo starych budynków i wiele ciemnych ulic. Szukać wampira, to jak igły w stogu siana.

Miasto było zbulwersowane i wzburzone. Pamiętam te dni. Wieść o wampirze sparaliżowała normalny rytm życia wielkiego miasta. Te elementy nie sprzyjały prowadzeniu śledztwa. Milicji trudniej jest robić swoje, gdy na tak ogromne miasto pada przerażenie.

Ludzie się podzielili — na tych, którzy strachowi ulegli. I na tych, którzy śmiało w każdym ciemnym kącie go wypatrywali.

Ostrzegano mieszkańców.

Uruchomiono telefon ze specjalnym numerem, pod którym przyjmowano sygnały o każdym podejrzanym osobniku.

Milicja sprawdzała starannie każdą informację, której każdy szczegół analizowano. Sprawdzała dziesiątki, setki, a może tysiące osób podejrzanych o seksualne odchylenia od normy. Nie zaniedbywała zrobienia żadnego potrzebnego kroku.

*— Ale wampirzy są trudni do wykrycia* — powiedział mi w październiku 1980 roku kapitan Białek z Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Łodzi. — *Przed i po popełnieniu zbrodni zachowują się normalnie. Trudno w ich postępowaniu doszukiwać się logiki, ale jej na siłę się poszukuje. Powtarzają czyny. Kolejnego ich kroku oczekujemy wprawdzie z niepokojem, ale i z nadzieją, że będzie to czyn ostatni.*

Alarm dla Łodzi trwał.

W ludziach wciąż trwał strach. O Łodzi mówi się także, że jest to miasto zmęczonych kobiet, które naprawdę rzadko się uśmiechają. W tamtych dniach ich uwaga była naprężona do granic ostateczności. Reagowały na każdy szelest liści.

Szarzało, a miasto wyglądało już opustoszałe. Gdzieniegdzie tylko przejeżdżało auto. Mówiono wciąż o wampirze. W kinie wampirzy są po to, żeby wzruszać, bawić i straszyć. W tamtych dniach „wampir" tylko straszył, wprowadzał zanik inspiracji myślenia — powodując paraliż... Tak jak w opowieści o wampirze: *„Poszedł. Wiatr rozwiewał mu poły płaszcza, deszcz zacinał ostro. Ciemno było okrutnie. Kiedy zbliżył się do bramy, poczuł na twarzy mokrą i zimną rękę. Otrząsnął się ze wstrętem i strachem. Usłyszał wtedy jakby szloch dziecka, jakby jęk żałości. Nie zrażony otworzył skrzypiące wrota i maszerował dalej. Odnalazł zapuszczony grób i zdjął z niego szeleszczący upiorny wieniec. Wyciągnął nóż. Po raz drugi odczuł na twarzy śliski dotyk jakby zimnej ręki. Uniósł wtedy w górę nóż i wbił go z całej siły w zmurszałą ławkę. Z uśmiechem odwagi odwrócił się w stronę wyjścia. Zrobił krok i nagle poczuł, że ktoś trzyma go za połę płaszcza. Zesztywniał ze strachu. Upadł. Nazajutrz kompani od kieliszka znaleźli go martwego na cmentarzu, leżącego przy ławce".*

## JAK GO UJĘTO

Kapitan Henryk Grossman z wydziału dochodzeniowo-śledczego Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Łodzi:

*— Po tym ostatnim zabójstwie doszliśmy do wniosku, że coś się powtarza w metodzie jego popełniania. Kojarząc pewne fakty doszliśmy do wniosku, że na pewno musi to być ta sama osoba. Zabójstwa były dokonywane w sposób ohydny, dlatego też uwagę naszą skierowaliśmy na wszystkich typów, którzy siedzieli w zakładzie karnym i poprawczym lub z nich uciekli.*

— Ilu było podejrzanych?

*— Na początku krąg osób podejrzanych był bardzo szeroki. Wyeliminowaliśmy jednak ze zrozumiałych względów osoby starsze, niedołężne. Dziewczynka znaleziona przy torach powiedziała nam, że oprawca miał klamrę z głową byka. Inne dane wskazywały na to, że niewątpliwie była to osoba bardzo młoda...*

Kapitan Białek: — *Od jednego z dzielnicowych otrzymaliśmy notatkę, że taki i taki osobnik nie wrócił do zakładu poprawczego. Powstało przypuszczenie — potwierdzały je ustalenia śledztwa — że to mógł być On. Po trzecim zabójstwie byliśmy już raczej pewni, że był to Sołtysiak. Potem widziały go matka, ciotka i inne osoby, które stwierdziły, że niósł coś owiniętego w czerwoną szmatę, którą potem znaleźliśmy na miejscu zabójstwa. Wtedy byliśmy już na sto procent pewni. Poczynania nasze zostały skierowane już tylko na ujęcie Sołtysiaka...*

17 września 1980 roku o godz. 17.45 dyżurny dzielnicowy Komendy MO Łódź-Górna sierż. Marek Woźniak otrzymał telefonicznie informację, że poszukiwany listem gończym Krzysztof Sołtysiak stoi z dziewczyną na skrzyżowaniu ulic Dąbrowskiego i Kilińskiego w Łodzi. Na miejsce zostali wysłani st. sierżant Włodzimierz Midera, mł. chor. Edward Wasiak oraz ormowiec Władysław Pietrzak.

*— Sołtysiak w ogóle nie zorientował się* — opowiada kpt. Grossmann. — *Podjechała stara „Syrenka", która nie mogła mieć nic wspólnego z milicją. Dzielnicowy podszedł do niego i zapytał: „Sołtysiak?".*

*— Sołtysiak* — odpowiedział i dopiero wtedy zbaraniał.

A dzielnicowy do niego: — *to proszę do samochodu.*

Nie bronił się.

Przy Sołtysiaku znaleziono biżuterię, kopertę od zegarka, zegarek i bony towarowe wartości 37 centów.

*— Ściągnęli mnie z domu o godz. 21* — opowiada kpt Grossman. — *Najpierw była luźna rozmowa. — Słuchaj Krzysiek — mówiłem — jesteś chłopak młody. Nie wiadomo czy ty jesteś zdrowy czy chory, czy zrobiłeś to pod wpływem jakichś impulsów. Ja nie jestem psychiatrą i nie jestem w stanie stwierdzić, co ci dolega. Jednak wszystko faktycznie wskazuje, że jesteś chory. To ty zrobiłeś. Wypieranie się nie ma sensu. Twoja obrona może zyskać tylko na uczciwym przyznaniu się do winy i wytłumaczeniu pod wpływem czego i dlaczego to zrobiłeś.*

*Sołtysiak zaczął wtedy płakać. Powiedział dokładnie tak: „No wiem, faktycznie, zrobiłem to, zrobiłem to jedno, później to drugie. Coś mnie kusiło, nie wiem co. To trzecie później. W końcu to czwarte."*

cdn.

WACŁAW OPACKI

# Symbolika Świąt Noworocznych

EDMUND LEWANDOWSKI

W historii i kulturze wielu różnych narodów spotykamy obyczaj świętowania na przełomie starego i nowego roku. Zna go już — powstała przeszło trzy tysiące lat temu — hinduska Rigweda. Święta rozpoczynały się 25 grudnia i trwały przez d w a n a ś c i e pełnych dni. W kalendarzu liturgicznym Kościoła przypadały na okres od Bożego Narodzenia do Trzech Króli.

W naszej kulturze ludowej nazywano ten okres Godami („god" — rok) lub Dwunastnicą, ponieważ symbolizował c a ł y nadchodzący rok, a poszczególne dni świąteczne odpowiadały kolejnym miesiącom. I tak: 25 grudnia oznaczał styczeń, 26 przedstawiał lut , 27 — marzec i tak dalej, aż do 5 stycznia obrazującego grudzień. Na podstawie przebiegu tych dwunastu dni przepowiadano losy jednostek i grup społecznych w nowym roku.

Początek Świąt Noworocznych miał miejsce w dniu zimowego przesilenia słonecznego, kiedy to przemieszczający się ku południowi punkt wschodu słońca „zatrzymał się", aby po kilku dniach powoli ruszyć z powrotem na północ. Następowało wówczas odwrócenie niepokojącej ewolucji: po stopniowym ubywaniu dnia i ustępowaniu światła przed ciemnością, słońce z w y c i ę ż y ł o — przyszedł przełom, który wkrótce przyniósł wzrost jasności i coraz dłuższe dni. Wprawdzie nadal panowała zima, ale istniała już nadzieja i pewność, że zwycięskie słońce pokona siły śmierci i na wiosnę ożywi świat.

Święta Godowe zaczynano obchodzić w noc wigilijną, wraz z pojawieniem się pierwszej gwiazdy. Od tego momentu zapominano o powszedniości i wkraczano w niezwykły czas z a w i e s z e n i a praw struktury i funkcjonowania świata. Ludzie zaczynali się tak zachowywać, jak gdyby przestał obowiązywać normalny porządek w przyrodzie i społeczeństwie. Cała rzeczywistość ulegla zakłóceniu i rozprzężeniu. Mogło się teraz zdarzyć wszystko, co w zwykłych warunkach było niemożliwe: woda zamieniała się w miód, zwierzęta rozmawiały po ludzku, służba zasiadała razem z panami, przybywały duchy osób zmarłych. Świat jakby wrócił do jakiegoś mitycznego p o c z ą t k u czasu, do pierwotnego chaosu oraz Złotego Wieku. Nikt więc nie pracował, lecz wszyscy bawili się i ucztowali w powszechnej zgodzie i równości. Młodzież potajemnie przestawiała sąsiadom bramy, wozy i inne przedmioty — bezkarnie psociła i hulała, naruszając nawet uświęconą powagę nabożeństw kościelnych.

W średniowieczu także duchowieństwo zabawiało się w łamanie porządku i hierarchii. Jak podaje znany etnolog francuski Roger Caillois, kapłani przebierali się za kobiety, śpiewali sprośne piosenki i odprawiali nabożeństwo ku czci osła. Ponadto wybierali na okres od Bożego Narodzenia do Trzech Króli maskaradowego papieża lub biskupa. „*W tych bluźnierczych żartach* — czytamy — *poznajemy bez trudu dawne tendencje do okresowego obalania porządku rzeczy*".

W czasie Świąt Godowych istniał kategoryczny zakaz przędzenia, tkania i szycia. W niektórych regionach chowano nawet na te dwanaście dni kądziel i wrzeciono. Prawdopodobnie postępowano tak, ponieważ czynności przędzenia i motania kojarzyły się z układaniem i tworzeniem losu ludzkiego. Skoro zaś w okresie Dwunastnicy czas był zawieszony, gdyż stary rok dobiegał końca, a nowy dopiero miał się zacząć, to nie należało samemu niczego tworzyć. Wierzono przy tym, iż tkanie i szycie przyciąga złe duchy, które mogą zepsuć daną pracę i spowodować jakieś nieszczęście. Ten sam zakaz obowiązywał również podczas uroczystości pogrzebowych.

Ważnym elementem Godów były pochody przebierańców, wędrujących z kozą jako symbolem życia. Odgrywali oni charakterystyczną scenę zabicia i wskrzeszenia kozy, przypominając wciąż powtarzające się w świecie zjawisko zwycięstwa życia nad śmiercią. Przy tej okazji śpiewano następującą pieśń:

*Gdzie koza stąpnie nogą*
*Tam żyto wyrośnie kopą,*
*Gdzie uderzy rogiem,*
*Tam żyto wyrośnie stogiem.*
*Gdzie koza nie bywa,*
*Tam żyto nie rodzi.*

Przebierańcy prowadzący kozę szokowali widzów groźnymi maskami. Naśladowali w ten sposób potężne i przerażające moce, które z ukrycia wpływały na losy świata i ludzi. Szalejące po wsiach maszkary budziły zarazem lęk i radość; straszyły okropnym wyglądem i konwulsyjnym tańcem, lecz zwiastowały odnowę życia. Maszkary uprzytomniały też ludziom, że czas Godów jest czasem niezwykłym, zaczarowanym, w którym wszystko na nowo się aktualizuje.

Na Święta Godowe przynoszono z lasu i ustawiano w domach choinki. Te zielone drzewka stanowiły symbole kosmicznego drzewa życia, były optymistycznymi znakami wiecznie odradzającego się wszechświata. „*Kosmos* — pisze Mircea Eliade — *wyobrażony jest w postaci drzewa, gdyż tak jak drzewo p e r i o d y c z n i e s i ę r e g e n e r u j e*." Jest to symbol typowy i znany w różnych częściach świata. Kosmos wyobrażano sobie jako gigantyczne, odwrócone drzewo, którego korzenie wysoko sięgają nieba, a gałęzie rosną w dół i dotykają ziemi. Dlatego dawniej niektórzy zawieszali małe choineczki u pułapu, wierzchołkiem w dół.

Z czasem na bogatą obrzędowość ludową i pogańską nałożyła się liturgia chrześcijańska, ponieważ Kościół przejął zasadę obchodzenia własnych uroczystości w tych samych dniach, w których istniały tradycyjne święta ludowe. Stąd między innymi wzięło się 25 grudnia Boże Narodzenie. Po raz pierwszy obchodzono je tego dnia w 354 roku. Przedtem był to pogański Dzień Narodzin Niezwyciężonego Słońca, a odtąd miały się odbywać uroczystości upamiętniające urodziny Jezusa Chrystusa. Święto chrześcijańskie uczyniono przeciwwagą dla pogańskiego, ale ludność długo jeszcze przede wszystkim świętowała narodziny słońca. W sto lat po ustanowieniu 25 grudnia święta Bożego Narodzenia, papież Leon Wielki ubolewał, że niektórzy wierni — wstępując do bazyliki św. Piotra — „*odwracają się i schylają pokornie głowę w kierunku słonecznego dysku.*" W związku z silnym przywiązaniem do dawnego święta pogańskiego, pewien biskup Turynu zajął stanowisko kompromisowe i podczas kazania wigilijnego powiedział: „*Jest rzeczą dobrą, że lud nazywa dzień urodzin Pana naszego dniem »Sol novus«. Nie usiłujemy bynajmniej tego zmienić, gdyż wraz z narodzinami Zbawiciela następuje odnowa zbawienia dla całego rodzaju ludzkiego, ale również jasności słońca. Jeżeli podczas męczeństwa Chrystusa słońce się zaciemniło, musi ono z konieczności zaświecić jaśniej w dniu jego narodzin.*"

Za sprawą Kościoła zmieniła się pierwotna symbolika Świąt Noworocznych. Miejsce pogańskiego Złotego Wieku zajął biblijny Raj, wśród przebierańców pojawiła się postać złego króla Heroda, zaś choinka, zamiast drzewa kosmicznego, zaczęła oznaczać rajskie drzewo życia. Ta nowa symbolika, co łatwo zauważyć, jest w istocie dość podobna do starej. Chrześcijańskie Święta Bożonarodzeniowe, tak samo jak ludowo-pogańskie Święta Noworoczne, zawierają wyobrażenie mitycznego początku dziejów i wieku szczęśliwego oraz wyrażają nadzieję, że świat się odrodzi i życie zmartwychwstanie.

Biblia podaje, że pierwsi ludzie — Adam (=człowiek) i Ewa (=dająca życie) — zostali umieszczeni przez Boga w ogrodzie zasadzonym gdzieś na wschodzie, w tajemniczym kraju „Eden". Nazwa ta po hebrajsku znaczy „rozkosz", a w innych językach semickich oznacza żyzną i nawodnioną równinę. Żydzi, podobnie do Babilończyków i Asyryjczyków, lokowali rajską Krainę Życia na terenie Mezopotamii — między Eufratem i Tygrysem.

W środku Raju miały rosnąć dwa drzewa: „drzewo życia" oraz drzewo „wiadomości dobrego i złego". Według Pisma Świętego, Bóg stanowczo zakazał — pod groźbą śmierci — spożywania owoców tylko z z drzewa poznania, nic zaś nie mówił o pierwszym drzewie. Dopiero po wykroczeniu praroździców i popełnieniu grzechu pierworodnego okazało się, że drzewo życia również było z a k a z a n e dla ludzi. Wypędzając Adama i Ewę z Raju, Bóg uzasadnił ten krok następująco: „*Oto człowiek stał się jako jeden z nas: zna dobro i zło. Byleby tylko nie wyciągnął teraz ręki swej i nie zerwał owocu także z drzewa życia, i nie zjadł, a potem żył na wieki*". Bóg więc obawiał się, że człowiek dzięki zdobytej wiedzy pozna się na drzewie życia i zdobędzie nieśmiertelność. W celu uniemożliwienia mu tego, wygnał go z cudownego ogrodu w krainie Eden, a na straży drogi do drzewa życia umieścił „cheruby i płomienisty miecz wirujący."

Symbolem edeńskiego drzewa życia jest dziś bożonarodzeniowa choinka. Jak przystało na drzewo rajskie, bywa gęsto obwieszona ładnymi i dobrymi rzeczami, których w okresie świątecznym zrywać nie wolno. Zwyczaj ubierania choinki przywędrował do Polski przed dwoma wiekami z Niemiec, a upowszechnił się i utrwalił dopiero w ciągu pierwszej połowy XX wieku. Ale obecnego pochodzenia jest tylko sama f o r m a tzn. choinka o z d o b i o n a różnymi świecidełkami i smakołykami. Natomiast w ogóle nabożeństwo do zielonego drzewka było w Polsce znane od niepamiętnych czasów. Jak już wspomniano wyżej, nasi pradziadowie od dawien dawna przynosili do mieszkań w okresie noworocznym zielone drzewka lub gałęzie. Praktyki te początkowo potępiał i zwalczał, jako pogańskie, Kościół, lecz później stopniowo pogodził się z nimi, nadając im jednak własny sens.

Począwszy od nocy wigilijnej, aż do Trzech Króli, życie rodzinne skupiało się wokół choinki i świątecznego stołu: śpiewano kolędy i pastorałki, wspominano zmarłych krewnych i dzieje najbliższej społeczności oraz obficie jedzono i pito. Wesoły nastrój przypominał szczęśliwe czasy utraconego Raju i zapowiadał pomyślną przyszłość w nowym roku. Dwunastodniowe Gody powinny być czasem pojednania, pokoju i szczęścia, gdyż wszelkie zło zaistniałe w tym okresie rzucało złowrogi cień na odpowiednie miesiące nowego roku. Toteż do wieczerzy wigilijnej winno się zasiadać w absolutnej zgodzie, a ponadto należało zostawić miejsce dla niespodziewanego gościa i nawet zaprosić zwierzęta. Starsi przestrzegali dzieci, żeby unikały wykroczeń i przez to bicia, gdyż bicie w dniach Godów zwiastowało lanie przez cały nadchodzący rok.

Podobny zwyczaj wróżenia przyszłości w miesiącach nowego roku na podstawie przebiegu uroczystości noworocznych znano już także w starożytnej Babilonii. Z okazji święta Nowego Roku — trwającego tam również dwanaście dni, lecz w porze wiosennego zrównania dnia z nocą — wyciągano losy na każdy z nadchodzących miesięcy. W czasie świąt babilońskich tak samo też ulegały zawieszeniu wszystkie bieżące sprawy, a ludność odgrywała sceny chaosu oraz uwięzienia i następnie uwolnienia boga słońca Marduka. Analogiczne elementy występowały także podczas staroperskiego święta „Nawroz".

Jak z tego wynika, Święta Godowe czy Bożonarodzeniowe są niezwykle głęboko zakorzenione w ludzkiej kulturze i mają długą tradycję oraz bogatą symbolikę. Warto chyba o tym wiedzieć i pamiętać w końcowe dni starego i początkowe dni nowego roku.

# Skandalu w Leśmierzu część druga

Pierwsza informacja, zamieszczona w 47 nr „Odgłosów" z dnia 19 listopada 1983 r., dotycząca karygodnego postępowania lekarza, kierownika tamtejszego ośrodka zdrowia zbulwersowała opinię publiczną. Ku jej uspokojeniu, w prasie codziennej i telewizji ukazały się komunikaty Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu m. Łodzi, donoszące, iż po zbadaniu „*wiarygodności zarzutów sprawa będzie podana do wiadomości*". Chwali się, że kompetentne władze zainteresowały się wreszcie postacią lekarza, którego od dawna powinny mieć na uwadze. Lecz na swój wewnętrzny użytek wydział zdrowia stara się sprawę bagatelizować. „Znów się czepia służby zdrowia!" „Komu i po co takie teksty, czemu mają służyć? Tania sensacja!"

Najwdzięczniej przyjęli artykuł najbardziej zainteresowani, ubodzy pacjenci doktora Krawczyka. Uwierzyli, że w końcu będą mogli spokojnie, zależnie od potrzeb, nie od stanu własnej kieszeni, korzystać z opieki medycznej. Tyle, że kiedy rozmawiałem z nimi ponownie, nikt nie chciał ujawniać się.

— *Tylko proszę nie podawać mojego nazwiska. Wolę nie mieć do czynienia z doktorem Krawczykiem. Nachodzi nas. Zaraz, kiedy pokazał pan publicznie te wszystkie brudy, wziął na warsztat wymienionych w gazecie ludzi. Biegał jak opętany od jednego do drugiego. Wyzywał, groził, gwałtem zmuszał do odwołania tego, co powiedzieli. Jak wiem, to nikt chyba się nie ulękł, za wyjątkiem tej pielęgniarki, co do redakcji pisała. Ale wiadomo doktor jej kierownik, może się bała, że z pracy ją wyrzuci. Mamy dość kłopotów. Milicja też nas wypytywała. Być może czekają jeszcze sądy? Starsi schorowani pewnie za świadków nie pojadą? Bo jak? My prawdę mówiliśmy, lecz kto wie jak jeszcze będzie. Doktor nadal mocny, odgraża się, że i tak nawet kupa rady mu nie damy. Psu na księżyc też szczekać wolno, tak nam wykrzyczał...*

Komendant Komisariatu MO w Ozorkowie, Zbigniew Wojcieszek i jego zastępca, Zbigniew Czekalski powiedzieli:

— *Poszliśmy pana śladem. Wszystko się potwierdziło. Znalazło się też sporo nowych faktów. Na obecnym etapie nie możemy się ustosunkować do całości. Materiały z czynności sprawdzających przekazaliśmy 10 grudnia do prokuratury. Wiem jedno — dopóki doktor Krawczyk jest w Leśmierzu, ludzie będą się bać. Wszystkiego nie powiedzą. Pan doktor nie próżnuje, odwiedza swoich pacjentów. Straszy, grozi.*

Prokurator Dylik, szef Prokuratury Rejonowej w Zgierzu:

— *Postępowanie karne już wszczęto. Sprawa w toku. Opinię publiczną będziemy informować po jej zakończeniu. Przyznaję, iż po raz pierwszy stykamy się z tego rodzaju historią.*

Środowisko lekarzy jest wstrząśnięte. Ci, z którymi rozmawiałem, nie byli w stanie pojąć procederu wystawiania aktów zgonu bez oględzin denata. To sprawa kryminalna! Można pogrzebać kogoś żywcem lub stać się nawet wspólnikiem zbrodni... Pieniądze, sposób ich dawania, różnie z tym bywa. Zdarzają się pacjenci, którzy wciskają je na siłę. Potem się chwalą. Niestety, tych ludzi, z którymi rozmawiałem, posądzić o to nie można. Zwykli, niezamożni, schorowane rencistki, matki żyjące w trudnych warunkach, obarczone dziećmi. Nic też nie wskazywało, że pomawiają doktora. Skołatani niełatwą codziennością, często utrudzeni ponad miarę, akurat o ten jeden problem mieli za dużo. Harują ciężko, a ktoś bogaci się ich kosztem, wykorzystuje w najbardziej perfidny sposób. Dziwić się nie można, że szala goryczy przebrała miarę. I oni oburzali się na sposób wydawania aktów zgonu.

— *Panie, kto wie, czy tu jakiego żywcem przez pomyłkę nie pochowali, albo coś gorszego nie wydarzyło się umyślnie. Ludzie bywają różni. Na wsi konflikty wielkie, o ziemię, o majątek. Czasem jakaś matka, albo stary ojciec za długo męczą się na tym świecie i trza im pomóc. Takie świadectwo zgonu, za pieniądze, bez oględzin nieboszczyka, to woda na młyn, na ludzką złość, jakby wskazywanie palcem drogi do złego...*

Zaraz następnego dnia po ukazaniu się publikacji zarządzeniem wewnętrznym dyrektora ZOZ-u w Zgierzu, dra Jerzego Pasińskiego, powołano specjalną czteroosobową komisję, która natychmiast przystąpiła do pracy. Zadanie miała niełatwe.

Dr Jerzy Pasiński:

— *Postępowanie wyjaśniające jest zakończone. Po opracowaniu materiałów zostaną one przekazane do Rzecznika Dobra Służby Zdrowia, który zadecyduje co dalej. Zarzuty w przeważającej części się potwierdziły. W związku z tym, 8 grudnia 1983 roku doktor Krawczyk zaprzestał pracy w ośrodku. Jednocześnie rozwiązałem z nim umowę w trybie ustawowym. Sprawy orzecznictwa, czyli problem zwolnień lekarskich pracowników PGR i cukrowni są jeszcze badane. Potrwa to przynajmniej kilka miesięcy. Komisja sprawdza lata 1980—83, tj. cały okres pracy doktora Krawczyka w Leśmierzu. Na wakujące obecnie miejsce oddelegowano innego lekarza. Być może, że wkrótce uda się dokooptować jeszcze jednego, aby pacjenci mieli opiekę choć cztery razy w tygodniu. Myślę, że maksymalnie w ciągu trzech miesięcy znajdziemy lekarza na stałe, o ile dr Krawczyk opuści w tym czasie mieszkanie służbowe lub jeżeli Urząd Gminy zapewni inny lokal.*

Ze zwolnieniem mieszkania kłopotu być nie powinno. Doktor Jerzy Krawczyk kończy właśnie budowę luksusowego segmentu na Retkini. W trosce o dobro byłych pacjentów na pewno przyśpieszy ostatnie, kosmetyczne prace.

— *Obawiam się, że zespół badający zasadność zwolnień lekarskich pracuje w taki sposób, aby całą aferę wyciszyć* — powiedziała jedna z pracownic Ośrodka Zdrowia w Leśmierzu — *Żeby panu doktorowi za wiele nie udowodniono. W poniedziałek, 21 listopada br., przybył do nas doktor z Przemysłowej Służby Zdrowia. Obaj panowie uzgodnili, jaka partia materiału będzie kontrolowana. Doktor Krawczyk wziął karty chorobowe do siebie na górę i przygotował potrzebną dokumentację. Tak się dzieje za każdym razem. Najpierw nasz doktor „pracuje" nad kartami, wyszukuje oczywiście do tego celu grzbiety zwolnień, a potem komisja „bada" opracowany materiał. Czy o taką kontrolę chodziło?*

*Wyobrażam sobie, że nie. Ale cóż, my, zwykli śmiertelnicy, możemy wiedzieć na temat wytycznych do pracy wysoko wyspecjalizowanych zespołów kontrolujących. Widocznie istnieją jakieś reguły gry...*

Zastępca dyr. ZOZ-u zgierskiego, mgr Ewelina Rudnicka:

— *W trakcie dotychczasowych prac komisji ujawniły się dodatkowe zarzuty. Atmosfera wokół artykułu jest bardzo przychylna, tekst został dobrze przyjęty przez społeczność Leśmierza. Również pracownicy służby zdrowia, zwłaszcza lekarze są bardzo oburzeni postępowaniem doktora Krawczyka. Uważają, że jest to przypadek krańcowy, wynaturzenie kompletne, które w ogóle nie powinno zaistnieć.*

Odniosłem wrażenie, że również sam dyrektor ZOZ-u, dr Jerzy Pasiński, mimo iż publikacja sprawiła mu sporo kłopotu, przysporzyła pracy, osobiście nie ma żalu do autora. Natomiast kierownictwo łódzkiego Wydziału Zdrowia jest zdania, że wszelakie nieprzyjemne wydarzenia służba zdrowia winna załatwiać we własnym gronie. Stąd, ilekroć pisałem o naruszaniu prawa, etyki lekarskiej, niedbalstwie, braku odpowiedzialności, starano się sprawy wyciszać, czasem nawet skutecznie. Czy historię z Leśmierza może spotkać podobny los?

22 listopada 1983 r. otrzymałem list dotyczący między innymi losów skargi wysłanej do Wydziału Zdrowia na lekarza, który kilkakrotnie odmówił pomocy chorym dzieciom. Załączono do listu zdumiewająco zaskakującą odpowiedź firmowaną pieczątką i podpisem zastępcy lekarza wojewódzkiego, dra Tadeusza Rześniowieckiego:

*Niemniej zachowanie się ob. Z. Barczewskiego w przypadkach opisanych przez obywatela było także naganne, w związku z czym Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej wyraża ubolewanie, iż chorzy potrzebujący pomocy lekarskiej nie mogli jej otrzymać na terenie ośrodka kolonijno-wczasowego tylko z p o w o d u n i e d o p a t r z e n i a a d m i n i s t r a c y j n e g o.*

Odkąd to etykę lekarską i przysięgę Hipokratesa nasz rodzimy medyk zastępuje oficjalnie, wobec nagłych potrzeb bliźnich, przepisami administracyjnymi, dyktującymi, kiedy i których pacjentów należy przyjmować... Nic dziwnego, że przy tak pobłażliwym traktowaniu ewidentnych wykroczeń liczba ich i ciężar gatunkowy ciągle wzrasta. Podtrzymuję, iż absolutnie nie jest winą władz służby zdrowia, że jakiś tam doktor Krawczyk wymusza od pacjentów pieniądze, ale że nie czyni się nic w kierunku likwidacji podobnych nadużyć, że brak jest odpowiedniego nadzoru, kontroli... Więcej, wyciszaniem afer stwarza się odpowiedni klimat dla prosperity różnych cwaniaków, którzy czują się bezkarni, bezpieczni! Środowisko lekarskie jest skorumpowane! Ile biorą za swoje usługi utytułowane sławy i to oficjalnie, w państwowych klinikach, szpitalach — przecież innych, prywatnych w kraju nie mamy — nie jest dla nikogo tajemnicą. Prawie każdy ordynator pracujący w spółdzielni ma na swoim oddziale prywatnych pacjentów, których sam kieruje... Kto, kiedy i za ile — taki wykaz na wyraźne życzenie wydziału mogę sporządzić. W końcu ktoś musi zacząć mówić prawdę, skoro kompetentni zupełnie sobie ze swymi problemami nie radzą lub nie chcą ich widzieć.

I sekretarz Komitetu Gminnego PZPR w Ozorkowie, Jan Marlicki:

— *Bardzo dobrze, że o Krawczyku pan napisał. Ktoś powinien to zrobić już dawno. Artykuł spowodował, że wreszcie załatwiono sprawę.*

Naczelnik Gminy Ozorków, Elżbieta Gieraga:

— *Teraz mogłam wnieść na piśmie do dyrekcji ZOZ-u w Zgierzu o natychmiastowe odwołanie lekarza z Leśmierza. Nadużył społecznego zaufania. Od trzech lat, mimo, że powiadamialiśmy wydział zdrowia, nie mogliśmy dać sobie rady z butnym, bezczelnym doktorem. Dziękuję za podjęcie tematu.*

Sprawa doktora Krawczyka bynajmniej nie jest ewenementem w pracy terenowej służby zdrowia. Tylko dlatego udało mi się z wielką łatwością zebrać materiał właśnie do niej, że poczynał sobie po prostacku, bez żadnych oporów, ani sztuczek. Czuł się zbyt pewnie...

EDWARD BRYL

# Reżyserskich „eksperymentów" nie będzie

**Rozmowa z Renzo GIACCHIERIM — dyrektorem „ARENY" w Weronie, reżyserem przedstawienia „Łucji z Lammermoor" w łódzkim Teatrze Wielkim.**

**— Od jak dawna jest pan dyrektorem sceny operowej „Arena" w Weronie?**

— Stanowisko „sovrintendente", czyli odpowiednika „dyrektora naczelnego" teatrów operowych w Polsce, objąłem niespełna półtora roku temu.

**— „Arena" w Weronie to „Teatro all'aperto", czyli teatr plenerowy dający swoje spektakle w dwóch miesiącach wakacyjnych. Ale czy tylko?**

— Istotnie. „Arena" jest powszechnie znana ze swoich letnich przedstawień, których rozmiar i wystawa nie mają równych sobie. Jedyną nieco mniejszą konkurencją są spektakle operowe „Caracalla" w Rzymie, na ruinach dawnych łaźni rzymskich zbudowanych przez cesarza od którego przyjęły swoją nazwę. Jednakże widownia werońskiej „Areny" pomieści 18 tysięcy widzów, podczas gdy „Caracalla" w Rzymie — około 10 tysięcy. W okresie zimowo-wiosennym dajemy również przedstawienia, lecz w gmachu zamkniętym, w „małym" teatrze, który mieści mniej więcej tyle widzów, co Teatr Wielki w Łodzi.

**— Jak wygląda zespół pańskiego teatru?**

— Generalnie nie odbiega od systemów teatrów operowych we Włoszech; orkiestra, chór i większość drugoplanowych solistów — są zaangażowani na stałe, natomiast do poszczególnych oper angażujemy „gwiazdy", najbardziej renomowanych i lubianych śpiewaków na świecie, którzy specjalizują się bądź to w konkretnych partiach operowych, bądź w wybranych przez siebie kompozytorach. Specjalizacja taka wynika, oczywiście, z wokalnych predyspozycji wykonawczych. W okresie jesienno-zimowym zespół wyjeżdża na gościnne występy „fuori d'Italia". I tak np. z Polski jadę prosto do Szwajcarii, gdzie zaprezentujemy kilka przedstawień operowych.

**— Jakie opery i z jakimi wykonawcami wystawi pan w Weronie?**

— Prócz spektakli baletowych i „Aidy", będącej stale w repertuarze, ze względu na piękno muzyki, oryginalność fabuły i możliwości wspaniałej wystawy na scenie „Areny", pójdą m.in. „Carmina Burana" Orffa, „I Lombardi" Verdiego, „Tosca", „Carmen" i — jako ciekawostka — konfrontacja „Manon Lescaut" dwóch różnych kompozytorów, mianowicie Pucciniego i prawie zupełnie nieznana, do niezwykle pięknej muzyki Daniela Francois Aubera. Widzowie podziwiać będą mogli takie znakomitości, jak: Placido Domingo, José Carreras, Giacomo Aragall, Shirley Verrett, (śpiewająca Toscę i Carmen), Raine Kabaivanska, Ruggiero Raimondi i innych.

**— W grudniu 1983 roku cały świat kulturalny obchodził 60-lecie urodzin „primadonny stulecia" — Marii Callas. Łódzki Teatr Wielki zorganizował z tej okazji „Koncert Galowy". Pan oglądał przedstawienia z Marią Callas, m.in. „Traviatę", „Lunatyczkę" i inne. Jakie wrażenie wywarły one na panu? Na czym polegała niezwykłość tej wielkiej divy operowej?**

— Mówi się, że każdy śpiewak ma „coś" charakterystycznego, „coś" niepowtarzalnego, różniącego go od innych artystów. W wypadku Callas, to „coś" jest absolutnie charakterystyczne i absolutnie niepowtarzalne. Głos, który robi wrażenie, który podnieca, który zachwyca sugestywnym wykonawstwem, który zadziwia szeroką gamą możliwości, jeśli do tego dodamy wprost genialny talent aktorski, który pozwala przypuszczać, że gdyby Callas nie zrobiła kariery śpiewaczej, to mogłaby być równie wielką aktorką.

**— Jako rodowity rzymianin, mieszkający w Wiecznym Mieście jest pan zorientowany w szczegółach owego fatalnego wieczoru w Teatro dell'Opera w Rzymie, dnia 2 stycznia 1958 roku, określanego „skandalem rzymskim" po którym pisano wówczas że „od czasu sławnego recitalu Nerona Rzym nie był świadkiem podobnie ognistego wieczoru muzycznego".**

— Tak, byłem świadkiem wydarzenia, które w jakiś sposób zaważyło na dalszej karierze Callas. Jeszcze na długo przed godziną 9 wieczór okupowałem wraz z moimi rówieśnikami miejsca na galerii ostatniego balkonu. Sam wtedy byłem wściekle rozczarowany przerwanym przedstawieniem po całej pierwszej scenie z „Casta Diva". Jednakże w latach późniejszych, kiedy ciężka praca w operze stała się również moim udziałem zrozumiałem wszystko. Zrozumiałem i w pełni usprawiedliwiam ówczesną decyzję Callas. Proszę sobie wyobrazić chwilę, że to pan jest tą genialną uwielbianą primadonną, że właśnie jest uroczyste otwarcie sezonu w Operze Rzymskiej, że RAI transmituje, że najwięksi melomani i administratorzy zjechali z całych Włoch na to przedstawienie, że to właśnie „Norma" — najtrudniejsza ze względu na wszechstronność wokalną partia sopranowa, że na widowni jest prezydent Cronchi, no i że wszyscy oczekują czegoś zupełnie nadzwyczajnego... Proszę sobie również wyobrazić, że po odśpiewanej arii w I akcie upewnił się pan, iż kilkudniowa niedyspozycja, mimo chwilowej przerwy, nie minęła, a się pogłębiła i że nie będzie pan w stanie nie tylko zadośćuczynić wszelkim oczekiwaniom, ale po prostu nie da pan rady wyśpiewać tej piekielnie trudnej partii do końca, która wymaga nie tylko wyjątkowej predyspozycji do jej wykonania, lecz także wyjątkowej dyspozycji danego dnia. Myślę, że sprawa prosta! Żaden mądrze myślący artysta i do tego odpowiedzialny, nie ryzykowałby aby być później okrzyczanym że „już się skończył". Ponadto jej choroba była przecież usprawiedliwiona licznymi oświadczeniami lekarskimi, a sam prezydent z małżonką wyrazili Callas nazajutrz osobiście przez telefon swoje ubolewanie z powodu jej niedyspozycji w tak ważnym dla niej występie.

**— Zmieńmy temat. Renato Castellani napisał scenariusz i wyreżyserował 9-odcinkowy serial telewizyjny pt. „Verdi". Ciekaw jestem, w jakim stopniu według pańskiej oceny udało się scenarzyście-reżyserowi przekazać widzom prawdę z życia tego największego z włoskich kompozytorów operowych?**

— Serial telewizyjny, którego oryginalny tytuł u nas brzmi „La vita di Verdi", jest według mojej opinii nieudaną próbą przedstawienia postaci Verdiego. Pomijam fakt, że jest to jeden z najdroższych seriali, który kosztował dziesiątki miliardów lirów. Verdi został fałszywie przeintelektualizowany, niesłusznie przedstawiony, jako sprytny artysta, chytrze wykorzystujący dobrą passę. Niezwykłość postaci Verdiego polega na tym, że był on i pozostał przez całe życie chłopem z natury, będącym przy okazji geniuszem muzycznym. Ten chłop „z krwi i kości", uparty, nieskomplikowany, niewyrafinowany, prosty w obyciu — pracował albo przy fortepianie, albo z łopatą w ogrodzie w swojej posiadłości w Sant'Agata.

Giuseppina Strepponi natomiast została nieco „przesłodzona", przesadzona w swej „anielskości". To fakt, że pozostała wierną towarzyszką życia Verdiego, jednakże nie była tylko aniołem, zostawiając dwoje nieślubnych dzieci, którymi się nie interesowała.

Poza tym — poważny zarzut to niedosyt muzyki Verdiego. Film zilustrowany został albo mało ciekawymi fragmentami z oper Verdiego, albo — jeśli w większych fragmentach — to tymi bardzo ograny mi.

**— Zachęciłbym pana i dyrekcję Teatru Wielkiego do zaprezentowania polskim melomanom jednej z oper młodego Verdiego: „Ernaniego", „Makbeta", „Nabucco..."**

— Z prawdziwą przyjemnością jestem gotów ponownie przyjechać do Polski i zrobić coś w teatrze, jeśli tylko odpowiednio na czas zostanę powiadomiony.

**— Jak pan się czuje w polskim zespole operowym? Co pan sądzi o polskich artystach-śpiewakach?**

— Nawet gdyby to zabrzmiało jak banalny komplement, to szczerze wyznam, że urzeka mnie wasza gościnność i serdeczność. Soliści, z którymi przyszło mi współpracować nad realizacją opery Donizettiego, są zdyscyplinowani, solidni i pracowici.

**— Jakiego rezultatu możemy spodziewać się po pracy pana nad premierą „Łucji z Lammermoor" w Teatrze Wielkim w Łodzi?**

— W tym jedynym wypadku wstrzymam się od głosu, gdyż pełną ocenę pozostawiam widzom. Powiem tylko tyle, że żadnych „eksperymentów" reżyserskich proszę się nie spodziewać, gdyż wychodzę z założenia, że tak dalece romantyczny temat i muzyka, jaką całościowo tworzy opera Donizettiego „Lucia di Lammermoor", winny być potraktowane, jeśli chodzi o stronę reżyserską, w tradycyjnym, równie romantycznym stylu.

**Rozmawiał:**
**WALDEMAR PAWŁOWSKI**

# Z życia marionetek

Ostatni film Bergmana naśladuje porządek policyjnego protokołu. Rozpoczyna go zbrodnia na prostytutce, dalszy zaś ciąg to drobiazgowe śledztwo, ustalające motywy tej zbrodni. Skromne środki gazetowa sprawozdawczość stylu, jakim informuje się nas o faktach zaistniałych przed zbrodnią, nie czyni jednak filmu mniej głębokim psychologicznie i filozoficznie. Jest on w końcu dokładnym zapisem poprzedzających zbrodnię wywiadów z mordercą.

W gabinecie psychiatrycznym zjawia się bowiem na wiele czasu przed katastrofą młody człowiek, chcący zabić swą żonę. Uparcie prześladuje go myśl zabójstwa i psychiatra ostrzega partnerkę swego pacjenta, iż jest on niebezpieczny.

Znamienne, iż rzecz dotyczy nienagannego dotychczas pracownika jak i łagodnego spokojnego męża, którego nikt nie podejrzewałby o wybryk tego rodzaju. Być może właśnie ta łagodność i to podporządkowanie społecznym konwenansom, niewyładowywanie agresji jest przyczyną coraz silniejszej melancholii, w którą wpada bohater. Jego sny dotyczące zbliżeń erotycznych z żoną, wypełnione są potrzebą czułości i tkliwości. Charakterystyczne, że w jednym z tych snów agresję wzbudza uśmiech żony, który w momencie zbliżenia jest oznaką jej chłodu, dystansowania się do aktu, w którym uczestniczy tylko ciałem. Uśmiech ten kojarzy się bohaterowi z prostytutką, która właśnie jest oddawaniem się bez podniecenia, na zimno, tym straszniejszym, jeśli ma miejsce w małżeństwie. Właśnie ten wzbudzający agresję uśmiech żony, który nastąpił w czasie sennej idylli, przerywając misterium nagiej bliskości, powinien być sygnałem dla psychiatry, słuchającego wynurzeń swego pacjenta. Zdaje się on być jednak bardziej zainteresowany jego żoną, która na niedwuznaczne propozycję reaguje odmownie nie od razu, bo dopiero w łazience psychoanalityka i już rozebrana. W mężu podsłuchującym przypadkowo tę scenę, wprawdzie bez finału, narasta niechęć do żony, tym większa, im bardziej odbiega ona od jego matki, wyznaczającej w podświadomości bohatera stereotyp ideału kobiecości. Zresztą obie najbliższe mu osoby, poświęcające mu więcej czasu na karierę zawodową, niż na życie rodzinne i uczuciowe, nie zaspokajają jego osobistych potrzeb. Żona bohatera z niechęcią przyjmuje wiadomość o wizytach w jego rodzinnym domu i na ogół stara się ich uniknąć, przeczekując czas ich trwania przy kieliszku. Obie kobiety wchodzą w więź intymniejszą dopiero po nieoczekiwanym zabójstwie, rozpoczynającym trwałą chorobę psychiczną bohatera.

Po wizycie w zakładzie, gdzie jest on już automatem, z nieruchomym wzrokiem wykonującym w swojej celi rytualne zabiegi higieniczne, do jakich przywykł od dzieciństwa, rozpacz i świadomość bezradności wobec nieszczęścia, skłania żonę bohatera do pierwszej od wielu lat wizyty u swej teściowej. Dotychczas rywalizujące z sobą o udział w życiu najbliższego im mężczyzny kobiety siedzą naprzeciw siebie pojednane tragedią, najzupełniej nieoczekiwanie, przerywającą ich dotychczas pozbawioną sensacji egzystencję.

W zasadzie obie są niewinne nagłemu wycofaniu się bohatera z życia publicznego, z owego monotonnego rytmu codziennego życia wyznaczonego pracą. Tak zwana normalna egzystencja polegająca na niezastanawianiu się nad owym prarytmem i powierzchownym prześlizgiwaniu się przez rzeczywistość, przestaje bohatera w momencie doświadczenia „trwogi" interesować. Coraz częściej zamyśla się w pracy, coraz częściej jej treść dotychczas przezroczysta eksploduje nudą zrutynizowanych czynności, a wlokący się czas, staje się uświadamianym koszmarem do przeżycia nie przemykając tak bezszelestnie, jak w pełnym zmian i przygód dzieciństwie.

Znamienne, iż bohater robi wrażenie nie w pełni dojrzałego, mimo kierowniczej funkcji pełnionej w pracy wręcz chłopięcego w swojej potrzebie matczynej opieki, której niedopieszczony w dzieciństwie, szuka u żony. Żona zaś, to osoba z pewnością dojrzała, robiąca wrażenie starszej od swego partnera. Zbrodnia, która staje się udziałem głównego bohatera jest spowodowana właśnie czułością i macierzyńskością prostytutki, a więc osoby, od jakiej owych gestów nie oczekiwał. Kiedy dotyka ona palcami jego twarzy i patrząc mu ze współczuciem w oczy, wchodzi w stereotyp zachowań matki, a nie prostytutki, w bohaterze eksploduje od dawna tłumiona agresja do żony, z którą ograniczone tylko do seksualnych, kontakty nabierają charakteru prostytucji. Zresztą pogarda bohatera dla kobiet nie tylko rodzi się pod wpływem zbytniego uzależnienia od matki. Współpracownik jego żony, od dawna w nim zakochany doskonale wyczuwa jego predyspozycje homoseksualne, stanowiące drugą z przyczyn zabójstwa.

I tak pozorna mieszczańska harmonia zostaje rozbita. Martwa ofiara leży naga przed zdziwionym mordercą. Zwyciężył obłęd. I tylko ta jedna scena jest w filmie Bergmana kolorowa, tak jakby rzeczywiście pełnię istnienia i naturalną barwę rzeczywistości odzyskać można było tylko dzięki szaleństwu.

Ponurość filmu, mimo iż dotyczy spraw znanych nam z naszej spętanej konwenansami rzeczywistości, w której nie sposób wyładować gromadzącej się w nas agresji, złości, nienawiści, niewątpliwie nie czyni z niego miłego w odbiorze widowiska. Jego zawartość poznawcza z pewnością interesująca dla psychiatrów, dręczy koszmarem wiedzy, o której wolelibyśmy zapomnieć w momencie wejścia do kina.

**BARBARA BARON**

# Czytając Vonneguta

Oto moja osobista historia spotkania z Vonnegutem. Było to dobrych kilka lat temu, sześć albo siedem, w Tatrach. Właśnie położyłem się spać na podłodze w schronisku na Hali Kondratowej. Bezskutecznie przewracałem się z boku na bok, gdyż moją uwagę przykuł dziwny szmer. Było to coś w rodzaju szeptu, ale przerywanego tłumionymi wybuchami śmiechu. Zaintrygowany, zacząłem się przysłuchiwać. Okazało się, że to dwaj chłopcy opowiadali sobie książki Vonneguta.

Chociaż nie wyspałem się tej nocy, przyniosła mi jednak pewien pożytek. Przeczytałem „Kocią kołyskę" i, zachęcony, inne powieści amerykańskiego sceptyka. Być może uległem po prostu modzie na Vonneguta. W latach siedemdziesiątych była taka moda. Teraz powoli przemija, podobnie jak przeminął boom literatury iberoamerykańskiej.

Nie bacząc na to „Czytelnik" wydał ostatnio wczesną, drugą w kolejności powstania powieść amerykańskiego pisarza, zatytułowaną „Syreny z Tytana". Co dziwniejsze „Syreny" ukazały się w redagowanej przez Lecha Jęczmyka serii „z kosmonautą". Jęczmyk dawno ujawnił się jako oddany miłośnik i promotor twórczości autora „Śniadania mistrzów" na polskim rynku wydawniczym. Niemniej powszechnie wiadomo, że w serii „z kosmonautą" „Czytelnik" publikuje wyłącznie fantastykę naukową. Związek Vonneguta z science fiction, jest dosyć ścisły, ale o tym dalej. Przecież nie mniej związany z fantastyką jest James Graham Ballard. Zaś jego wydana przez „Czytelnika" powieść „Wyspa" ukazała się poza serią. Co prawda „Syreny" są w swojej zewnętrznej warstwie powieścią fantastyczną. Nawet więcej: jest to powieść fantastyczna o wartkiej i żywej akcji. Nikt, kto ją w ten sposób odczyta, nie odejdzie rozczarowany. Mamy tam wszystkie realne rekwizyty: inwazja Marsjan, loty kosmiczne, zdalnie sterowani ludzie, obca cywilizacja. Akcja toczy się na Ziemi, Księżycu, Marsie, Wenus i Tytanie. Jednak treść istotna niewiele ma wspólnego z klasyczną fantastyką naukową. Natomiast „Wyspa" Ballarda jest tej powieści przeciwieństwem. Dzieje się w realiach współczesnej cywilizacji Zachodu. Posługuje się rekwizytami istniejącymi współcześnie. To raczej jej przesłanie filozoficzne, nie mówiąc już o psychologii postaci, trąci fantastyką. Nie jest to zresztą książka najlepsza.

Obie te powieści to przykłady tzw. literatury pogranicza. Literatury, w której przenikają się wpływy science fiction i literatury wysokiej. Przy czym mogą tu występować dwie sytuacje modelowe. Pierwsza, literatura wysoka zniża się do science fiction i wykorzystuje ją do własnych celów. To właśnie „Syreny z Tytana". Druga: pisarz science fiction chce wydostać się z fantastycznego „getta" i zyskać na prestiżu. Pisze „poważną" powieść. Nie muszę dodawać, że na ogół rzeczywiste efekty artystyczne daje tylko sytuacja pierwsza. Tak też jest w przypadku „Syren z Tytana". Vonnegut z pełną artystyczną świadomością puszcza w ruch swoją kosmiczną karuzelę. Kosmiczny kostium pozwala mu nabrać odpowiedniego dystansu do opisywanych problemów. A dystans to nie byle jaki, bo właśnie — kosmiczny. Patrzeć na poczynania istot ludzkich z punktu widzenia planety Tralfamadorii — cóż za lekcja pokory dla pisarza-humanisty. Przyjęcie takiej perspektywy pozwala w jaskrawy sposób obnażyć absurd ludzkich prób przeniknięcia ostatecznych tajemnic. A rzeczonych problemów jest cztery: wolność jednostki, sens istnienia jednostki, sens istnienia człowieka jako gatunku i wreszcie oryginalna koncepcja Boga. Tak, zamknąć tę powieść w getcie fantastyki, to to samo, co nazwać „Zbrodnię i karę" kryminałem. Oczywiście zachowując wszystkie proporcje.

Zza kosmicznego skafandra pisarz mruga do czytelnika. Nie traktuje międzyplanetarnych perypetii bohatera bardziej poważnie, niż Wolter wędrówek Kandyda. Ale też nie mniej.

Również z Woltera rodem jest groteskowa koncepcja, upatrująca sens ludzkiej egzystencji w dostarczeniu na Tytana kawałka blachy — części zapasowej pojazdu kosmicznego z planety Tralfamadoria. Natomiast Kościół Boga Doskonale Obojętnego wskazuje na zupełnie nieoczekiwany aspekt science fiction. Mianowicie świetnie nadaje się ona do rozważań ontologicznych, a nawet ściślej, teologicznych. Dość wspomnieć „Solaris" Stanisława Lema i jego zbliżoną koncepcję Boga Ułomnego.

Kurt Vonnegut Junior debiutował opowiadaniami science fiction. Dosyć wcześnie, bo już pierwszą powieścią udało mu się wydobyć z fantastycznego getta. Dzięki temu uniknął kompleksu mniejszej wartości w literaturze. Zapewne dlatego nie boi się w swojej twórczości sięgać do źródeł, to jest do fantastyki. Nawet w powieściach na wskroś współczesnych wprowadza postać pisarza science fiction Kilgore Trouta. Trout to po trosze alter ego autora, a po trosze portret literacki jego ojca. W powieściach Vonneguta, obok komentowania z pozycji kosmicznych amerykańskiego społeczeństwa, rzeczywiście kontaktuje się z mieszkańcami planety Tralfamadoria.

Vonnegut jest moralistą. I to moralistą surowym. Surowo osądza swój kraj i swój naród. Jego twórczość dość długi czas czekała na zdobycie popularności. Polski czytelnik był dla pisarza bardzo łaskawy. Przetłumaczono sześć z jego ośmiu powieści. Wypada i za to podziękować wydawcom.

Co do Tatr, to w tym roku nie widziałem, by ktoś tam czytał Vonneguta. Nie dałby rady w łóżku. Trudno znaleźć w schronisku miejsce do spania nawet na podłodze. Do tego miejsce na podłodze jest płatne. Ile? Pierwsza noc — sto trzydzieści, druga — dwieście, trzecia — trzysta złotych. I ten bezsens oczekuje na swojego Vonneguta.

**JANUSZ WOJDECKI**

# Bigos hultajski

## MIESZANKA FIRMOWA LITERACKO OBYCZAJOWA

### SPOSÓB NA ZŁĄ ŻONĘ

Pewien nie pozbawiony poczucia humoru pleban krakowski ogłosił w 1767 r. następującą przypowiastkę:

Miał pewny żonę bardzo złą, gniewliwą, choć ją też i korbaczem przegonił po izbie, nie pomogło. Skarży się przed sąsiadem, a on mu poradził, że ją kamieniami trzeba okładać, to będzie dobra. On też przyniósł kilka kamieni, a gdy się poczęła swarzyć, wadzić, to ją kamieniem za plecy, po bokach, ale gdy jej to nie pomogło, odpowiada mu, że nieskuteczna twoja rada, bo wziąwszy kamieniem już za plecy, już po bokach mocno i nie raz, a ona jeszcze gorsza. „Bracie, nie takich kamieni na złą żonę trzeba ale pereł, diamentów i różnych kanaków, a obaczysz, że będzie dobra".

### NA CHŁOPSKI ROZUM

Kardynał Albin Dunajewski (1817—1894), w młodości uczestnik konspiracji politycznych, członek radykalnego Stowarzyszenia Ludu Polskiego, pod koniec życia lubił samotne przechadzki poza rogatkami Krakowa. Zdarzyła mu się pewnego razu, według świadectwa ks. Józefa Makłowicza: „Anegdoty z dziedziny duszpasterskiej" (Kraków 1911) autentyczna przygoda:

Kardynał Dunajewski wyszedł za Kraków na przechadzkę. Spotkał chłopaka wiejskiego i wszczął z nim rozmowę. Wreszcie powiada kardynał: „Zdejm-no chłopcze, czapkę, a dam ci błogosławieństwo. Chłopak na to: „Jak wasze błogosławieństwo dobre to i przez czapkę przejdzie".

Okazuje się, że przytoczona wyżej anegdota ma wcześniejszy rodowód literacki. Mierny wierszopis przełomu XVIII i XIX w., niejaki Matuszewski wydał „Zbiór wierszy i bajek przełożonych z różnych autorów obcych" (Warszawa 1803), w którym odnajdujemy pierwowzór anegdoty o kardynale krakowskim. Wiersz nosi tytuł „Biskup i chłop" i stanowi interesujące dopełnienie tekstu Makłowicza:

*Gdy dnia jednego biskup lud swój błogosławił,*
*Przytomny chłop kapelusz na głowie zostawił.*
*Wtem biskup rozgniewany gani to chłopowi.*
*Chłop zaś mu odpowiada: „Nic to nie szanowi,*
*Jeśli błogosławieństwo z dobrych rąk pochodzi,*
*Przez mój kapelusz przejdzie, nic on nie przeszkodzi.*

### MAZUR I WSZYSCY ŚWIĘCI

Mazur podpity na konia oklep siadał, a gdy usiąść nie mógł, wzywał świętych pomocy każdego z osobna. „Święty Walenty, dopomóżta święty Macieju, a nuż ta!" Ale gdy to nie pomogło, zawołał „Wszyscy święci, dopomóżta!" A gdy przez konia aż na drugą stronę przesadził się, wołać począł: „Hola! hola! nie wszyscy razem!"

*S. Baracz: Bajki, fraszki, podania, przysłowia i pieśni na Rusi. Lwów 1886.*

### ZAZDROŚĆ POETY

O sercowych perypetiach Ludwika Kondratowicza, bardziej znanego pod imieniem Władysława Syrokomli, sporo wiedzą historycy literatury. Nieszczęśliwa miłość do Heleny Kirkorowej przyspieszyła zgon poety. Syrokomla, z natury kochliwy, często zaglądał za kulisy teatrów, z upodobaniem zerkając na gładkie liczka aktorek i ze zrozumiałą niechęcią na innych konkurentów łasych na względy pięknych dziewcząt. Tym bardziej zrozumiały staje się poetycki list Syrokomli do panny Z., artystki teatru wileńskiego, który powstał zapewne przed r. 1855, kiedy to poeta nawiązał ów fatalny romans z aktorką Heleną Kirkorową.

*Mnie tu męczą kaszel, kater,*
*Mnie tu dręczą dzieci płacze,*
*A tam hrabia August Plater*
*Pewno do drzwi twych kołacze.*

*Pożar rodzi się z iskierek,*
*I na wierzbie bywa gruszka,*
*Strzeż się pani, bo Platerek*
*Niebezpieczny dla serduszka.*

### FACECJE STAROPOLSKIE

Dworaczek chudeusz nieboraczek, szablina z pochew wygląda, suknia zła, sama tylko fantazja dobra, przechodząc mimo senatora, nie uchylił czapki. Markotno jegomości, że tak hardy; „Panie bracie, komu waszmość służysz?" Odpowie: „Panu Bogu". Rzecze senator: „A tak wielkiemu panu służysz, a ubogo koło ciebie". Odpowie: „Jak mu służę, tak mi płaci".

Znajdziesz się podczas w wieśniaku podobny humor. Jedzie szlachcic z ks. plebanem na jednym wózku z Krakowa, przechodzącego pyta ks. pleban chłopa: „Skądże chłopek?" Odpowie: „Z Płaszowa". Że czapki nie zdjął, obrażony szlachcic rzecze: „A czapka?" Odpowie: „I czapka z Płaszowa".

*Maciej Mateusz Fryczkiewicz (1767).*

### POWINSZOWANIE NOWEGO ROKU

*Mój Jędrzeju, biada wszędzie,*
*Rok stary dał się we znaki,*
*Lecz niech na tym koniec będzie:*
*Bodaj Nowy nie był taki.*

*Świat posępny, worek pusty,*
*Prawie każdy w ręce chucha:*
*Zgłodniały nawet oszusty*
*Pochlebcom ubyło brzucha.*

*Winko zastąpiła woda,*
*Bardzo głucho na Parnasie,*
*Nie dziw, że tak rzadko oda*
*W tym dla nas żelaznym czasie.*

*Gdy śpi Pegaz, dawniej dziki,*
*Chociaż go łaskam po boku:*
*Przyjmij więc skromne wierszyki*
*Z życzeniem Nowego Roku.*

Autor wiersza: Augustyn Zdżarski, zastępca profesora szkoły wojewódzkiej płockiej, odbiorca życzeń: Andrzej Trzciński, nauczyciel tejże szkoły. Do najlepszych życzeń pomyślnego Nowego Roku dla wszystkich sympatyków naszej mieszanki firmowej dołącza się niżej podpisany

ANDRZEJ KEMPA

1.

# Navigare necesse est...

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Jubileusz siedemdziesięciolecia Wandy Karczewskiej stwarza okazję, aby cofnąć się do źródeł twórczości autorki „Głębokich źródeł". Oznacza to, po prostu, przypomnienie pierwszej jej powieści: „Ludzie spod żagli (1937, 1948), bo dotyka ona problemów, które dojrzały wyraz znalazły w pisarstwie późniejszym. Własne, młodzieńcze fascynacje i związki z morzem przedstawiła Karczewska w charakterystyce jednej z bohaterek — Anny, przenoszącej formułę starożytnego poety — kocham i nienawidzę — na morski żywioł.

„Ludzie spod żagli" to poemat prozą o starciu dwóch sił, o nierównej walce żeglarzy z bezkresnym oceanem. To poemat „drgający krwią żył, ciosanych ud i łyd, wpartych w pokład, i byczych karków, nabrzmiałych w napięciu. Poemat nieskazitelnej konstrukcji cudownego organizmu, którego wszystkie części biją jednym zgodnym rytmem, nie odbiegając nawet o milionową część uderzenia. Pieśń siły człowieka, utrzymującego statek na powierzchni zbuntowanego żywiołu, i małpiej zręczności czarnych cieni, pnących się w czeluść bezdennego komina nocy, to znów ślizgających się po niemal prostopadłej ścianie pokładu statku, powalonego na burtę. Poemat ludzi — szarych, nieznanych bohaterów, których po tytanicznych zwycięskich potyczkach nie wita aureola chwały, uwita w laurowe wieńce i złote wawrzyny..."

Książka ta, wyrażając hołd dla ludzi morza, była w jakiejś mierze probierzem społecznych nastrojów i zachwytów dostępem Polski do morza. Ale była również uniwersalną przypowieścią o ludzkich losach, o odpowiedzialności za czyny własne i innych. Brutalny i gwałtowny Hopkins przyczynia się do śmierci młodziutkiego marynarza Svena Olafsona. Spotyka go za to zemsta starszego brata Svena — Larsa. Ten z kolei adoptuje maleńką córkę Hopkinsa. Łańcuch zamyka się. Poczucie sprawiedliwości triumfuje. Niewinna mała istota symbolizuje trwałość życia i nadzieję na moralne odrodzenie człowieka. Właśnie problemy zadośćuczynienia etycznej wrażliwości, głębokiej wartości najprostszych wzruszeń, wierności samemu sobie, dramatycznie i drastycznie zarysowane w „Ludziach spod żagli", towarzyszą pisarstwu Wandy Karczewskiej bez przerwy.

Decydując się na zastąpienie sierocie ojca Lars Olafson myśli: „musisz to jakoś odcierpieć" i w tych słowach pobrzmiewa znany z twórczości Josepha Conrada imperatyw — tak trzeba. Bo jeśli nawet życie zmusza nas ciągle do działań sprzecznych z nakazami moralności, to przecież zdarzają się chwile, w których nakazy owe nie podlegają jakiejkolwiek dyskusji. Wynagradzają jakby codzienną słabość. W imię jakiejś wyższej sankcji moralnej której istnienie zaledwie przeczuwamy, staramy się zachować szacunek we własnych oczach, pragniemy ocalić drzemiące w nas atawistyczne poczucie ludzkiej godności.

Podobnie jak bohaterowie Conrada załoga żaglowca z powieści Wandy Karczewskiej powraca, aby stanąć przed tymi z którymi wiążą jej członków więzi przyjaźni, miłości, znajomości. Ludzie morza chcą swoich bliskich dotykać czystymi rękami. Trudna to jednak sprawa. Kto potrafi wrócić z awanturniczej włóczęgi z nieskalanym sumieniem? Nie udało się to ani Kurtzowi, ani lordowi Jimowi, ani innym bohaterom autora „Smugi cienia". W powieści Karczewskiej z czystym sumieniem powraca tylko Doliwa, jedyny Polak na pokładzie, którego trzyma w ryzach przede wszystkim patriotyczna duma. Mówi on: aby być pełnym człowiekiem morza trzeba mieć w sobie właśnie tyle dlań miłości i tyle nienawiści" A co czynić żeby być pełnym człowiekiem nie tylko na morzu? Trzeba umieć podźwignąć się ze swojego upadku, trzeba umieć pokonać własną słabość trzeba umieć zrezygnować z nienawiści — jak uczynił to Lars Olafson.

Morska analogia dobrze służy literaturze. Żeglowanie wśród odmętów nie jest apologią zbijaństwa, ma za zadanie poszukiwanie celu. Navigare necesse est...

2.

Wysiłek życiowy polegający na szukaniu i ocalaniu heroicznej postawy — odgrywanie ról wzniosłych i ofiarnych, oto niezmienna problematyka pisarstwa Wandy Karczewskiej, aż po rzecz ostatnią: „Ułaskawienie świata". Jedna z bohaterek tej książki czuje się osaczona „nie tylko przez sprawiedliwość i niesprawiedliwość, przez złość i głupotę ludzką, wrogiem i prześladowcą wyda ci się każdy złośliwie sterczący na twej drodze kamień, każde szczeknięcie psa i pchły ukąszenie. I ty (...) stwierdziłaś swoim prostym rozumem bezsens egzystencji, a jednak i tobie nie jest obca «męska, heroiczna rozpacz», która mimo twego zwątpienia we wszystko, mimo uczucia samotności i wyizolowania ze społeczeństwa, pozwoliła ci szukać i znaleźć pewne niezniszczalne wartości poza nim. Co to jest? Bóg? Nikt nie widział cię nigdy modlącej się. Etyka laicka, ucząca jak żyć bez wiary i ideologii? A może jakieś maleńkie hobby? Milczysz. Cyt szanuję twoją tajemnicę. Najważniejsze że dzięki temu ty, mająca prawo do ostatecznej w sensie przedgrobowym rozpaczy, uważasz że «nadzieja nigdy nie umiera»".

Czy znajdzie się wydawca, który dla pamięci współczesnych ocali pierwszą powieść Wandy Karczewskiej?

# Aerobic—Band

A więc znów mamy! Po kilkunastu, jeśli się nie mylę, latach przerwy — duży (no może nie tak duży) zespół muzyki rozrywkowej i jazzowej. To AEROBIC-Band Adama Brzozowskiego, powołany dzięki takim mecenasom jak Wydział Kultury Urzędu m. Łodzi, Estrada Łódzka i Polskie Stowarzyszenie Jazzowe. Zespół, który powstał jakby wbrew panującej modzie!

Z „deklaracji" programowej zespołu: „... Mimo, że narodzinom naszym towarzyszyły rozlegające się wokół dźwięki elektronicznej muzyki rockowej, chcemy pozostać wierni tradycyjnemu brzmieniu żywych instrumentów. Nasz repertuar — to przede wszystkim dobra współczesna muzyka rozrywkowa, a także znane standardy jazzowe oraz akompaniamenty znanym i wybitnym wokalistom..."

I oto — w dniu 18 grudnia 1983 r. w sali Prześwietnej Filharmonii Łódzkiej — koncert premierowy zespołu. Na sali prawie komplet słuchaczy od nastolatków do „w sile wieku". Nie sądzę, aby to, niespotykane na tego typu imprezach przemieszanie generacji było wynikiem omyłek lub sugestii wynikających z nazwy zespołu. Gdyby tak — reakcje sali byłyby inne. Tymczasem różnorodny repertuar przyjmowany był ciepło i — nie wdając się w szczegóły — prawidłowo oceniany. Jak się tego spodziewał prowadzący koncert Bogusław Sobczuk — przemieszane na sali i na estradzie generacje wspólnie „...tworzyły zjawisko zwane sztuką..." (jeśli niezbyt dokładnie zapamiętałem — serdecznie Go przepraszam!).

Zapowiadane w deklaracji „brzmienie żywych instrumentów" też nie było fikcją. Choć wzmacniacze i kolumny działały, choć każdy muzyk dysponował mikrofonem, to „zelektryfikowane" były tylko gitary. No i — oczywiście — piano Fendera Reszta — to czysta „blacha", „drewno", także normalny fortepian.

Z zespołem śpiewali: Ewa Bem (jak zwykle w dobrej formie i nie stwarzająca nawet cienia dystansu do nowego bądź co bądź zespołu; to o czymś świadczy!) oraz Andrzej Zaucha, świetnie wyczuwający nastrój wieczoru i dopuszczalne granice swobody estradowej akceptowane w tym przypadku przez salę.

Nie czas (bo jeszcze za wcześnie) i nie miejsce (bo to nie rozważania krytyka) na wydawanie cenzurek zespołowi, jako całości i jego członkom, choć nie wątpię, że były już i będą „nocne rodaków rozmowy" na te tematy. Może tylko jedno: ze zróżnicowanego poziomu wykonania poszczególnych utworów wynika, iż zespół będzie miał jeszcze wiele do powiedzenia! No i — rad bym wiedzieć, co kto komponował i aranżował...

A ze całemu składowi i leaderowi naprawdę dobrze życzę — namawiam do szybkiej zmiany nazwy. Wprawdzie w firmowym napisie sprytnie wpleciono zawijas, dzięki któremu AEROBIC można też czytać jako AEROBIG, jednak tuszę, iż zespół przetrwa dłużej niż moda. Może więc AERO-BIG-BAND? Literki A (dam) i B (rzozowski) i tak zostaną!

P.S. Być może w kategoriach generalnych ważne to wydarzenie nie było. Trochę mnie jednak dziwił brak mass-mediów. Albo się ktoś na kogoś obraził, albo ja mimo posiadania matury i przeniesienia do rezerwy WP nie znam się na kuchni i kulisach tego typu imprez?

WITOLD AFELT

# Kronika kulturalna

**KRZYSZTOF Penderecki** został udekorowany przez gen. Wojciecha Jaruzelskiego Orderem Sztandaru Pracy I Klasy.

**W GRUDNIU,** na scenie Teatru Narodowego odbywał się festiwal gwiazd opery. Wystąpili m. in. **Bengt Rundgren** (Szwecja), **Karo Nurmela** (Finlandia) i **Carmen Reppel** (RFN).

**ODBYŁ** się VI Walny Zjazd Stowarzyszenia Filmowców Polskich. Wybrano nowe władze. Prezesem Zarządu Głównego został **Janusz Majewski,** wiceprezesami: **Tadeusz Chmielewski, Jerzy Hoffman** i **Marek Nowicki.**

**OGŁOSZONO** wyniki dorocznego plebiscytu na najlepszą Szczecińską Książkę Roku 1983. W dziale literatury artystycznej tytuł najlepszej, wraz z symbolicznym „Złotym Exlibrisem" przyznano **„Kronice Akaszy" Jacka Sawaszkiewicza.** (Obszerne fragmenty tej powieści drukujemy na stronie 16).

W dziedzinie literatury naukowej podobne wyróżnienie przyznano książce pt. „Rodziny szczecińskie w świetle badań empirycznych", której autorem jest prof. Ludwik Janiszewski. „Złoty Exlibris" wręczono także Andrzejowi Maciejewskiemu, artyście plastykowi, autorowi najlepszych ilustracji do książek szczecińskich wydanych w roku 1982.

**LICZNI** przedstawiciele włoskiego świata kultury i nauki, a także instytucji oficjalnych uczestniczyli w otwarciu w centrum Rzymu **wystawy poświęconej królowi Janowi III Sobieskiemu,** którą zorganizowały wspólnie: rada prowincjonalna stolicy Włoch i ambasada PRL w Rzymie. Wystawę zainaugurowali wspólnie: prezydent rady prowincjonalnej Rzymu, **Gian Roberto Lovari** i ambasador PRL we Włoszech, **Emil Wojtaszek.** Na uroczyste otwarcie wystawy przybyli także przedstawiciele duchowieństwa i Watykanu.

**W SALONIE** Sztuki Współczesnej czynna jest wystawa grafiki barwnej austriackiego artysty **Karla Korába.**

W Galerii „Bałuckiej" obejrzeć można rysunki, grafikę i struktury dydaktyczne **Pawła Michała Markowskiego.**

W Galerii Sztuki BWA ekspozycja pt. **„Historia fotografii francuskiej".**

W Salonie Fotografiki ŁTF wystawia swoje prace **Adam Wojakowski** z Bydgoszczy. W Ośrodku Propagandy Sztuki natomiast czynna jest wystawa malarstwa **Eugeniusza Gepperta.**

**POD** nadzorem konserwatorskim prowadzona jest restauracja obiektów zabytkowych w Białej Podlaskiej. Odnowiona została sześciokondygnacyjna wieża wartownicza, tzw. szyja bramowa oraz barokowa, główna brama wjazdowa do zamku Radziwiłłów. Wszystkie obiekty przekazano Muzeum Okręgowemu. Wymieniono pokrycie dachu, a także odgrzybiono i osuszono mury XVII-wiecznego gmachu dawnej Akademii Bielskiej, w którym obecnie mieści się Liceum Ogólnokształcące im. J. Kraszewskiego.

**MUZEUM** Tatrzańskie im. Tytusa Chałubińskiego, obchodzące 15 rok istnienia, przygotowało w swojej galerii sztuki w Kozińcu w Zakopanem wystawę pt. **„Portret w zbiorach Muzeum Tatrzańskiego".** Ekspozycja obejmuje ponad 120 dzieł z XIX i XX wieku.

**ROZSTRZYGNIĘTY** został V Ogólnopolski Konkurs Poetycki o Nagrodę Milowego Słupa.

Jury w składzie: **Krzysztof Gąsiorowski** (przewodniczący), **Wojciech Jamroziak, Janusz Koniusz, Stefan Rusin,** obradujące 28.10.1983 r. w Koninie przyznało następujące nagrody i wyróżnienia:

I nagrodę otrzymała **Urszula Zybura** z Kalisza, II nagrodę — **Tadeusz Chętkowski** z Płocka, III nagrody przypadły w udziale **Piotrowi Rakowskiemu** z Krakowa i **Krzysztofowi Kuczkowskiemu** z Sopotu.

Wyróżnienia otrzymali: **Jacek Maciaszek** z Łodzi, **Władysław Katarzyński** z Olsztyna, **Lech Lament** z Turku, **Jan Piotr Grabowski** z Gdańska Oliwy.

Nagrodę za debiut przyznano **Janowi Racutowi** z Alwerni (woj. miejski krakowskie).

Laureatką nagrody „Nurtu" za wiersz o tematyce wielkopolskiej została **Helena Gordziej** z Poznania, a wyróżnienie za tę tematykę otrzymała **Halina Nowak** (Moszna, woj. opolskie).

Nagrodzone i wyróżnione wiersze publikuje „Nurt".

# Wróżka

## Z JÓZEFINĄ PELLEGRINI rozmawia BOHDAN GADOMSKI

Józefina PELLEGRINI, aktorka Teatru „Syrena" w Warszawie znana również z licznych programów estradowych, TV i filmu, a przede wszystkim z radia (audycje „Lata z radiem") zasłynęła jako autorka horoskopów i wyborna wróżka, chiromantka i astrolożka. W swoich przepowiedniach jest podobno wszechwiedząca i nieomylna. W ub. roku, w noworocznym wydaniu DTv postawiła dla telewidzów horoskop na 1983 rok, do tej samej roli zaprosiło ją radio i liczne czasopisma.

U schyłku bieżącego roku, w przerwie między przyjmowaniem w ramach domowych wizyt licznych klientów zainteresowanych horoskopami (wizyty są już przyjmowane na marzec 1984) rozmawia z Czytelnikami „Odgłosów" i stawia im specjalny horoskop na 1984 rok.

**— Pewnego dnia zaskoczyła pani wszystkich swoją tajemną wiedzą, o której walorach jest w kraju coraz głośniej. Kiedy i gdzie ją pani posiadła?**

— Tego rodzaju predyspozycje miałam od dziecka. Przychodził do domu ktoś obcy i ja już czułam, czy jest dobrym czy złym człowiekiem, czego się można po nim spodziewać. Moja siostra też miała takie uzdolnienia, lecz ja więcej się uczyłam, studiowałam. Odziedziczyłam te właściwości po mojej matce i od niej przejęłam wiedzę. Reszta, to już moja praca. Wróżbiarstwo wyniesione z domu rodzinnego bardzo mi się przydało, zwłaszcza w trudnych chwilach życia, jakie przyniosła wojna i okupacja, pomagało mi często przetrwać, stawiałam kabałę za żywność. Posiadam unikalne książki specjalistyczne z tej dziedziny, bardzo interesujące karty, które prezentowałam w programie TV „W kręgu rodziny".

**— Ale została pani aktorką?**

— Od dziecka wyrastałam w atmosferze muzyczno-artystycznej, uczyłam się śpiewu, gry na fortepianie i już w przedszkolu zadebiutowałam na scenie. Ale wcale nie chciałam być aktorką. Marzyłam o tym żeby pracować w dyplomacji, dlatego gorliwie uczyłam się języków obcych i planowałam studia wyższe w tym kierunku. Niestety, widocznie było to wbrew przeznaczeniu, nie udało mi się zostać dyplomatą, zaczęłam śpiewać. Rozpoczęłam studia artystyczne, zdobyłam nawet dwa dyplomy: aktorki dramatycznej i teatrów muzycznych, dalej była praca w radio, na estradzie i w teatrze.

**— Dziś porozmawiajmy o wróżeniu i chiromancji. O ile wiem, to kontakt z ludźmi w sprawie postawienia horoskopu utrzymywała pani początkowo tylko korespondencyjnie?**

— Wróżyłam kolegom w teatrze i właśnie od tego się zaczęło. Później zaprosiło mnie „Lato z radiem" i po audycji otrzymałam dużą ilość listów, na które sumiennie odpisałam. A następnie ludzie z całej Polski zaczęli do mnie przyjeżdżać osobiście i rozpoczęły się wizyty domowe.

**— Ile listów pani otrzymuje?**

— Setki i nadal przychodzi ich bardzo dużo.

**— Ale przecież nie była pani w stanie odpisywać na wszystkie?**

— Zaskoczę może pana, ale na wszystkie, które dotarły do moich rąk odpisałam, siedząc przy maszynie od poranka do późnej nocy.

**— Zmieniła pani swój dom w gabinet wróżki i zaczęły się zapisy, wizyty, kolejki...**

— Tak. Los każdego człowieka niezależnie od wieku, pochodzenia jest mi bliski i każdemu staram się służyć pomocą, radą w jego trudnych sytuacjach życiowych, w miarę swoich możliwości opierając się na właściwościach charakteru. Wystarczy tylko do mnie zatelefonować, jestem dostępna i gotowa każdemu pomóc. Są osoby, którym wydaje się, że mogą zmienić swój [illegible]a, ukryć go przede mną, ale to si[illegible]n wizyty. Natomiast ja, poza datą [illegible]ie chcę wiedzieć o danym człowie[illegible]lto, wprost przeciwnie, nie lubię [illegible]roni do mnie i mówi, że telefon [illegible]enia, z protekcji, to mi tylko przes[illegible]

**— Kto orga[illegible] pracę na sporą już przecież skalę?**

— Mój telef[illegible]

**— Jest pani [illegible]ziej zmęczona, bo wchodzenie w tak dużą ilość spraw, problemów, tak bardzo różnych może powalić nawet konia?**

— Może koniem nie jestem, ale na pewno pracowitym osłem. Znam również cechy charakteru różnych zwierząt i muszę stwierdzić, że właśnie osioł ma dużo zalet.

**— Jacy ludzie do pani przychodzą?**

— Przeróżni, od bardzo młodych do bardzo starych, o różnym stopniu wykształcenia. Wszyscy mają jedną wspólną cechę — mają problemy życiowe i potrzebują obiektywnej, a jednocześnie życzliwej porady. Bardzo rzadko kiedy człowiek potrafi spojrzeć obiektywnie na siebie samego i swój sposób postępowania. Wśród klientów jest 1/3 panów, 2/3 pań, czasami matki zamawiają horoskopy niemowlętom. Najstarszy klient miał 98 lat i oczywiście chciał wiedzieć jak długo będzie żył.

**— Czy wśród pani klientów są także znane osoby?**

— Ja nikogo nie poznaję.

**— A koleżanki aktorki?**

— Koleżankom aktorkom wróżę w teatrze.

**— Przychodzą do pani ludzie szczęśliwi i nieszczęśliwi?**

— Oczywiście. Szczęście jest rzeczą tak względną, ludzie w bardzo trudnych sytuacjach potrafią znaleźć wiarę w życie, uczucie, przyjaźń bliskiego człowieka. Są ludzie, którzy pozornie mają wszystko, a jednocześnie są biedni, samotni, żyją w pustce.

**— I wszyscy proszą o horoskop, o postawienie kart. Jakie dane są niezbędne dla pani do postawienia horoskopu?**

— Dokładna data urodzenia: dzień, miesiąc, rok, godzina i minuta oraz płeć.

**— A jeżeli osoba nie pamięta godziny i minuty swoich urodzin?**

— Wtedy jest to bardziej skomplikowane i wymaga większego nakładu pracy z mojej strony.

**— Wszystko zawsze się sprawdza?**

— Raczej tak. Dlatego wiele osób przychodzi ponownie, nawet całe rodziny, przyjaciele, a poza tym jak zwykle — wiele zależy od nas samych.

**— Ile horoskopów pani już wydała?**

— Nie wiem, nie prowadzę statystyki.

**— Horoskopy wchodzą w zakres astrologii, gdzie kończyła pani studia w tej specjalizacji?**

— Astrologię zaczęłam studiować nieco później, ale za to z dużą pasją, bardzo mi pomógł wyjazd do Francji, gdzie udało mi się znacznie pogłębić moją astrologiczną wiedzę. Dokształcać muszę się nieustannie, czytając książki z tej dziedziny, czasopisma, rozprawy naukowe. Na Zachodzie jest dużo tego typu literatury, dzięki znajomości języków, której nie wykorzystałam w dyplomacji, mogę ją dobrze poznać.

**— Jakie cechy charakteru najbardziej są przydatne w profesji astrologa?**

— Intuicja cierpliwość i dokładność.

**— Astrologia to swego rodzaju psychoterapia, osoby odwiedzające panią oczekują, że pani pomoże im podnieść się psychicznie?**

— Tak, bo my sami widzimy swoje sprawy nieobiektywnie, niektórzy tylko ich negatywne aspekty, nie staramy się dostrzec tego, co bardziej optymistyczne, zapominamy, że z każdej sytuacji można wyjść obronną ręką i nigdy nie wolno tracić nadziei. Właśnie ukazanie możliwości spojrzenia w jaśniejszych kolorach na swoją sytuację i podbudowanie tej nadziei jest moim obowiązkiem. Nazbyt często nie pamiętamy, że zawsze posiadamy możliwość wyboru i choć to brzmi banalnie w dużej mierze sami jesteśmy kowalami własnego szczęścia. Poza tym w życiu każdego z nas są lepsze i gorsze okresy — horoskop właśnie je wskazuje i niekiedy pomaga przetrwać.

**— Astrologii można zaufać w polityce i na Zachodzie jest to przestrzegane?**

— Jak świat światem astrologia służyła polityce, najwięksi mężowie stanu zasięgali porad artystów i wróżbitów, żeby wspomnieć tylko wyrocznię delficką, Nostradamusa, bliższą nam madame Lulier która samemu Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu przepowiedziała, że będzie królem. Dziś, wielu mężów stanu ma swoich jasnowidzów, wróżki i astrologów, może szkoda, że nie wszyscy.

**— Nowy Rok przed nami, wpływ jakiej planety będzie w nim decydujący?**

— Marsa.

**— Czego należy unikać w 1984 roku?**

— Nie przemyślanych posunięć, impulsywności, niedomówień.

**— Sądzi pani, że będzie to rok lepszy czy może gorszy od odchodzącego?**

— Jestem optymistką, nie można żyć bez wiary, że wiele spraw zmieni się na lepsze.

**— Czy może nam pani podać najpomyślniejsze związki pomiędzy poszczególnymi znakami na ten nowy rok?**

— Ryby ze Strzelcem, Bliźnięta z Wagą, Panna z Bykiem.

**— A do tego wszystkiego jest pani również chiromantką?**

— Tak. Z linii rąk, które są zwierciadłem losu człowieka, czytam np. długość życia, stan zdrowia, uczucia, przebieg pracy zawodowej. Karty są mi bardzo pomocne, mam np. karty które mają 250 lat. Każda z nich ma 7 znaczeń i w zależności od tego każdy człowiek jest inaczej oceniany. Załącznik do tych kart stanowią dwie grube księgi, które musiałam przestudiować, nauczyć się odczytywać najważniejsze ich układy. Jest to taka kwintesencja okultyzmu hermetycznego. A to są karty chińskie, jedne z najwspanialszych kart świata, mają ponad 5 tysięcy lat.

**— Czy chiromancji można się nauczyć?**

— Jest związek radiestetów. Są tam znakomici znawcy tych i pokrewnych tematów, wykładowcy. Kiedyś przyszedł do mnie pan, który posiadał ogromną wiedzę w tej dziedzinie, miał znakomite rozeznanie w literaturze fachowej i powiedział „Proszę pani, niech mnie pani nauczy jak to się robi".

**— ?**

— To znaczy, że oprócz wiedzy trzeba mieć jeszcze predyspozycje, tę intuicję. Trzeba umieć wyczuć człowieka.

**— Wróży pani także sobie?**

— Bardzo rzadko, dlatego, że jestem człowiekiem nieobiektywnym w stosunku do siebie, przede wszystkim wierzę w pewną cykliczność spraw i losów. W tym widzę pewien bieg życia każdego człowieka. To bardzo stara wiedza. Są pewne okresy sprzyjające pewnym faktom w życiu człowieka, natomiast wybór co do kierunku naszych działań, uczuć zależy od nas samych. To my kształtujemy nasze życie.

**— Czy wróży pani także swoim synom?**

— Teraz już nie, zwłaszcza, że jeden z nich ma także duże zdolności w tym kierunku.

**— Czy wróżenie jest pracą męczącą?**

— Jest wówczas męczącą, jeżeli osoba, z którą rozmawiam, nie widzi ujemnych stron swego postępowania, nie chce zmienić sposobu analizowania różnych sytuacji życiowych i tym samym sobie szkodzi.

**— Z Paryża przywiozła pani jeszcze jedną pasję, która przemieniła się w umiejętność — biorytmy. Z jakim skutkiem je pani stosuje?**

— Pierwszy biorytm opracowałam dla siebie i postanowiłam potraktować siebie jako królika doświadczalnego. Nałożyłam sobie bardzo ostrą dyscyplinę, aby w dniach, gdy moja odporność fizyczna, psychiczna i emocjonalna są słabsze, zastosować taką samokontrolę, aby nie dać się ponieść swoim słabościom. Znajomość biorytmów znakomicie utrzymuje mnie w pełnej równowadze. Są to w sumie bardzo pracochłonne sprawy. W tej chwili ograniczyłam się do robienia biorytmów w wyjątkowych wypadkach.

**— Ludzie przychodzą do pani po pomoc, radę, nawet po ratunek, to wielka odpowiedzialność pomagać słowem tylu osobom?**

— Mam tę świadomość i zdaję sobie sprawę, że muszę siebie bardzo kontrolować. A jestem tylko zwykłym człowiekiem.

**— Czy zdarzają się reklamacje?**

— Były dwa wypadki: pewna pani (56 lat) na wszystko co jej mówiłam krzyczała: „To nie jest to, najważniejszego mi pani nie powiedziała, kiedy zdechnie moja 88-letnia matka i zajmę jej mieszkanie." Byłam bardzo zdenerwowana tą wizytą. Drugi wypadek: pani (50 lat) mówiła, że nic ją nie interesuje, nic ją nie obchodzi, nikogo nie kocha, nic nie chce o sobie wiedzieć i niczym się nie przejmuje. Wtedy zapytałam: to po co pani do mnie przyszła? — Żeby panią obejrzeć z bliska, żywą, a nie w telewizji.

**— A weselsze wizyty?**

— 31-letni pan błagał mnie o ratunek, bo właśnie czekał go związek małżeński. Chciałam mu pogratulować, ale on na to — „dziękuję, ale to już piąty raz i bardzo się martwię, że wciąż jest tak dużo formalności związanych z przeprowadzeniem rozwodu".

**— Widzę, że czasami ma pani na ul. Francuskiej bardzo wesoło?**

— Tak, i chciałabym życzyć sobie, żebym nie straciła poczucia humoru, który jest podstawą optymizmu, tak bardzo potrzebnego nam wszystkim obecnie.

**— Rozglądam się po pani mieszkaniu i nie widzę ani szklanej kuli, ani czarnego kota, gdzie się podziały tak podstawowe atrybuty każdej wróżki?**

— Miałam białego pekińczyka, a zamiast kuli mam maszynę do pisania. Jestem nowoczesną wróżką.

# Jestem sobie taki sceptyk

Moja babcia nie była wróżką, ani czarownicą, była normalną, zapracowaną kobietą, ale przepowiedziała mi przyszłość. Powiedziała: — Zenek, bój się Pana Boga, ale z ciebie nie wyrośnie nic dobrego! — I nie wyrosło. Na tej przepowiedni nie skończyły się moje kontakty z wróżkami, tyle tylko, że później wróżby mi się nie sprawdzały. Minęło jednak sporo lat i musiałem odbyć wiele prób, aby zostać racjonalistą.

Kiedy po raz pierwszy zakochałem się, spaliłem matce kilka paczek zapałek. Zapalałem zapałkę, trzymałem ją łebkiem do góry i czekałem aż zgaśnie i pokaże mi, w której stronie jest moja ukochana. Skuteczności tej wróżby nie udało mi się sprawdzić, bowiem moja ukochana nie wiedziała, że jest moją ukochaną. Jak to bywa u chłopców w tym wieku kochałem się potajemnie i wydawało mi się bluźnierstwem wyjawić tę miłość przed kimkolwiek, a już szczególnie przed przedmiotem moich miłosnych westchnień. Znacznie później poznałem też inne sposoby wykorzystywania zapałek, jak choćby strzelanie z klucza czy zapalanie papierosów, ale to już do tej opowieści nie należy. Zresztą przy kolejnych pierwszych miłościach nie szukałem już ukochanych przy pomocy zapałek.

Jak każdy człowiek miałem sny. Jak każdy człowiek opowiadałem je. Do dziś nie mogę pojąć, dlaczego ludzie muszą opowiadać innym swoje sny? A co ich to obchodzi, co mi się śni po nocach? Okazuje się, że to ma swoje znaczenie. Jak się śnią grzyby, to znaczy, że człowiekowi grozi choroba, a jak przyśnią się wszy — to trzeba szykować portmonetkę na pieniądze. Gorzej jest, gdy przyśni się chory ząb, bo to oznacza wiadomość o śmierci, a gdy na tym zębie śniący zobaczy krew, to będzie to wiadomość o śmierci krewnego. Ogień natomiast oznacza złodzieja. Jak się komu przyśni ogień, to niech pilnuje kieszeni, portfela, samochodu, mieszkania. Jednemu z moich kolegów skradli samochód i to tak dokładnie, że do dziś go nie odnalazł. Pytałem go, czy śnił mu się przedtem ogień. — Nie — powiedział zaskoczony — śniła mi się goła dupa. — No i wierz tu w sny.

Nie wiem zupełnie czemu to wymyślono, że kiedy człowiekowi śni się drabina, to on marzy o stosunku płciowym, a kiedy dziurka od klucza, to o kobiecie, a ostre przedmioty oznaczają marzenie o mężczyźnie — u kobiet oczywiście. I to ponoć wymyślili ludzie całkiem uczeni. A mnie przed udaną randką na ogół śni się przedmiot moich marzeń w zupełnie niedwuznacznej sytuacji. Nie przywiązuję do tego żadnych symbolicznych znaczeń, po prostu mam ochotę...

Ostatnio znów zakochałem się po raz pierwszy. Zacząłem więc z uwagą czytać horoskopy bogato prezentowane w różnych, nawet poważnych gazetach i pismach. Ciekawy byłem, co też mnie czeka w najbliższym tygodniu. „Miłe spotkanie w połowie tygodnia" — głosił mój horoskop. Patrzyłem do horoskopu mojej ukochanej, a tam widniało jak wół: „w połowie tygodnia czeka cię daleka podróż". Umawiałem się więc na randkę na początku i pod koniec tygodnia, ale ani mnie, ani jej nic się nie sprawdzało. Niemal w szał wpadłem, gdy przeczytałem, że będzie to dla mnie szczęśliwy tydzień, gdyż „czeka cię wielka wygrana". Zagrałem w Toto i pokera. Przegrałem i tu, i tu. Od tej pory nie czytam horoskopów. Tym bardziej, że moja ostatnia pierwsza miłość już się skończyła. Czekam na następną. Oby to czekanie nie trwało długo. Ale do żadnych horoskopów i przepowiedni nie będę zaglądał. Koniec z tym!

Jednak zajrzałem. W innym celu zupełnie. Oto wpadł mi w rękę taki horoskop generalny i kompleksowy, z którego można dowiedzieć się, jakim się jest. Jestem Wodnik. I tu miód polał się w moje serce. Oto bowiem co tam pisze:

**„Ważniejsze cechy Wodnika. Sam wdzięk i czar. Liberalny. Sceptyczny. Niebanalny. Dociekliwy. Krytyczny. Ogólnie ceniony, czasem lubiany. Pełen pomysłów. Uzdolniony, szczególnie w kierunku badań i organizacji".**

Proszę bardzo jaki jestem! Ale mój sceptycyzm nakazał mi zobaczyć, jacy też są inni. Przeczytałem więc ważniejsze cechy Koziorożca, Barana, Ryb, Bliźniąt, Strzelca i całej reszty i dowiedziałem się, że wszyscy są wspaniali, prostolinijni, doskonali, sympatyczni, dociekliwi i tak dalej... Stopień mego samouwielbienia spadł do zera. A gdzie są kłamczuchy, złodzieje, spekulanci, malwersanci, złośliwcy, paskarze, degeneraci, pijacy, karierowicze, członkowie klik, rozrzutnicy mienia społecznego, indolenci, ludzie niekompetentni. Jak uważnie popatrzeć to sporo się ich wkoło nas zobaczy. A w horoskopach same anioły, sokoły, orły i geniusze. Zresztą znam jednego Wodnika, który jest kompletnym durniem, bezkrytycznym, nieukiem, bez pomysłów i powszechnie nie lubianym na dodatek.

Nie czytam więc horoskopów, nie chodzę do wróżek, nie pozwalam stawiać sobie kart, nie biorę udziału w wywoływaniu duchów, nie leję wosku i nie bawię się w przesądy. Lubię czarne koty, witam się przez próg, a kiedy czegoś zapomnę i wrócę, nie siadam...

**ZENON POROWATY**

# Polemiki • Listy • Opinie

## CZY BĘDZIE WODA NA KARTKI?

Któż by pomyślał kiedyś, że potomkowie ludności zamieszkującej wspaniałe puszcze słowiańskie nad wielkimi rzekami Wisłą i Odrą wraz z ich licznymi dopływami, staną przed faktem deficytu wody. Czego jak czego, ale wody nigdy na naszych ziemiach nie brakowało. W naszej świadomości zmieszczą się tłuszcze, cukier, mąka na kartki, lodówki i meble na talony, ale woda na kartki? Nie, tego jeszcze nie było.

Okazuje się, że dotychczasowemu rozwojowi gospodarczemu kraju towarzyszyły zwiększające się pobory i zużycie wody. I to jest zupełnie zrozumiałe. Ale też zupełnie zrozumiała powinna być równolegle prowadzona racjonalna gospodarka wodą. Pierwsze kroki w regulacji Wisły poczyniono jeszcze przed drugą wojną światową. W Polsce Ludowej zbudowano nowe zapory, ale okazały się tylko kroplą w morzu. Od lat mówi się o planie „Wisła" (przypominam, że chodzi o regulację Wisły), a tymczasem zasoby wodne naszego kraju są coraz skromniejsze. Średni odpływ rzek w roku wynosi około 62,5 mld m sześc., z czego tylko 2,9 mld m sześc., tj. około 5 proc. magazynujemy w 84 zbiornikach o pojemności powyżej 1 mln m sześc., a więc takich, które można uznać za gospodarczo istotne.

Rozmieszczenie zasobów wodnych na terenie kraju jest nierównomierne, przy czym rejony o dużym zapotrzebowaniu na wodę (chociażby Łódź) charakteryzują się małą zasobnością wód powierzchniowych i podziemnych. Powoduje to pojawienie się okresowych, bądź stałych deficytów. Obecna sytuacja wodna w niektórych rejonach — a w szczególności w województwach: katowickim, bielskim, wałbrzyskim, krakowskim, na obszarach wododziału Wisły i Odry oraz Noteci, Prosny, Baryczy, Narwi — nie gwarantuje użytkownikom potrzebnych ilości wody. W związku z tym w praktyce sytuację mamy taką, że około 150 miasteczek i mniejszych miast nie ma wody lub ma ją racjonowaną.

Najgorsze jest to, że zawodzą nas nawet wody gruntowe. Po ostatnich upalnych latach, przy małych opadach deszczu i śniegu wysychają źródła powierzchniowe i studnie. Coraz powszechniejszym zjawiskiem są kursujące beczkowozy i ogonki ludzi z wszelkimi naczyniami na wodę. Do łask powraca zawód woziwody. W miastach, które narzekają na brak wody, po prostu się ją racjonuje np. 2 godziny rano i wieczorem. Szczególnie tragicznie wygląda sytuacja latem, kiedy robią psikusy opady deszczu. I dochodzi do takiej sytuacji, że kierownik Ośrodka w Podklasztorzu-Sulejów błaga naturę o deszcz, który podlałby ogrody sulejowian, żeby jego ośrodek miał więcej korzyści z ujęcia wody na Pilicy. A przecież niedaleko jest Zalew Sulejowski, ten sam Zalew, który miał rozwiązać problem wody w Łodzi. Rozwiązał, ale na jak długo? Tymczasem odczuwamy na własnej skórze słabe ciśnienie wody płynącej z naszych kranów w godzinach szczytu, w soboty i niedziele.

A statystyka wciąż podaje, że zużycie wody wzrasta. W 1982 r. pobraliśmy około 14,7 mld m sześc., w tym 84 proc. z wód powierzchniowych, co stanowi wzrost prawie o 4 proc. w porównaniu z 1980 rokiem i prawie 16 proc. w stosunku do 1975 roku. Co gorsza, prognozy wskazują, że w 1985 roku potencjalne deficyty wody mogą osiągnąć 1,5—2,3 mld m sześć. rocznie, a w roku 1990 mogą nawet dojść do 5,3 mld m sześć. I w takiej sytuacji niemalże paradoksem jest, że rokrocznie pozwalamy na marnotrawstwo tego cennego płynu, na jego swobodny spływ do Bałtyku i na nasze pola uprawne. I straszą nas co jakiś czas wyrwy w Borowiczkach, pod Płockiem. Zamiast wykorzystać środki, których przecież nie ma zbyt dużo, na regulację rzek, na budowę zbiorników retencyjnych, wydatkujemy miliony na likwidację szkód górniczych na rzekach, skutków powodzi, na pomoc powodzianom.

I tak koło się zamyka. Nie będzie powodzi, jeśli ureguluje się koryta naszych rzek. Natomiast prace regulacyjne posuwają się bardzo powoli, ponieważ środki przeznaczone na ten cel są co jakiś czas ograniczane z powodu powodzi. Czas zaś płynie naprzód tak jak nieubłaganie płyną do ujścia rzeki, a przed nami jawi się perspektywa wody na kartki.

**EWA LACHOWSKA**

## DALSZEGO CIĄGU NIE BĘDZIE (DO WITOLDA AFELTA — ANTAGONISTY I PRZYJACIELA — W SPRAWIE FELIETONU „DRZEWA" LIST OSTATNI)

Szanowny Panie Redaktorze! Dobry obyczaj każde na listy odpowiadać. Ten zaś w numerze 51 „Odgłosów" adresowany był do mnie imiennie (i to jaką grubą czcionką!) Stąd moja gorąca prośba: niech Pan zechce jeszcze tym razem użyczyć łamów swojego Tygodnika na odpowiedź. Przyrzekam, że na ten temat jest to list ostatni. Za uwzględnienie prośby — serdecznie dziękuję!

★

Drogi Witku! Nazbyt jesteś skromny, wątpiąc w to, że ktoś Cię czyta lub sądząc, że czynię to tylko ja. Czytają Cię, czytają. A przy okazji przeczytali także i mnie. Po Twoim liście w numerze 51 „Odgłosów" pytali mnie niektórzy, kiedy będzie „dalszy ciąg sporu o zauroczenie betonem i siusianie pod krzaczki". Informuję więc zainteresowanych, że dalszego ciągu nie będzie. Chyba, że zaczniemy się spierać o zupełnie coś innego. Ale to będzie już inna historia.

Za list Ci oczywiście dziękuję. Zawstydziłeś mnie: ja Ci tyle „nawtykałem" i nawytykałem, a Ty jakby nigdy nic — „przyjacielu" do mnie powiadasz. Łyso mi teraz! A i schlebiasz mi nadto, nazywając „chlubnym wyjątkiem" w moim zaangażowaniu w sprawy „gniazda" i ziemi rodzinnej, „daleko przekraczającym normy". Nie wiedziałem, że są na to jakieś normy, ale wyjątkiem nie jestem; exemplum — liczne, regionalne stowarzyszenia „Miłośników Ziemi..." — właśnie ziemi rodzinnej. Za wyjątek uważam raczej Ciebie: oto obserwacje, jakie poczyniłeś jako kilkuletni chłopiec przed 40 laty w czasie wojny pozwalają Ci na formułowanie sądów i osądów o ludziach ze wsi i małych miasteczek — dzisiaj. Imponujesz mi! Zwróć wszakże uwagę — prawa do własnych osądów nie odmawiałem Ci także w mej korespondencji opublikowanej w numerze 50 „Odgłosów". Nie zarzucałem Ci też, że Ty dyskryminujesz kogokolwiek. Twierdziłem tylko — i tak uważam nadal, że przypisując ujemne cechy ludziom lub grupom ludzkim przez kilka pokoleń z racji ich pochodzenia łatwo spowodować dyskryminację legitymujących się takim pochodzeniem. (Nie chcę wytaczać ciężkich dział — ale był taki doktor Rosenberg, który stworzył całą „naukową" teorię w tej mierze)

Twoje osądy z chwilą opublikowania w prasie, tracą swój osobisty, prywatny charakter. I niezależnie od tego czy masz takie ambicje, czy nie — wpływają na kształtowanie poglądów, opinii i postaw czytelników. Taka jest zresztą rola prasy. O sile słowa drukowanego doskonale wiedzieli ci, co jeszcze nie tak dawno oblepiali mury naszego miasta wrednymi ulotkami.

Przy całej swej skromności musisz o tym pamiętać. I tak właśnie rozumiem „odpowiedzialność za słowo", a lekceważenie lub niedostrzeganie tego uważam za nonszalancję. Nie sądzę też, by tak rozumiana odpowiedzialność za słowo miała powodować, że wszystko co wyjdzie spod pióra, będzie nadętą i majestatyczną rozprawą doktorską.

Co się tyczy wstydzenia się swych rodowodów, nie pisałem, że problem nie istnieje. Twierdziłem, że jest to w równej mierze sprawa i tych z wiejskim, i z miejskim rodowodem. Tym ze wsi dziwię się zresztą mniej: jakże często spotykali się z pogardą i lekceważeniem z racji swego pochodzenia ze strony tych, którzy czuli się nobilitowani swym miejskim pochodzeniem. A i dzisiaj sytuacje takie nie są wyjątkowe, niestety.

Życzę Ci zdrowia i pomyślności w Nowym 1984 Roku

**PIOTR SIKORSKI**

P.S. A Twojemu Amikowi współczuję. Więc on nigdy nie biegał na swobodzie?!

## RAZ JESZCZE O „SKANDALU W OŚRODKU ZDROWIA"

Nie miałem zamiaru zabierać głosu w dyskusji, lecz po przeczytaniu ostatniej wzmianki na powyższe tematy w świątecznym nr „Odgłosów" postanowiłem napisać co myślę i czuję jako przeciętny obywatel.

Artykuł E. Bryla — oraz inne publikacje na tematy związane z pracą w niektórych placówkach służby zdrowia — poruszyły do głębi opinię społeczną nie tylko w naszym mieście, lecz w całym kraju.

Pracownicy służby zdrowia czują się pokrzywdzeni, oburzeni na „rozdmuchiwanie" problemu przez prasę, natomiast pacjenci w pewnym sensie są usatysfakcjonowani, że wreszcie ich konkretne zarzuty, fakty i zdarzenia znalazły drogę do opinii publicznej.

Nawarstwianie się konfliktów pomiędzy niektórymi pracownikami służby zdrowia a pacjentami z całą pewnością nie jest nowym zjawiskiem. W imię „dobrych interesów" pracowników służby zdrowia — zostawały one raczej w zacisznych dyrektorskich gabinetach, sejfach.

Jeżeli kiedykolwiek ukazał się jakiś tam artykuł okazjonalny — to raczej w samych superlatywach — rzadko krytyczny.

Nagle wybucha bomba. Następuje szok. Zostaje obalony i obnażony panujący w społeczeństwie mit o nieskazitelnej pracy takich placówek jak pogotowie ratunkowe, ośrodki zdrowia, przychodnie, szpitale. W prasie ukazują się obszerne artykuły krytyczne z nagłówkami: „Pogotowiem na rabunek...", „Wąż eskulapa" czy „Skandal w ośrodku zdrowia". Pracownicy służby zdrowia biją na alarm. Domagają się publicznie ochrony milicyjnej, udzielenia im gwarancji możliwości spokojnego wykonywania swoich obowiązków itd. Natomiast nie wyciągają właściwych wniosków wśród swego grona.

Mawiają: takie przypadki zdarzają się wszędzie, w różnych grupach zawodowych i służba zdrowia nie może być wolna od tych naleciałości. To wszystko prawda. Tylko że inne grupy zawodowe nie mają styczności z żywymi, nieraz ciężko cierpiącymi ludźmi, oczekującymi pomocy i wsparcia w najbardziej krytycznych chwilach swego życia. Zasadnicza różnica. Wymagająca od pracowników w bieli nieco więcej niż od pracowników innych grup zawodowych.

Tu i ówdzie rozlegają się głosy, że służba zdrowia, usługi i handel oraz budownictwo — są przysłowiowymi „chłopcami do bicia". Można na nich sobie „używać do woli". Czy rzeczywiście tak jest? Przypuszczam, że nie. Tematy tabu straciły na aktualności.

Rzeczowa, uzasadniona krytyka w równym stopniu dotyczy dyrektora i pracownika zakładu każdej instytucji i tak być powinno. Jeżeli nie będziemy o tym mówili, pisali w sposób imienny, do niczego nie dojdziemy. Problemy i sprawy nas nurtujące pozostaną rozwodnione, zepchnięte na bocze tory, jak to nieraz bywało w praktyce dawniej, a i obecnie są ciągotki ku temu.

Pan M. Rudkowski postuluje pisanie artykułów krytycznych, lecz w innej formie — to znaczy o wszystkim i o niczym, konkretnie. Zadaje pytanie: komu wierzyć? Pielęgniarka Majchrzak odwołała swoją wypowiedź — ale jest to jedynie nieznaczny fragment dotyczący całości artykułu E. Bryla. A przecież nie brakowało w dyskusji głosów odmiennych, czego niestety p. Rudkowski jako stały czytelnik „Odgłosów" nie raczył zauważyć i wymienić.

Nie mam zamiaru red. E. Bryla bronić. Nie znam go osobiście, chociaż chciałbym go poznać bardzo — ze względu na jego publicystykę trzymającą się konkretnych zdarzeń i faktów, osadzonych w realiach naszego trudnego życia. Nie wszystkie czasopisma zamieszczają tego rodzaju artykuły z wiadomych powodów i względów. Raczej wolą zajmować się innymi problemami, zagadnieniami, które w zasadzie nie są tak kontrowersyjne.

Mnie interesuje zupełnie coś innego w całej sprawie.

Dlaczego państwo Krawczykowie czując się niewinnymi, nie złożą odpowiedniego wyjaśnienia? A przecież redakcja „Odgłosów" z pewnością zamieściłaby ich wypowiedzi, jak czyni to w innych przypadkach.

Mam pewne zastrzeżenia do artykułu E. Bryla, że uwypukla skutki, nie zastanawiając się głębiej nad przyczynami, chociaż nawiązuje do możnych protektorów, popleczników dr Krawczyka, ale to jeszcze nie wszystko. Przyczyn należy się dopatrywać znacznie dalej i głębiej. Korzenie sięgają do osobowości danego człowieka, jego charakteru, stosunku od innych ludzi, otoczenia, pewnych predyspozycji do wykonywania przyszłego zawodu lekarza, pielęgniarki, sanitariusza, a nawet rejestratorki mającej styczność z ludźmi oczekującymi pomocy.

Młode dziewczęta idą na studia pomaturalne dla pielęgniarek, nie zdając sobie w ogóle sprawy z uciążliwości przypadkowo obranego zawodu pielęgniarskiego. Zdobyta wiedza, wykształcenie w zasadzie winny iść w parze z poczuciem odpowiedzialności społeczno-moralnej nie tylko i wyłącznie w zawodzie lekarza, pielęgniarki, lecz w innych zawodach również. Często jednak bywa odwrotnie. Im większy cwaniak, kombinator, karierowicz, tym lepiej mu się wiedzie w życiu. Następuje pomylenie pojęć dobra i zła. Walka z tymi ludźmi jest niezwykle trudna i uciążliwa. Wygrywają zwykle silniejsi, bezwzględni intryganci, mieniąc się „przyjaciółmi" nas wszystkich. Czy tak powinno być zawsze?

**WŁADYSŁAW BISZ[illegible]**

■

# Spoza biurka widać inaczej

## „Kultura skazana zaocznie"

„Express Ilustrowany" z 8 grudnia 83 r. na stronie czwartej przyciąga mnie dwoma tytułami: „Kluby ZSMP — miejsce na kulturę czy chałturę?" i „Krakowscy bramkarze kontra łódzka publiczność". Pracuję w jednym z klubów, toteż obydwa artykuły czytam do końca. Chce mi się śmiać z nieporadności D. Prosnaka, której to nieporadności samokrytycznie dał wyraz w relacji z „Rockowiska 83". Cieszy przyznanie się do braku inwencji, a może przestraszył się krakowskich bramkarzy? Jego sprawa. A że Czytelnicy zamiast reportażu z występów zespołów poznali kilka godzin z życia reportera...

Powyższe napisałem tylko po to, aby zilustrować stosunek dziennikarzy (części) do problematyki kulturalnej, która zajmuje się li tylko wielką Sztuką oraz po to, aby nie być posądzonym o przedstawienie wyjątku odbiegającego od reguły. Jako czytelnik, ten przeciętny, uważałem bowiem, że od dziennikarza oczekiwać mogę obiektywizmu, znajomości tematu przezeń poruszanego i liczenia się z adresatem. Po zapoznaniu się z artykułem o klubach obawiam się, że powyższe prawa wymieniono na arogancki subiektywizm, pozorną (czytaj — żadną!) znajomość tematu i przekonanie o ignorancji adresata. Zostaje mi tego tylko dowieść. Spróbuję.

Już sam tytuł: „Kluby ZSMP — miejsce na kulturę czy chałtury?" — sugeruje zawężenie tematyki do placówek ZSMP, wprowadza w błąd Czytelnika. Wymienione przez E. Włodarczyk placówki „Kolejarz", „Telex", to kolejno Dom Kultury i Klub Międzyzakładowy. W ich statutach i programach na jednym z pierwszych miejsc wpisane są formy i zalecenia współpracy z ZSMP. Jeżeli jak to ma miejsce w przypadku „Telexu", jest to dobra współpraca, to już zasługa samej organizacji młodzieżowej i sponsorów klubu. Wniosek? E. Włodarczyk, pisząc o klubach ZSMP, ocenia placówki nie podlegające organizacji młodzieżowej. Również w tytule przeciwstawia kulturę — chałturze. Nie podaje tylko przykładów przeciwstawieństw. Pewnie nie wie o tym, że w dziedzinie upowszechniania kultury pojęcia te są często nie do odróżnienia w praktyce.

Kluby skazane są niejako na oferty profesjonalnych instytucji artystycznych. Do klubów pretensje, że dany program to chałtura? Kultura — chałtura — biznesu koloratura. Wzajemne uwarunkowania i płynące z nich dla bywalców klubów konsekwencje to temat na dysertacje. E. Włodarczyk w materiale moralizuje i poucza (moda jakaś na pouczanie przyszła?):

*„Wnioski wynikające z takiej sytuacji nie zabrzmią optymistycznie. Zaniedbania występujące w kulturze dały o sobie znać ze szczególną ostrością zwłaszcza w dobie kryzysu. Potrzebne są wszelkie zorganizowane formy upowszechniania kultury. Warto się jednak zastanowić, biorąc pod uwagę zdanie młodych, które z dotychczas stosowanych nie zdają egzaminu.*

*Kultura, wpajanie nawyku uczestnictwa w niej są dziś problemem bardzo istotnym. Sprawa nabiera szczególnej wagi, gdyż chodzi o młodych, o wszechstronny rozwój ich osobowości. Zwłaszcza teraz, gdy kina nie serwują nam samych tylko interesujących filmów, teatry — atrakcyjnych sztuk, a o dobrą książkę trzeba się bardzo starać i czasami bezskutecznie. Wspólnie z rodzina funkcje upowszechniania kultury musi przejąć z pozytywnym rezultatem organizacja młodzieżowa. Czego Jaś nauczy się za młodu, to Jan będzie umiał na stare lata. Ważne jest zadbanie o to, by młodzież, która wyrosła już z dyskotek, znalazła inne możliwości kulturalnego rozwoju".*

A już bałem się, że o Jasiu zapomni...

Ciekaw jestem, czy adresatem powyższego wykładu mam być ja, czy szkoła, a może Wydział Kultury i Sztuki?

Nieco wcześniej E. Włodarczyk stwierdza:

*„Kluby zakładowe ZSMP nie mogą poszczycić się atrakcyjnymi formami rozrywki, w czym również pewną rolę odgrywają ograniczone możliwości finansowe, zwłaszcza teraz, gdy zakłady pracy liczą skrupulatnie każdy grosz. Zdaniem młodzieży, do arcyciekawych nie można zaliczyć zorganizowanego niedawno przez ZD ZSMP Łódź-Bałuty w ZPB im. J. Marchlewskiego spotkania ze studentami Grecji, Cypru, Libanu. Jeżeli ktoś chce, może posłuchać miernych recitali drugorzędnych artystów w klubie łącznościowca „Telex". Słuchaczy jest niewielu".*

I teraz dopiero zrobiło mi się głupio. Pracuję w Klubie „Telex" od paru lat i nie wiem o tym, że to co wraz ze współpracownikami i sponsorami serwujemy to tylko „mierne recitale drugorzędnych artystów". E. Włodarczyk pośrednio wytyka mi brak poczucia estetycznego, bezmyślne szafowanie społecznym groszem, nieumiejętność zmuszania do występów wyłącznie K.A. Kulki, G. Holoubka, T. May-Czyżowskiej i zespołu kameralistów warszawskich. Nie tłumaczy mnie zapewne nic. Ani niemożność zawierania umów bezpośrednio z wykonawcami, ani ograniczone fundusze, ani świadomość, że owe „mierne recitale" to zaledwie kilka procent działalności programowej klubu. Nie tłumaczy mnie też przekonanie, że nie bardzo mam w czym wybierać. Propozycje, jakie otrzymuję, to w większości właśnie chałturowate składanki i zlepki pseudoartystyczne, bez koncepcji.

Tutaj winien zaprotestować zdrowy trzon ofiarnych pracowników niektórych agencji artystycznych.

Nie tłumaczy mnie fakt, że bywalcy klubu reprezentują pełną gamę gustów, od czcicieli zespołu „Lady Pank" po miłośników poezji Z. Herberta. Nie tłumaczy mnie też rodzaj pokory wobec tych, którzy nie chcą być uszczęśliwiani Wielką Sztuką „na siłę". Nie mam pewności, pewnie niezbędnej w moim zawodzie, że nadrobię u bywalców klubu braki wyniesione z domu, szkoły czy z percepcji programów TV. Nie mam w sobie dość odwagi na namawianie bywalców klubu do zachłystywania się wywiadami z gwiazdami filmu i estrady. Nie potrafię stworzyć tego, co nie udało się lepszym ode mnie — ogólnego modelu kulturalnego spędzania czasu.

Tym gorzej dla mnie.

Nie pomoże mi dziennikarz nie zamieszczający informacji o imprezie klubowej lub je przekręcający. Nie pomoże mi zwłaszcza ten dziennikarz, który będzie zabierał się do pisania o problemach upowszechniania kultury bez znajomości tematu, bądź wypisujący słuszne choćby postulaty, ale za to w otoczce nieprawdziwych określeń, co sprowadza jego wysiłek do irytacji, a sam przekaz do frazesu. I dlatego przykro mi, kiedy E. Włodarczyk pisze:

*„Są jeszcze inne przyczyny tego, że działalność kulturalna w środowisku młodzieży pracującej szczególnie kuleje. Wygląda na to, że zajmują się nią ludzie przypadkowi, nie przygotowani i niewiele mający wspólnego z kulturą".*

Przykro mi, ale powyższy cytat najlepiej określa sposób myślenia E. Włodarczyk.

**MAREK SAMBORSKI**

P.S. Jestem przekonany, że dziennikarz, który odwiedzi Klub „Telex", będzie przygotowany do odwiedzin, co widzie na dobre Czytelnikom, a o[illegible]ba o to nam chodzi.

■

# „R" JAK Rock

**Redagują: Andrzej Jóźwiak i Andrzej Karolczak**

## Skandal w Kajagoogoo

Zgodnie z obietnicą podajemy przyczyny odejścia Limahla z grupy Kajagoogoo, jak również opinie jego kolegów z zespołu na ten temat. Jedna z przyczyn to ponoć zdominowanie przez Limahla pozostałych kolegów, narzucanie własnych koncepcji artystycznych nie zawsze akceptowanych przez przyjaciół. Do tego należy dodać oczywiście niezbędną nutkę zawiści, ponieważ Limahl wyrósł na supergwiazdę. Druga przyczyna najszerzej komentowana w prasie i przez fanów, to sprawy pozazawodowe... moralne. Limahl mieszkał razem z Paulem Gambaccinim, radiowym discjockeyem i autorem tekstów piosenek. Ponieważ estradowy obraz Limahla — malowane oczy, makijaż, kolczyki itp. — miał nieco biseksualny charakter, związek Limahla z Gambaccinim zaczął przeszkadzać pozostałym wykonawcom grupy Kajagoogoo. I tak doszło do konfliktu. Teraz basista Nick Beggs zastąpił Limahla wiernie kopiując jego śpiew, styl, sposób uczesania, makijażu, stroju. Należy dodać, że Nick jest bardzo podobny do Limahla. A oto co mówią na temat Limahla jego byli koledzy.

Nick: „Myślę, że Limahl ma coś nie w porządku z głową".

Stuart: „Kiedy Limahl przyszedł do nas, byliśmy już ukształtowanym zespołem. On nie wniósł nic nowego. Miał tylko mały udział w naszym sukcesie".

Jez: „Limahl od samego początku ignorował wszystkie symptomy zbliżającego się konfliktu".

Steve: „Chcieliśmy pomóc Limahlowi w rozwiązaniu jego problemu, ale później zrobiła się nieprzyjemna sytuacja dla wszystkich".

No, a co mówi o tym wszystkim sam Limahl: „Jestem głęboko urażony. A co mnie najbardziej boli, to ich kłamstwa, kłamstwa, kłamstwa.

Kajagoogoo była moją wielką miłością, moim życiem. Kiedy zawołał mnie manager, Paul Ryan i powiedział: nie jesteś już w zespole — załamałem się. Zupełnie wytrącony z równowagi pytałem się: dlaczego, dlaczego, dlaczego?... Mieszkam razem z Gambaccinim, chodzę z nim do teatru, kina, na przyjęcia, co w tym dziwnego? A może rzeczywistym powodem jest to, że dziewczęta na koncertach krzyczały „Chcemy Limahla", natomiast nie krzyczały „chcemy Kajagoogoo"? Nick napisał do mnie list, że czuje się jak Judasz. Odpisałem mu, że życzę mu dużo szczęścia w jego nowej roli".

## Rod Stewart

Rod Stewart, prawdziwe nazwisko: Roderick David Stewart, urodzony 10 stycznia 1945 r. w Londynie. Od wielu miesięcy Rod Stewart przewodzi wszelkim listom przebojów. Na liście longplayi jego „Body Wishes" utrzymuje się w czołówce, zaś na liście singli nadal cieszy się popularnością „Baby Jane". Stewart mieszka na stałe w Hollywood, jest żonaty, ma dwoje dzieci, czteroletnią córkę Kimberley i trzyletniego syna Seana.

## Simon Le Bon

Simon Le Bon z grupy Duran Duran doprowadza do płaczu swoje wielbicielki. Zapowiedział bowiem małżeństwo z 19-letnią Kanadyjką Clarą Stansfield. Odbyły się już zaręczyny. Simon zna Clarę ok. roku i uważa ją za kobietę swojego życia. Poznał ją w Toronto podczas kanadyjskiego tourneé Duran Duran. W tej chwili gorący romans prowadzony jest raczej przez telefon, ponieważ Duran Duran jeździ po świecie z koncertami. Na pytanie dziennikarza: kiedy ślub? Simon odpowiedział: Clara uważa, że jeszcze za mało się znamy. Natomiast ja miałem wcześniej bardzo wiele przygód, ale dopiero teraz widzę, że żadna z nich nie była związana tak gorącym uczuciem jak moja miłość do Clary.

## Rock — Szok!

Rockowy szok. Kiss zrezygnowali z masek. Muzycy tej grupy zaniechali specyficznego estradowego makijażu, monstrualnego szminkowania twarzy, z czego dotąd słynęli i dzięki czemu uzyskali dodatkowy przydomek „Horror-Rockers". Mówiono już dawno po cichu, że każdy członek zespołu „Kiss" musiał podpisać umowę na mocy której miał płacić dużą sumę kary w przypadku, gdyby dał się przyłapać (np. fotografowi) bez „maski". Jednakże Vinnie „Wiz" Vincent w filmie szpiegowskiej serii James Bond, potrzebny był reżyserowi, ale nie uszminkowany. Twarz Vincenta, grymas Ace Frehleya, zakazana gęba Gene Simmonsa, natchnione oblicze Paula Stanleya, podobna do — jak sam mówi o swojej twarzy — tarczy zegarowej twarz Erica Carra stały się nagle widoczne dla każdego bez szminki. Przystojny Paul Stanley tak mówi na ten temat „Mieliśmy te nasze pyski pełne szminki, niszczyliśmy cerę, marnowaliśmy tony farby, dzieci nas się bały, a my sami byliśmy ciągle podenerwowani od tej zwariowanej gry. Mamy nadzieję, że dziewczęta będą teraz lubiły nas również.

## Mały album rodzinny

*W wywiadzie udzielonym Bohdanowi Gadomskiemu a zamieszczonym na łamach „Odgłosów" Lucyna Owsińska ujawniła niektóre szczegóły z dziedziny artystycznej i małżeńskiej współpracy z Jackiem Lechem.*

*Dowiedzieliśmy się także, że państwo Lechowie uzyskali rozwód po pięciu sprawach sądowych.*

*Audiatur et altera pars, panie Bohdanie, czekamy na wywiad z Jackiem Lechem!*

*Foto: R. Sakowicz*

## Jaga i jej lista przebojów

**Wokalistka Jaga Paduch przebywa na kontrakcie w Republice Federalnej Niemiec. Zwracamy się telefonicznie do artystki o informacje na temat nowości na światowych listach przebojów.**

Jaga: Prawie na wszystkich Top Twenty królowali w listopadzie następujący wykonawcy: The Police z utworem „Every breath you take", Rod Stewart (Baby Jane), Kajagoogoo (Too Shy), Michael Jackson (Beat it), Eurythmics (Sweet dreams are made). Muszę też zaznaczyć, że na przykład na francuskich listach przebojów wysoką pozycję nadal utrzymuje „Church of the poison mind" w wykonaniu Culture Club, zaś na angielskich zespół ten jest również w czołówce utworem „Karma Chameleon". Natomiast w RFN od kilku miesięcy ma bardzo wysokie notowania popularny także i u nas przebój Mike'a Oldfielda pt. „Moonlight Shadow", zaś przez pewien okres czasu pierwsze miejsce w plebiscycie czytelników „Brava" zajmował zespół Laid Black piosenką „Sunshine Reggae". Na zakończenie jako ciekawostkę dodam, że w USA przewodzi Billy Joel. Piosenka w jego wykonaniu „Tell her about" zostawiła daleko w tyle uznane gwiazdy amerykańskiego show businessu, jak również utwory i grupy nowofalowe... Niemniej traktujmy te wszystkie listy przebojów jak zabawę, lub szybki, poręczny telegram na temat „co jest grane" w świecie muzyki i piosenki. Nie bierzmy ich zbyt dosłownie.

Jacek Lech przygotowuje nowy program z myślą o tournée w Kraju Rad. Wstępne rozmowy ze stroną radziecką prowadzi „Pagart", zaś Lech rozpoczął już próby z nowym zespołem i nową grupą wokalną złożoną z trzech rozśpiewanych, utanecznionych dziewcząt.

## Z historii polskiego rocka

Początki polskiego rocka giną nie tyle w pomroce dziejów, ile raczej w niepamięci ludzkiej. Zaczęło się około roku 1957 — niektóre, bardzo wówczas popularne zespoły jazzowe włączyły do swego repertuaru rock'n'rolla, naśladując czy to „The Cometas" Billa Haileya czy też piosenki i styl wykonawczy Elvisa Presleya.

Wreszcie powstaje w Gdańsku „Rhytm and Blues" — jego pierwszy koncert w gdańskim klubie „Rudy Kot" 24 marca 1959 r. uznać można za prawdziwą inaugurację tego rodzaju muzyki. 24 marca 59 — za datę jeśli nie przełomową, to przynajmniej graniczną.

Zespół zmienia wkrótce nazwę na „Czerwono-Czarni" i bije rekordy powodzenia... Wyrasta wkrótce konkurent — „Niebiesko-Czarni". Potem zespoły amatorskie i półzawodowe sypią się jak grzyby po deszczu.

Wszystkie bazują na naśladownictwie. Naśladują brzmienie, styl wykonawczy i wręcz kopiują repertuar słynnych grup zachodnich.

Wreszcie w roku 1965 zawiązuje się zespół, który swój repertuar opiera na oryginalnych, własnych kompozycjach. Tak, tak, „Czerwone Gitary", pierwszy oryginalny polski zespół muzyki młodzieżowej, nazywanej wówczas nie wiadomo czemu „bigbitem" powstał w roku 1965, kiedy to urodziła się znaczna część dzisiejszych fanów „Republiki", „Perfectu" i „Lady Punk"...

Czerwone Gitary w składzie J. Kossela (g. voc. kier. zespołu) K. Klenczon (g. voc.) B. Dornowski (g. voc.) S. Krajewski (g. voc.) oraz J. Skrzypczyk (dr.) podbiły absolutnie młodzieżową widownię, zyskały szybko opinię najlepszego i najpopularniejszego jednocześnie zespołu młodzieżowego. Nazywano ich wręcz polskimi Beatlesami.

Tego samego roku zachodzą poważne zmiany w zespołach „kolorowych" (CC i NC). W wyniku tych zmian powstaje grupa „Polanie", współpracująca z popularnym piosenkarzem Wojciechem Gąssowskim. Polanie to pierwszy polski zespół rhytm and bluesowy z prawdziwego zdarzenia. Już po pierwszym własnym tournée zdobywają duże powodzenie, które potwierdza jeszcze wspólny objazd krajowych estrad z brytyjskim zespołem The Animals.

Tymczasem na Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Rennes (Francja) ogromny sukces odnosi Czesław Niemen. Uznany przez jurorów i krytyków za najoryginalniejszy talent wśród autorów — kompozytorów — wykonawców zdobywa główną nagrodę. Występuje we francuskiej TV z ogromnym powodzeniem.

Dobra passa trwa. W Łodzi powstaje następny stylowy i oryginalny zespół: „Trubadurzy". Pierwotny skład: S. Mikołajczyk (voc.) J. Krzemiński (g.) K. Krawczyk (g.) S. Kowalewski (g. b.) M. Lichtman (dr.). Póki co, Trubadurzy nie osiągają sukcesu na miarę Czerwonych Gitar, choć ich popularność w kręgach fanów systematycznie rośnie.

Za ważne wydarzenie w historii polskiego rocka uznać należy uruchomienie przez Polskie Radio cyklicznej audycji „Studio rytm". Jej autorzy (A. Korzyński, W. Pograniczny i M. Święcicki) koncentrują się na prezentacji polskiej muzyki.

Młodzieżowi słuchacze PR właśnie dzięki tej audycji powoli uczą się rozróżniać muzykę wartościową od bigbitowej „rąbanki". Jednocześnie działalność „Studia rytm" przyczynia się do ożywienia twórczości kompozytorskiej. Przy redakcji „Studia rytm" zawiązuje się, kierowany przez Andrzeja Korzyńskiego zespół pn. Ricercar 64.

Znamienny dla rozwoju polskiej muzyki młodzieżowej jest rok 1966. Wiosną odbywa się Festiwal Muzyki Nastolatków. Festiwal ujawnia wiele zespołów amatorskich o sporym dorobku i niezłym poziomie. Jednocześnie imprezie towarzyszą chuligańskie wybryki, utrwalające w opinii społecznej przekonanie o „chuligańskim charakterze bigbitu" i rzekomej pladze społecznej muzyki młodzieżowej...

Jak więc widać, ekscesy na współczesnych koncertach rockowych mają tradycje dość dawne (od koncertów „Rhytm and Blues" w latach pięćdziesiątych) i nie ma co załamywać rąk, wszak na koncertach szaleli ludzie dziś już stateczni, dzieciaci i na stanowiskach!

Największym chyba artystycznym sukcesem Festiwalu było odkrycie grupy „Skaldowie". Grupy dojrzałej muzycznie, interesującej i nowatorskiej w dziedzinie stylu.

(c.d.n.)

# Cienko, z dołu i po porządku...

*Dokończenie ze strony 1*

efektem. Bodaj raz miałem nieco fartu, ale gdy trzymałem już w kieszeni kilka „czerwoniaków" (metodą typowania najmniej prawdopodobnych układów),krościaty młodzieniec z obstawy w kilku męskich słowach polecił mi udać się na spacer...

O koniach wiedziałem z grubsza tyle, co o opium czy heroinie. Też narkotyk, wciąga na całe życie, wielu ginie, a prawie wszyscy zostają bez forsy...

Czekając ostatniej gonitwy przechadzałem się od paru godzin po piętrach trybuny głównej i nie tylko. Byłem jak zauroczony. Bo jest w nastroju na Służewcu coś z misterium. Co działa jak „hasz", sprawia, że dostajesz wypieków i poddajesz się rytmowi dnia. A rytm dnia na torze dyktują kolejne gonitwy. I cała otoczka przygotowań...

Byłem chyba jednym z nielicznych frajerów. W końcówce sezonu przychodzą tu prawie wyłącznie zawodowcy. Koniarze. A przede wszystkim gracze.

Tłoku właściwie nie ma. Choć ludzi co niemiara. Dyskutują w grupkach, po dwóch, studiują programy. Jedni dyskretnie, na uboczu, z namaszczeniem, ważą konia i swoje szanse. Jak chorzy, z przymkniętymi oczami, szepcąc pod nosem zaklęcia, zaciskając kciuki. Jeszcze rzut oka w program — i do kasy.

Inni — brylują, sypią szczegółami o koniach, jeźdźcach, wynikach. — Jasiu, co ty mnie pleciesz, „Enklawa" jest słaba jak kot, przez dwa sezony raptem raz była trzecia i to mocno wysyłana. — Rób jak chcesz, ja lutuję „Sulibora" i podeprę się „Donacją"...

Pełna gama typów i typasów. Nie ogolone cwaniaczki, młodzieńcy na długo przed otwarciem barów zalatujący wódeczką i stateczni panowie z brzuszkiem. Smutny chudzielec z wytartą teczką, w której ani chybi trzyma zarękawki i parę stempelków, gość w kurtce z lisów zlany „Old Spicem" wciąż wertuje program, nie przestając wywijać kluczykami od samochodu.

Starsza pani, o wyglądzie emerytowanej hrabiny, łagodny uśmiech, kołnierz z ocelotów i maleńki kapelusik, jakiego nikt już dziś nie nosi. Dystyngowanym krokiem zmierza do okienka.

— Daj mi, córuś, dziesięć sztuk — jedynka i czwórka, tego kasztanka „Fantomasa" znam od maleńkiego, „Mątewka" jakaś nieswoja, ale ja w nią wierzę..

— A cóż to pani Janino dzisiaj tak cienko... — uśmiecha się dziewczyna zza szyby.

— Czy ja wiem, moje dziecko, czy cienko? Triple już u koleżanek, jak to mówicie — obczaiłam. Ale w tym przedostatnim, dla czterolatków z handicapem, musiałam iść „na ścianę", bo coś mi ta gonitwa dziwnie się zapowiada...

To jeden z większych fachowców i graczy dużego formatu, jak się później dowiedziałem. Ten dobrotliwy uśmiech zawiódł już wielu.

Zawodowcy. Grają zawsze, w każdym biegu. Nieważne czy wygrają czy nie. Oni muszą grać. Nie krzyczą, nie gestykulują. Nigdy nie gnają z rozwianym włosem do kas — to dobre dla amatorów. Kasy zresztą są wszędzie, na parterze, na piętrze, na zewnątrz, zapraszają za każdym zaułkiem. (Nie sprawdzałem, ale nie zdziwiłbym się, gdyby były także w królestwie pisuardessy...). Nie denerwują się, a przynajmniej nie widać tego po kamiennych obliczach. Z ironicznym uśmiechem obserwują początkujących, którzy po dzwonku, czyli pięć minut przed „bombą", usiłują jeszcze dostać się do kas. Nawiasem mówiąc, niecodzienny to widok, gdy grupa szybkobieżnych pracowników firmy rzuca się do okienek i wyrywa datowniki z maszyn. Taki zabieg profilaktyczny. By kasjerce ani komuś z jej rodziny nie przyszło do głowy zaryzykować pewną ilość biletów narodowego banku, gdy konie są już za celownikiem na przykład.

Oni to znają. Podobnie jak rytualne zabiegi przed startem, końskie fanaberie przy wejściu w maszynę startową, a bomba, gdy jest w górze tyle razy śniła im się po nocach.

Więc siedzą tyłem do toru, spokojnie, nóżka na nóżkę. Przepijają do kumpli przy narożnych barach, odpalają kolejnego papierosa. Luźno, bez nerwów. Tylko zieloni płaszczą nosy na szybach, tłoczą się na tarasach, na dole przy torze, modlą się zbyt głośno i rozpaczliwie powtarzają zaklęcia.

Ale jest moment, gdy ponosi i zawodowców. Bo nagle odwraca się któryś z kumpli—obserwatorów i ryczy na całe gardło: — Wyszły na prostą-!!

To jest sygnał. I pękają kamienne oblicza. Twardziele dostają skrzydeł i w mgnieniu oka są przy balustradzie, gdzie już rząd rąk kurczowo wczepionych, a rozedrgany tłum wyje, podryguje, dopinguje. I kakafonia rozpaczy:

— O Jezus, Maria, co on robi z tym koniem!...

— Ty, patrz na Glenka, ale skubany ściemnia...

— Nie daj się, „Kralka" nie daj się!...

— „Okowita", dołóż jeszcze, dołóż..

— Gdzie go k... gonisz!? Po kanacie, człowieku!..:

Sekundowe apogeum krzyku. Sięgające trzewi ogólne: — Aaaaa... Już Celownik. Koniec. Fala opada. Ktoś blady trzyma się za serce, inny, gestem czarnej rozpaczy, kryje twarz w dłoniach, ów bluźniąc jak szewc (dlaczego jak szewc?) rzuca o kosz wiązką biletów. Mikry facecik o wyglądzie fryzjera oświadcza wszem i wobec, że się powiesi. Brzmi to dość poważnie do momentu, gdy przechodzący za nim potężny blondyn w kusej marynarce wali go w ramię: — Zdzisiu, która to już niedziela, jak nas pocieszasz?...

W pierwszej chwili same przegrane twarze. Wielu jeszcze wpatruje się w tor, w napięciu, jakby chcieli cofnąć w wyobraźni ten film i rozegrać gonitwę jeszcze raz, ale już w zgodzie z własnym scenariuszem. Ale gdzieniegdzie błyska czyjś uśmiech.

Po twarzy zawodowca nic nie poznasz — wygrał? przegrał? Poza chwilą słabości przy balustradzie, jest cały czas luźny, spokojny. Za parę minut znów uda się do którejś z kas. Bo on musi grać dalej, obczaić każdą gonitwę, spekulować, trafić najbardziej nieprawdopodobny wariant. Dlatego też nałogowy gracz — jak to mówią — nigdy mocno nie umoczy. Raczej mocno trafi. Ale też po nim nie poznasz. Chyba że przypadkiem spotkacie się przed szybą, gdzie zgarnia wypłatę. Na permanentną wpadkę mogą pozwolić sobie zupełnie zieloni i straceńcy. On wie, że jeszcze parę dni, kilkanaście gonitw — i szlus. Przerwa do wiosny. Więc na te zimowe, smutne miesiące trzeba trochę grosza wycisnąć. I wyciska.

To chyba jedna z ostatnich gonitw tego dnia. Nie wspomnę dziś wysokości nagrody, chyba dziesięć tysięcy. Bieg dla dwulatków, średni dystans — 1300 metrów. Tor śliski, po deszczu. ON również startował. Na niezbyt mocno w kuluarach notowanym ogierze „Targoszyn". I dlatego wytrawni nawet gracze mieli sporo wątpliwości, ciężko było podtypować dwójkę do porządku, nie mówiąc o tripli. Łatwiej nieco „francuskim", z dołu, ale to są zabawy dla początkujących, a nie dla fachowców.

Wyszli planowo. Był trzeci. Potem na chwilę zniknęli za drzewami, ale wypadła zza nich tylko czołowa dwójka, potem z dużym odstępem jeszcze trzech. Jego nie było! I bez lornetki widziałem, że widzowie gnają w kierunku kępy drzew. Karetka również. Są strzępy pierwszych wiadomości. Uszli chyba z 350 metrów, gdy „Targoszyn" poślizgnął się mocno na śliskim torze i mimo poderwania grzmotnął jak długi. Wykonał kilka przewrotów wraz z jeźdźcem, a po nich przeszły jeszcze trzy konie.

— Podobno głowa i kręgosłup... — dociera z drugiego końca sali. Widzę jeszcze, że karetka z wyciem syreny gna na skróty w kierunku bramy...

☆ ☆ ☆

To było dokładnie trzy lata temu, miesiąc i dwa dni. Dziś znów jestem na Służewcu. Obiekt jest zamknięty, sezon się skończył, choć na wielkiej tablicy budynku głównego pozostały jeszcze wyniki ostatniej w tym roku gonitwy. I ile płacili — pojedynczy, francuski, porządek, tripla...

Jest buro, pochmurnie, zacina złośliwie listopadowa mżawka. Towarzyszy mi niski, szczupły mężczyzna, wiek — około pięć dziesiątki. Wczoraj stuknęły mu 34 lata pracy na torze. Przez wiele sezonów ścisła czołówka najlepszych naszych jeźdźców od miesiąca — trener stajni Jaroszówka. Tego feralnego popołudnia dosiadał nerwowego „Targoszyna". Stanisław Sałagaj.

— Tak, potrzaskany byłem nieźle — wspomina. — Dla rasowego dżokeja, który nie boi się przepychanki na wirażu i walki do samego celownika — to stale ryzyko. Wie pan, idzie się w milimetrowych odstępach, często ocierając jeden o drugiego, pracuje batem. Łatwo się zaczepić, potrącić, jeszcze jak koń nerwowy i zacznie rzucać.

— Mnie często, niestety, trapiły kontuzje, wiele sezonów musiałem w końcówce odpuszczać. A to złamana noga, a to ręka, wybity bark. Nie mówiąc o słuczeniach czy kopnięciach w stajni, to drobiazgi w sumie. Ale ponad 5 tysięcy startów w oficjalnych gonitwach, w tym ponad tysiąc — wygranych, to chyba sporo. Po tym wypadku trafiłem prosto do Konstancina, prawie trzy miesiące pod okiem m.in. profesora Weissa. Lekarze orzekli, że i tak miałem cholerne szczęście, bo nie skończyło się paraliżem, ale — twierdzili — grozi mi to w każdej chwili, przy następnym wstrząsie czy upadku z konia.

— Chciałem jeździć dalej, ani myślałem na początku o robocie „piechura". Ale cóż, skończyło się renta i zajęciami dość dziwnymi, jak na zawodowego dżokeja. Byłem sędzią startowym, pracowałem w końskim szpitalu, wiele stanowisk w biurze przeskoczyłem, kierowałem hotelem. Ale cały czas byłem tu, na Służewcu, bo jakże można żyć bez koni, bez tej atmosfery. No a teraz „powalczę" w Jaroszówce.

Przez ścianę deszczu przebija się głos strażnika: — Halo, a panowie do kogo?' Ruszył w naszym kierunku od strony głównej trybuny z wojownicza miną. Po paru krokach zwolnił, na twarz wypłynął mu przepraszający uśmiech: — A, to pan Stanisław, nie poznałem z daleka...

— Jak pan trafił do tego zawodu? Miłość do koni to mały zadatek na dobrego jeźdźca — wdrapaliśmy się na trybunę, przycupnęli pod daszkiem i popalamy, zerkając na piękny, nawet w tym burym tumanie deszczu tor.

— Byłem w domu dziecka, w takiej niewielkiej podgórskiej miejscowości. Miałem jedenaście, dwanaście lat, a nocami chodziliśmy z kumplami na łąki i dojeżdżaliśmy na oklep góralskie konie. Spętane były, cud, że przy częstych upadkach, żaden nas nie przygniótł. A potem wyczytałem w gazecie ogłoszenie, że poszukują kandydatów na dżokejów. Zgłosiłem się razem z kilkoma kolegami, skończyłem wtedy 14 lat. To był czterdziesty dziewiąty rok, parę miesięcy później zaopiekował się mną trener Pacuszko, któremu bardzo dużo zawdzięczam. Tyrałem ciężko, zaczynając od najniższych szczebli w hierarchii. W pięćdziesiątym pierwszym wystartowałem po raz pierwszy w normalnej gonitwie, na klaczy Bizerta i wygrałem.

— Ile czasu trzeba na pokonanie wszystkich stopni w waszej hierarchii?

— To zależy...

— Od czego?

— Głównie od własnych umiejętności, konia i — szczęścia. Jeśli chłopak dobry, ostry, wytrwały i zdolny, to jest zgłaszany jako uczeń. Ma 4 kilogramy ulgi w stosunku do dżokeja, chodzi o przepisową wagę. Jeśli zwycięży 10 razy, wtedy ma tylko 3 kilogramy ulgi i zostaje starszym uczniem. Dopiero teraz wolno mu używać bata, ale krótkiego. Kolejne zwycięstwa przychodzą? Po 15 zostaje praktykantem, po 50 wygranych gonitwach — kandydatem dżokejskim. Ma wówczas tylko 1 kilogram ulgi, ale w większych nagrodach może jeździć. Po 100 wyścigach — jest „pełnym" dżokejem i ma prawo używać długiego bata.

— Jednemu płyną lata i jest wciąż praktykantem...

— Oczywiście, ja wszedłem na dżokeja chyba w sześć lat, ale miałem sporo kontuzji, złamana noga, obojczyk — i traciłem gonitwy.

Przestało padać. Pan Stanisław zaprasza na spacerową rundę wokół toru. Pokazuje przeszkody, bo i takie biegi się tu rozgrywa, tłumaczy, którą i jak trzeba najechać. Rozmawiamy o wadze, przepisowych gramach, których trzeba się trzymać, by nie zostać zdyskwalifikowanym. Cały strój z kaskiem i butami waży... do kilograma. Gdy waga za mała — plasterki ołowiu pod siodło. Jeszcze 10 deko za mało? Napij się wody. Gorzej, gdy sytuacja odwrotna. Mimo biegania, ćwiczeń, łaźni wciąż nieco za dużo do tych, powiedzmy, 50 kilogramów...

— Pamiętam, kiedyś miałem do ostatniej chwili nadwagę, na „parówę" było już za późno. Nie było rady, wziąłem wieczorem „laksigen". Nic. Rano jeszcze dwa i popiłem kwaśnym mlekiem. I nic. Denerwowałem się bardzo, niepotrzebnie zresztą. Jak mnie wzięło w czasie treningu, to na wyścigu spadłem z konia z wycieńczenia.

— Nie ma dwóch koni identycznych i dwóch biegów podobnych choćby. Konia trzeba wyczuć, jeden jest nerwowy, drugi leniwy. Ten lubi walczyć cały dystans, inny dopiero w końcówce jest jak lew. Z tym obchodzić się musisz delikatnie, tamten bez bata zawsze przyjdzie ostatni.

— No tak, najtrudniejszy jest finisz, wtedy każdy daje z siebie wszystko. Ale i wcześniej się próbują, tasują, każdy ma inną technikę jazdy, pod konia i pod przeciwnika. Czasem idzie się cienko, na oszukanego, aż przytną pierwsi, a czasem, znając konia, warunki na torze — idzie się ostro ze zrywką od pierwszych metrów.

— Dla konia to straszny wysiłek. Dlatego jeździ się tak krótko, znaczy w krótkich strzemionach, cały czas stojąc, kolano musi być wyżej niż siodło. Na Zachodzie jeżdżą jeszcze krócej — to tak na marginesie. Ale czy pan wie, że one idą często cały dystans 60 kilometrów na godzinę, a w niektórych przypadkach, przy dobrych warunkach i lekkim dżokeju — do osiemdziesięciu i dziewięćdziesięciu?

— Zerwanie ścięgna, skręcenie nogi — to najczęstsze kontuzje. Nie mówię o złamaniach. Przeważnie po poważniejszych urazach idą do lżejszych prac. O wyczynie mowy już nie ma. Ale żeby pan wiedział, jakie one są ambitne, często bardziej od ludzi. Do końca życia będę pamiętał, jak „Duplikat" wygrał ze mną ważną gonitwę mając zerwane ścięgno. Zakulał mi już tyłem na prostej, ale nie stanął, nie zwolnił, szedł dalej jak burza. Dociągnął do celownika. Gdy zobaczyłem później jego nogę — dosłownie zaniemówiłem.

Deszcz wytrzymał raptem z kwadrans. Znów zacina lodowatymi igłami, wciskającymi się za kołnierz, pod zmrużone powieki. Przyspieszamy, dla odmiany sypie teraz mokry śnieg. Chronimy się pod nieczynną, najstarszą trybuną. Spękany beton, dziury w dachu, chrzęści pod nogami szkło. Czy będzie kiedyś wyremontowana? Prezentuje się jeszcze nie najgorzej, mimo bodaj 40 lat. Do celownika stąd kawałek drogi, za to pięknie widać wiraż i walkę na ostatniej prostej.

— Tu, na uboczu, urzędują głównie „boki", czyli bookmacherzy. Wie pan, prywatne zakłady, prywatna kasa, prywatne stawki. Wielu z nich korzysta, zresztą cóż byłby wart tor, nawet najpiękniejszy, bez totalizatora i „boków".

Delikatnie schodzimy na temat kas, obstawiania, fuksów i pewniaków, tajemnic służewieckiego toru. Dżokejowi grać nie wolno, może się to skończyć dyskwalifikacją, choć nie ma chyba wśród nich takiego, który nie miałby „propozycji nie do odrzucenia".

— Niech pan nie wierzy w opowieści, mity. Choć sam miałem oferty wypłat znacznie wyższych niż oficjalna nagroda. Jakoś nigdy z żadnej nie skorzystałem. Może to śmiesznie zabrzmi, ale najmniejsza kara byłaby dla mnie kompromitacją, a poza tym, dlaczego mam z nim przegrać, skoro wiem, że jestem mocniejszy? To też jest ważne, smak zwycięstwa, to przyjemne ciepełko na sercu, gdy po ostrej walce wchodzę o pół łba szybciej na celownik.

— Ale propozycji było zawsze sporo, od wielu osób, prawie w każdej gonitwie. Są i momenty groteskowe. Pamiętam, jechałem wtedy na „Karkosie" i kręcę te swoje kółka na padocku. A tu zza siatki krzyczy do mnie taka zasuszona babcia: „— Mój złoty Sałagajku, tak cię proszę, zrób mi tripla na tym koniu..." Tak się złożyło, że wygrałem jej wtedy chyba około 20 tysięcy złotych no, to było z dwanaście lat temu. Babcia była znana, żadnej gonitwy nie opuściła. Na wiosnę spotykam ją pod trybuną, bilet sezonowy wykupiła. Przypomniałem się, jako jej „złoty Sałagajek" i pytam, co zrobiła z taką furą forsy. A babcia w krzyk:

„— Oj, żebyś wiedział, jak mnie te siostrzeńce obrały, co do grosza: ale, ale — na czym dzisiaj lecisz, synku?..."

Zaczyna się ściemniać. Nie wiedzieć kiedy minęły nam cztery bite godziny. Ale dziś mu nie daruję trzy lata temu ciężki wypadek sprawił, że umknął mi „spod pióra". Tego listopadowego dnia przegadaliśmy jeszcze wiele godzin, bodaj do północy. O jego wielkiej miłości — o koniach, z których najbardziej w czasie swej wieloletniej kariery ukochał „Czubaryka". Biegał pod Sałagajem, wszystkie klasyczne nagrody, za granicą był niepokonany, w Kolonii m.in. był tylko raz drugi, bo dojechał do celownika bez bata, wytraconego przypadkiem (?) przez innego dżokeja. O tym nietypowym zawodzie: dżokej nawet z czołówki, jako pracownik fizyczny, może mieć tylko stawkę godzinową, a pół roku pracuje w stajni. O kolegach zamęczających telefonami przed każdym ściganym dniem: — „Stasiu, daj tam coś na dzisiaj..."

Na zakończenie proszę i ja o receptę na wygraną. Nie musi być milion, ale te parę złotych, by się delegacja wróciła.

— Recepty nie ma — śmieje się pan Stanisław — ale są metody. Miałem kiedyś sąsiada, tramwajarza. Starszy jegomość, grał na wyścigach jeszcze grubo przed wojną. Zapisywał każdy bieg, wszystkie konie i ich wyniki miał w zeszycie, przez wiele lat. Systematyczny, dużego formatu wyga, ale ostrożny. Też przychodził po poradę. Tom mu i powiadał zawsze: — Daj pan, panie Kaziu, cienko z dołu, czy po porządku. No i czasem co niecо trafił, tak mi przynajmniej opowiadał. Aż się przeprowadził, parę miesięcy go nie widziałem. Potem słyszę, gdzieś tu na Służewcu domek dla całej rodziny postawił. Lecę kiedyś do stajni, patrzę — stoi, program przerzuca, coś notuje.

— Ładnie, ładnie — mówię — piękną wilejkę żeś pan sobie sprawił, panie Kazimierzu...

— A co tam — uśmiechnął się skromnie — wszystko z pracy rąk, tak jak sąsiad radziłeś: cienko i po porządku...

**DARIUSZ DOROŻYŃSKI**

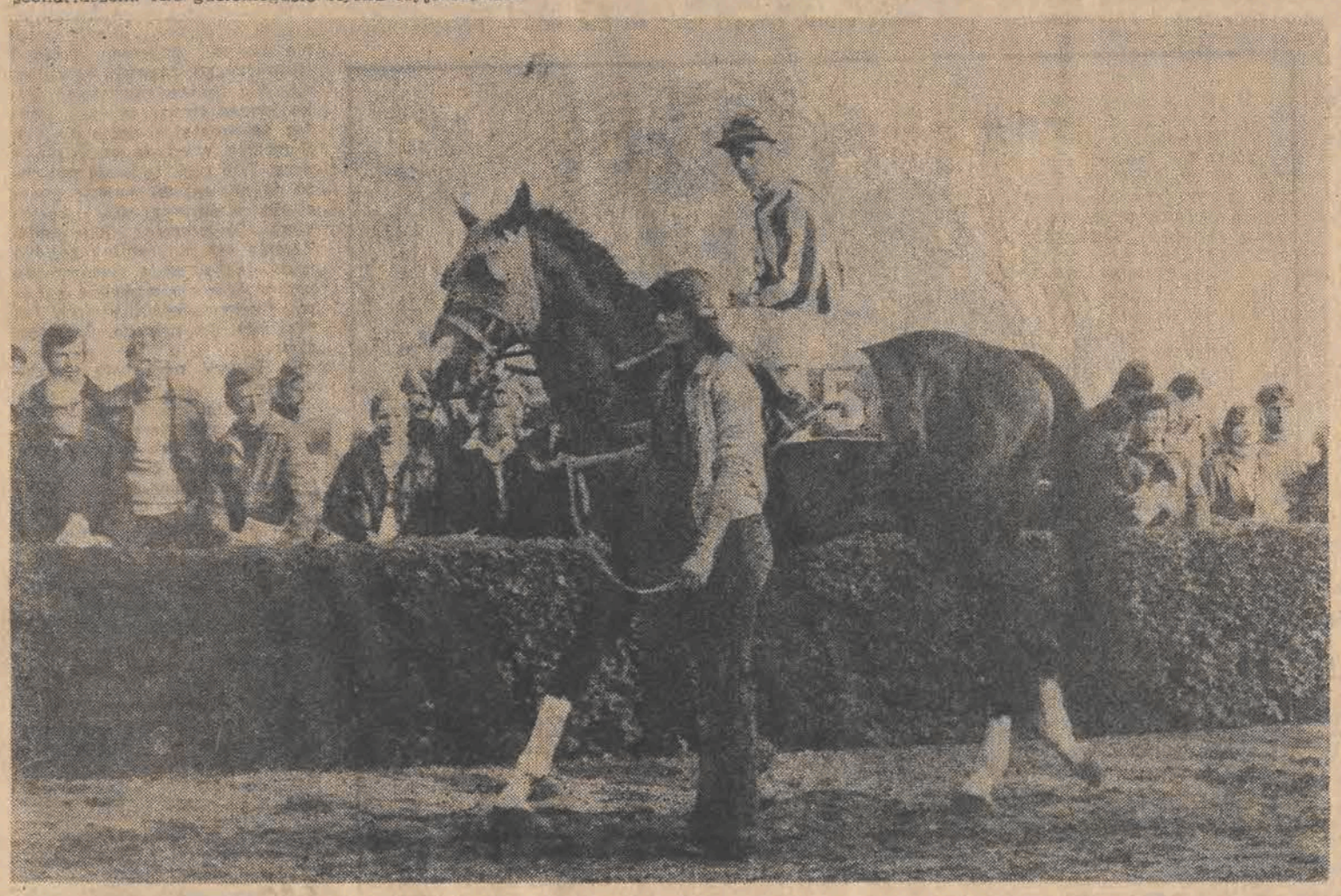

# Dralnia 2

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Niewiele myśląc, nacisnąłem klamkę.

To, co zobaczyłem po przekroczeniu progu, w niczym nie przypominało wnętrza typowego zakładu usługowego. Dosyć obszerny hall, boazerie po sam sufit, łagodne światło, sączące się z niewidocznych lamp, dywan na podłodze... Stanąłem jak wryty.

Coś tu jest nie tak, przemknęło mi przez myśl. Gdzie ja wszedłem? Jeżeli na tablicy jest błąd w napisie, to daj nam Boże więcej takich punktów usługowych, bo te, które znam... Ech, lepiej nie mówić. Ale jeżeli nie ma żadnej pomyłki lub też ktoś pomylił się celowo, to... To jedno do drugiego zupełnie nie pasuje. A może świadczy się tu jakieś całkiem inne usługi? Na przykład te zakazane przez prawo? Ale to chyba nie jest...

— Dzień dobry panu — usłyszałem nagle kobiecy głos, dobiegający z drugiego końca hallu. Podniosłem oczy — stała tam młoda dziewczyna. Z daleka już było widać, że jest bardzo ładna i doskonale zgrabna. Jej strój — niewątpliwie kompletny i elegancki, choć stosunkowo skąpy, a przy tym uwydatniający uroki kobiecego ciała — zdawał się potwierdzać moje podejrzenia.

— Mam przyjemność powitać pana w naszych skromnych progach — powiedziała, zbliżając się do mnie z zalotnym uśmiechem na twarzy.

— Dzień dobry. Ja tylko..., pani wybaczy, ale... — bąkałem jak uczniak przyłapany w miejscu przeznaczonym wyłącznie dla dorosłych — ... przechodziłem tędy i...

— Pan pierwszy raz? Nic nie szkodzi.

— Ja chciałbym tylko zapytać...

— Ależ oczywiście — nie pozwoliła mi dokończyć. — Po to właśnie jestem, by zaspokoić pańską ciekawość. Nasza placówka czynna jest od niedawna, więc trudno się dziwić... Ale nie będziemy przecież rozmawiać na stojąco. Mamy tu małą kawiarenkę dla naszych gości. Usiądziemy tam sobie wygodnie... Proszę, proszę dalej. Ja poprowadzę.

Musiała być całkiem pewna tego, co zrobię, gdyż znikając w ciemnym przejściu, które dopiero teraz zauważyłem, nie obejrzała się nawet, czy za nią idę. Znała, widać, dobrze siłę sugestii i umiała ją wykorzystać, choć przecież mało brakowało, bym odwrócił się na pięcie i wybiegł na ulicę. To był mój pierwszy odruch, kiedy znów na moment zostałem w hallu sam. Po chwili wahania pomyślałem jednak, że skoro już tu trafiłem, warto by przy okazji... I to trzeba kiedyś poznać, więc — raz kozie śmierć.

Kawiarenka istotnie była mała — cztery, najwyżej pięć stolików otoczonych klubowymi fotelami, chyba jakaś szafka... Niewiele więcej. Gdzieś z oddali, jakby zza ściany dobiegała cicha i spokojna muzyka, co w połączeniu z panującym wewnątrz półmrokiem stwarzało swoisty nastrój intymności — zwłaszcza, że byliśmy tylko we dwoje.

Siadając, próbowałem wyobrazić sobie dalszy bieg wypadków. Samokrytycznie muszę przyznać, iż była to wizja dosyć podniecająca jakkolwiek wiedziałem, że nie będzie mi wolno posunąć się za daleko. Wszystko było zbyt tajemnicze, by nie powiedzieć wprost — podejrzane. Zresztą gdyby nawet tak nie było...

— A może ma pan ochotę na kieliszek koniaku? — zapytała dziewczyna, wychylając głowę z drugiego pomieszczenia, gdzie poszła, aby zaparzyć kawę, która z przyjemnością zgodziłem się wypić.

— Nie, nie. Dziękuję. I tak już niepotrzebnie narobiłem pani kłopotu.

— Ależ skąd? Jaki tam kłopot — zaoponowała, pojawiwszy się z taca w ręku, na której stały dwie filiżanki i — chociaż podziękowałem — dwa kieliszki koniaku. Dziewczyna zestawiła je zręcznie na stolik, po czym usiadła z drugiej jego strony. Milczała.

W kieszeni marynarki odnalazłem pudełko papierosów, wyjąłem je, otworzyłem i podsunąłem dziewczynie. Odmówiła skinieniem głowy. Zapaliłem więc sam, głęboko zaciągając się słodkawym dymem. Celebrowałem tę czynność wyjątkowo długo, żeby zyskać na czasie. Sytuacja stawała się bowiem dla mnie coraz bardziej kłopotliwa. Ostentacyjne milczenie dziewczyny świadczyło wyraźnie, że czeka na jakieś moje pytania, ja zaś zupełnie nie wiedziałem jak zacząć, by nie zdradzić swym zachowaniem, iż zaszło nieporozumienie, a jednocześnie, by wszystko wyglądało jak najbardziej naturalnie. Niestety, umiejętność zawierania znajomości nie była moją mocną stroną. Nie przejawiałem też nigdy żadnych skłonności aktorskich. Pozostawało zatem również milczeć. Z pewnością nie robiło to dobrego wrażenia, ale przynajmniej było bezpieczne. Na szczęście dziewczyna sama po chwili przystąpiła do rzeczy:

— Proponuję, abyśmy na początek wyjaśnili podstawową sprawę — powiedziała, uśmiechając się ze zrozumieniem dla mojej nieśmiałości. — Otóż nasza dralnia, jak wskazuje zresztą sama nazwa, zajmuje się darciem, czy też mówiąc ogólnie — niszczeniem.

— Niszczeniem? — nie potrafiłem ukryć zdumienia.

— Tak. Nie przesłyszał się pan — niszczeniem.

— Nie rozumiem.

— Ja wiem, że w pierwszej chwili wyglądać to może dziwnie, a nawet — śmiesznie, ale proszę się nie śmiać, gdyż wbrew pozorom sprawa jest poważna i nie należy jej lekceważyć.

— Oczywiście — powiedziałem najpoważniej, jak tylko umiałem, choć nie brzmiało to, zdaje się, całkiem przekonywająco.

— Zdaje też sobie sprawę, że nazwa nie jest istotnie najlepsza, ale, przyzna pan, ma dwie zasadnicze zalety: jest krótka i prosta.

— To się zgadza.

— Myśli pan, że lepiej byłoby na przykład: Państwowe Przedsiębiorstwo Zastępczego Niszczenia Nieruchomości i Przedmiotów Codziennego Użytku? Chyba nie. A trzeba panu wiedzieć, że niszczymy w zasadzie wszystko: drobiazgi osobiste, książki, ubrania, meble, rowery, samochody, budynki mieszkalne a nawet — proszę to potraktować jako swego rodzaju ciekawostkę — zajmujemy się także zwanym kancerowaniem znaczków pocztowych, co wymaga przecież wielkiej precyzji. Jak więc pan widzi, zakres naszej działalności jest bardzo szeroki. Przyznam, że sami nie znamy jeszcze wszystkich naszych możliwości, gdyż kto wie, z jakimi zleceniami przyjdzie nam się jeszcze spotkać.

— Tak, pomysłowość ludzka nie zna granic — zauważyłem ironicznie. — A potwierdzenia tej starej prawdy nie trzeba wcale daleko szukać.

— Myślę, że pan mnie źle zrozumiał — odparła urażona. — Tu naprawdę chodzi o poważne sprawy. Zresztą już sam fakt powołania do życia naszej placówki potwierdza niezbicie, że tak właśnie jest.

— Różne są sposoby wyłudzania od ludzi pieniędzy...

— Proszę pana, powstanie dralni podyktowane zostało obecnymi warunkami życia, a także, czy też może raczej — przede wszystkim perspektywą tego, co czeka nas w najbliższej przyszłości. Z pewnością teraz da się jeszcze jakoś wytrzymać bez naszych usług, ale za kilka czy kilkanaście lat... Dotychczas zawsze było tak, że najpierw rodziły się potrzeby określonej działalności usługowej, a dopiero później instytucje, które te potrzeby zaspokajają. Gdyby ludzie chodzili bez butów, nie byłoby szewców. Skoro jednak potrzebne były buty, ktoś musiał je robić, a potem naprawiać. Na początku każdy sam sobie robił jakieś prymitywne obuwie, z czasem jednak musiało dojść do specjalizacji, czyli wykształcenia zawodu szewca. Szewc otwierał warsztat i... I tak ze wszystkim działo się przez całe wieki. Teraz jednak ów naturalny proces coraz bardziej kłóci się z realiami życia, dlatego nadeszła pora, by odwrócić kolejność rzeczy i dzięki temu móc skuteczniej kształtować świat, w którym żyjemy. Taka jest prawda.

— To zależy jak się na to patrzy — powiedziałem wymijająco, bo nie mogłem wprost pojąć, jak można mówić takie bzdury. To chyba jakaś wariatka, myślałem. Nienormalna albo też... służy to określonemu celowi. Na przykład, żeby mnie...

— Może nie wyraziłam się dosyć jasno — kontynuowała tymczasem dziewczyna. — Powiem więc to samo inaczej: do powołania dralni zmusiła nas troska o zdrowie i bezpieczeństwo członków naszego społeczeństwa...

— Zdaje się, że ktoś już się tym zajmuje...

— Ma pan rację. Jest służba zdrowia, wojsko, policja, straż pożarna i wiele innych instytucji, ale — jak już powiedziałam — to, co wystarczało wczoraj, nie wystarcza dzisiaj, a tym bardziej nie będzie wystarczać jutro. Przyświecająca nie jest zresztą nowym to wykazać na kładach z historii. znany jest jedynie urzeczywistnienia, do zaistniałej sy- jednym z pierw- ławów jest właśnie dralni. Wkrótce ża- nie myślący człowiek nie będzie z tego powodu okazywał zdziwienia, gdyż zrozumie, że nie było po prostu innego wyjścia. Pan zaś poczuje się być może dumny, że został naszym klientem niemal od pierwszych dni.

— Pani pewność siebie jest urzekająca. Nie sądzę jednak, abym kiedykolwiek miał być zadowolony z tego, że za moje własne pieniądze ktoś zniszczy mi mieszkanie.

— Nikt nie zamierza robić tego wbrew pańskiej woli.

— Przypuszcza więc pani, że sam o to poproszę?

— Niewykluczone, że tak właśnie będzie. Ale nie to jest najważniejsze. Chciałabym, żeby dobrze zrozumiał pan istotę problemu, a do tego przykład z mieszkaniem nie najlepiej się nadaje. Weźmy zatem inny. Proszę sobie wyobrazić gromadkę dzieci wspinających się na drzewa, przechodzących przez płot, bawiących się w Indian, poszukiwanie skarbów, czy coś takiego. Na pewno pamięta pan to z własnego dzieciństwa.

— Powiedzmy.

— Nie ma się czego wstydzić. To przecież normalne. Ale normalne jest, niestety, również i to, że właśnie w czasie takich zabaw najłatwiej o nieszczęśliwy wypadek. Dzieci, jak to dzieci, na ogół nie zdają sobie jeszcze sprawy z grożącego im niemal na każdym kroku niebezpieczeństwa. A przecież wystarczy chwila nieuwagi, jeden niewłaściwy krok, jakaś sucha gałąź, wystający z płotu drut, nie ogrodzony wykop w ciemnej ulicy... Otóż, aby zapobiec takim chociażby wypadkom, wystarczy przyprowadzić dziecko do dralni. Spędzi ono u nas bezpiecznie czas w warunkach symulacji wymienionych, czy innych jakichś zabaw, my zaś w odpowiedni sposób stworzymy pozory, że zabawa była autentyczna. Może to być na przykład pobrudzona i rozdarta koszulka, przetarte spodenki, itp.

— Ale po co?

— Oczywiście, można tego nie robić, ale tak, jak trudno pozbawiać dzieci przyjemności zabawy w Indian czy chodzenia po drzewach, tak samo nie należy pozbawiać ich rodziców wszystkich tego następstw i konsekwencji — rzecz jasna, pod warunkiem, że dziecku nic złego się nie stanie. To już nie tylko chodzi o przywiązanie do tradycji, choć i to mamy na względzie, ale — o zachowanie pewnych określonych relacji międzypokoleniowych, co jest ogromnie ważne z psychologicznego punktu widzenia i dla dzieci, i dla rodziców, czy ich opiekunów. Wieloletnie badania naukowe potwierdzały to niezbicie. Taka jest prawda. Wszystko w zasadzie pozostaje bez zmian: dzieci się bawią, brudzą, niszczą ubrania, przeżywają emocje, rodzice trochę się niepokoją, mają co prać i naprawiać... Utrzymany zostaje wysoki poziom zbytu towarów na rynku, co daje możliwość dużego zatrudnienia, a nawet stworzenia nowych miejsc pracy... Pan rozumie? Nie ma tylko jednego elementu — niebezpieczeństwa.

— Innymi słowy, zamiast ulegać wypadkom drogowym, lepiej raz na kiedyś oddać samochód do dralni, czy tak?

— Dokładnie tak, jak pan powiedział — ucieszyła się. — Widzę, że powoli zaczynamy się rozumieć.

— Niestety. Nie mam zresztą samochodu. Ale gdybym go pował, to chyba po to, żeby nim jeździć, a nie trzymać w garażu i pozwalać go niszczyć od czasu do czasu? To przecież logiczne!

— Tak, tylko że pan patrzy na to wyłącznie pod kątem własnych korzyści, zapominając zupełnie, że jest także członkiem społeczeństwa, które — jako całość — kieruje się trochę innymi kryteriami. A interes społeczny, interes ogółu zawsze musi być stawiany wyżej od interesu jednostki.

— Ale co to ma do rzeczy?! Poza tym zawsze mi się wydawało, że na całym świecie dąży się do budowania wygodniejszych i bezpieczniejszych pojazdów, bezkolizyjnych skrzyżowań, podziemnych przejść..., do stworzenia takich warunków, w których prawdopodobieństwo kolizji byłoby jak najmniejsze. Czy nie mam racji?

— Pozornie pan ma, ale — powtarzam — tylko pozornie. Tak, dotychczas wszystkie wysiłki konstruktorów szły rzeczywiście w tym właśnie kierunku. Przyzna pan jednak, że mimo to rezultaty nadal dalekie są od oczekiwań. Ilość wypadków drogowych wcale nie zmalała. Wprost przeciwnie — statystyki dowodzą niezbicie, że stale rośnie. Taka jest prawda. W tej sytuacji należało więc zacząć szukać innego rozwiązania. I myśmy takie rozwiązanie zaproponowali. Nie wzbudza ono, rzecz jasna, powszechnego entuzjazmu i zawsze chyba mieć będzie zagorzałych przeciwników, zwłaszcza w krajach, gdzie wszechpotężną siłą jest pieniądz, a życie ludzkie małą ma wartość, ale — niech mi pan wierzy — już wkrótce samo życie potwierdzi słuszność naszego stanowiska.

— Nie wiem, kogo pani reprezentuje i w czyim imieniu przemawia. Nieważne. Sądzę jednak, że wszystko to nie ma sensu. Co mi dadzą na przykład wasze usługi, skoro i tak muszę korzystać z komunikacji miejskiej, kolejowej, lotniczej? Ludzie przecież muszą podróżować...

— I tu dotknął pan sedna sprawy: otóż ludzie wcale nie muszą, a jedynie chcą podróżować. Taka jest prawda. No, może dzisiaj, jak w każdym okresie przejściowym, niektórzy rzeczywiście muszą jeszcze przenosić się z miejsca na miejsce, gdyż wymaga tego interes ogólnospołeczny, ale jutro... Musimy być na to przygotowani. Dam panu zresztą prosty przykład. Olbrzymi budynek, w którym znajduje się wszystko, co potrzebne do życia człowiekowi: mieszkanie, sklepy, punkty usługowe, gastronomia, przychodnie lekarskie i szpitale, dralnie, kina, teatry, baseny, boiska... Wszystko. Budynek ten jest miejscem pracy każdego z jego mieszkańców, którzy zostali tak dobrani aby nikt nie pozostał bez zajęcia. Proszę pomyśleć, o ile to wygodniejsze, prostsze i bezpieczniejsze od dotychczasowego modelu życia. Wszystko na miejscu, na wyciągnięcie ręki.

— Gdzie tu w takim razie miejsce na samochód?

— Proszę pana, nie można przecież nikomu zabronić posiadania samochodu. Chęć posiadania jest w człowieku bardzo silna i nie wolno nam tego pomijać. Ale czy to znaczy, że mieszkaniec takiego budynku, który uległ własnej słabości i kupił sobie wymarzony samochód, musi narażać się na niebezpieczeństwo, jeżdżąc nim po mieście? Chyba nie, tym bardziej, że powodując wypadek, dezorganizuje życie sobie i innym ludziom.

— Przerwijmy tę dyskusję. Przepraszam, ale pani pomysły przypominają mi literaturę fantastyczno-naukową i to dosyć kiepską.

— Pan się myli. Takie budynki już na świecie istnieją od kilkunastu lat. Oczywiście na razie jest ich mało. Nie rozwiązano też jeszcze wszystkich problemów technicznych, związanych z procesami produkcyjnymi i pełną automatyzacją transportu, ale jest to już tylko kwestia czasu. Nie ma więc na co czekać, udając, że o niczym nie wiemy. Należy powoli przyzwyczajać społeczeństwo do tego, co nowe, a zarazem — nieuniknione. Już teraz trzeba zacząć łagodzić ujemne skutki skoku jakościowego, który zupełnie odmieni ludzkie życie, czyniąc je w przyszłości naprawdę szczęśliwym.

— Ależ to są brednie! — nie wytrzymałem nerwowo, zamierzając podnieść się i wyjść. — Szczęście? Jak szczury w klatkach i — szczęście?! Gdyby pani myślała jak człowiek...

Urwałem nagle, gdyż poczułem, że może lepiej nie kończyć tego zdania. Oczy dziewczyny były zupełnie nieruchome. Nie mrugała powiekami, nie poruszała się, a nawet — odniosłem wrażenie — przestała oddychać.

Zrobiło mi się duszno. Nie miałem siły ani odwagi wstać. Zapaliłem papierosa. Drżącą ręką podniosłem do ust nietknięty dotąd koniak i... odetchnąłem z ulgą.

— Niepotrzebnie pan się unosi — powiedziała spokojnie dziewczyna, sięgając również po kieliszek. — Przecież nasza rozmowa do niczego pana nie zobowiązuje.

— Mam nadzieję.

— Może pan być absolutnie pewny. Zaznaczyłam to już zresztą na samym początku, więc jeśli ma pan jakieś obawy...

— Przyznam szczerze, że spodziewałem się czegoś zupełnie innego. Nie byłem przygotowany na... taką rozmowę. Nie chciałbym pani urazić...

— Jest pan chyba przewrażliwiony. Reaguje pan emocjonalnie nie dokonując wcale głębszej analizy całokształtu zjawiska. Rozumiem, że brak też panu odpowiedniego przygotowania, ale gdyby tylko na podstawie tego, co już powiedziałam, zastanowił się pan dobrze...

— Ależ tu nie ma nad czym się zastanawiać. Przecież na zdrowy rozum... To jest nie do przyjęcia! Uważa pani, że można spędzić całe życie, nie opuszczając domu? A szkoła, wycieczki, turystyka, kontakty z rodziną, znajomymi?...

— Wie pan, trudno jeszcze w tej chwili przesądzać, że będzie dokładnie tak, a nie inaczej. Dużo problemów ciągle czeka na swoje rozwiązanie. Niektórych być może jeszcze w pełni nie potrafimy dostrzec. Na pewno jednak nasze życie nie będzie wyglądać tak, jak dawniej. Bardzo zaawansowane są na przykład eksperymenty z przekazywaniem wiedzy do mózgu człowieka wprost z komputera. Być może taki komputer będzie pełnił kiedyś rolę elektronicznego nauczyciela w szkole. Czy pan sobie wyobraża, jak wielkie może to mieć znaczenie? Zresztą po co wybiegać tak daleko. Już dziś dysponujemy przecież magnetowidami, wideotelefonami... Proszę sobie tylko uzmysłowić, jak wiele spraw można załatwić, korzystając za zwykłego telefonu, i w ogóle nie ruszać się z domu. Na co dzień nie dostrzegamy tego, nie widzimy w szerszej skali...

— W porządku. Ale myślę, że nic nie zastąpi prawdziwej szkoły z klasami i żywym nauczycielem.

— Cóż, przyzwyczajenie jest drugą naturą człowieka, ale i przyzwyczajenia ulegają przecież przeobrażeniom. Pan uczył się zapewne w szkole dawnego typu i dlatego uważa to za normalne. Pańskie dzieci jednak mogą traktować taką szkołę jako przeżytek i dziwić się, jak można było w niej w ogóle nauczyć się czegoś. Taka jest prawda. Ale to widać dopiero z perspektywy czasu. Ważne jest, abyśmy umieli to sobie uzmysłowić. Ludzie nieraz są bardzo dziwni i niekonsekwentni w tym, co robią i mówią. Chcą na przykład żyć coraz wygodniej, coraz łatwiej, nakręcać sprężynę postępu technicznego do granic wytrzymałości, a jednocześnie wyrażają zdziwienie, że szlag im trafia tak zwane środowisko naturalne, a przede wszystkim — ich samych. Chcieliby w niedzielę latać w kosmos, a przez cały tydzień żyć, niemal jak ich jaskiniowi przodkowie. Chcieliby wydrzeć naturze wszystko, nie dokonując przy tym żadnych wyrzeczeń. A to nie jest tak. Oczywiście ja rozumiem ludzką tęsknotę za tym, co stare i — w ich mniemaniu — piękne. Ale przecież nie można negować postępu technicznego, rozwoju cywilizacji. Nie można dostrzegać tylko jednej strony medalu, udając, że drugiej w ogóle nie ma. Spójrzmy wreszcie prawdzie w oczy. Wie pan, te hasła powrotu do natury, te protesty przeciwko elektrowniom jądrowym... To przecież dziecinada. Zresztą my nie robimy nic innego, jak właśnie staramy się pomóc ludziom pogodzić z nową rzeczywistością, ułatwić im przejście do nowego, lepszego życia.

— I pani naprawdę w to wierzy?

— To nie jest sprawa wiary. Ja po prostu wiem.

— No tak — powiedziałem zrezygnowany, żałując, że dałem się wciągnąć w tę idiotyczną dyskusję. — A ja myślałem, że będziemy mówić o miłości.

— Słucham?

— Nic. Nic. Nieważne. Ile płacę za kawę i koniak?

— To na koszt firmy.

— Dziękuję i do widzenia.

— Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy.

— Nie przypuszczam.

— A tak przyjemnie się z panem gawędziło. Na pewno się jeszcze spotkamy. Czuję to. Kobieca intuicja...

c.d.n.

*Rys. Zenona Pionk*

# 1 Gdyby Buchwald był Polakiem

## Toast

Gdzieś tak przed Nowym Rokiem wyciągnąłem wymyślonego przez siebie Buchwalda z wymyślonej przez siebie wanny z ciekłym helem, gdzie facet próżniaczył się hibernując bądź odwrotnie, sam już nie wiem, jak to nazwać.

Być może jestem staroświecki, sądzę jednak, że postąpiłem godnie, każdy bowiem człowiek — nawet ten wymyślony — powinien mieć prawo do pewnych względów i to nie rzadziej niż raz w roku. Nie mamy się zresztą czym tak pysznić, my, z krwi i kości, nas bowiem też ktoś sobie wymyślił, czyli zaprogramował, w dodatku częstokroć nie wiedząc nawet, że akurat programuje i myśląc w rezultacie diabli wiedzą o czym, może nawet o bezecnych Skiroławkach.

Buchwald z wanny wylazł niechętnie, zachlapał świeżo wypastowaną podłogę, opatulił się specjalnym szlafrokiem, który chowam na specjalne okazje, a potem ni z tego ni z owego poprosił o drinka.

Spojrzałem na zegarek, dochodziła jedenasta. — Musisz ze dwie godziny poczekać, Art — powiedziałem poufale. — Za wcześnie jeszcze na drinka, ustawa nie pozwala.

— Zmarzłem na kość, a właściwie zamarzłem — uparł się Buchwald. — Sam wiem, że za wcześnie, ale co ma do tego ustawa? Czyżby psy z góry świętego Bernardyna ratowały ludzi przysypanych lawiną nieszczęść dopiero od pierwszej po południu?

Zgniewała mnie ta aluzja, sięgnąłem więc do biblioteczki, gdzie za encyklopedią zawsze chowam butelkę whisky przydatną w momentach intelektualnego wysiłku. Whisky niestety nie mogłem wymyślić, nie znam bowiem receptury, słowem była to whisky prawdziwa, z Pewexu, nabyta w ramach walki z alkoholizmem czy też premiowej sprzedaży z bonifikatą, już dobrze nie pamiętam.

Nalałem Buchwaldowi z pół szklaneczki (sobie też zresztą, nie wypada, aby gość nie miał do kogo przepić), wyjaśniając mimochodem, że w związku z kryzysem i kurczeniem się budżetów rodzinnych na toniku, a nawet na wodzie sodowej muszę okropnie oszczędzać. I tak naprowadziwszy na temat pytam, co niby świeżo reanimowany o tym wszystkim myśli.

— O jakim wszystkim? — dziwi się Buchwald i żłopie moją whisky, aż się serce kraje. — Gazet w tej lodowatej wannie nie dostaję, komentarzy „Głosu Ameryki" prezentujących poglądy rządu Stanów Zjednoczonych nie słucham, co ja mogę wiedzieć o tym zwariowanym świecie?!

— Żadnych opinii, żadnych komentarzy?

— Najwyżej taka uwaga ogólna: klimat Ziemi cyklicznie się zmienia, po okresach ocieplenia następują okresy lodowacenia i tak w kółko. W polityce, przypuszczam, może być całkiem podobnie. Teraz akurat się ochładza, ale kiedyś stosunki międzynarodowe zaczną się znów ocieplać, w nieokreślonej zaś przyszłości ludzkość po prostu zmądrzeje.

— A jeśli nie zmądrzeje?

— Jeśli nie zmądrzeje — mówi Buchwald i dolewa sobie whisky — potwierdzi się hipoteza, iż bytowanie rozsianych w kosmosie cywilizacji technicznych jest z reguły niesłychanie krótkie. Cywilizacje, które urosły w moc energetyczną — a przez to dojrzały do międzygwiezdnego kontaktu — niby słuchają pilnie, czy ktoś do nich poprzez otchłań lat świetlnych nie gada, ale jeszcze pośpieszniej próbują tę świeżo nabytą potęgę na samych sobie wypróbować. No i milkną ostatecznie, a nawet przestają nadsłuchiwać...

— Dosmucasz mnie, Art. I po to wyciągałem cię z wanny?!

— Nie wiem, po co mnie wyciągałeś — Buchwald na to — ale coś tak myślę, że bardziej dokucza ci wasz własny kryzysy, niż ten globalny, w skali międzynarodowej. A już całkiem mało wzruszasz się cywilizacjami kosmicznymi, które — być może — zaskwierczały, spopieliły się i zamilkły na wieki.

— Być może, być może — zezłościłem się szczerze. — Była kiedyś woda kolońska o takiej nazwie, a dziś głupiej herbaty nie mogę dostać!

— No właśnie, bardziej zależy ci na herbacie niż na dalekich cywilizacjach. A jak sądzisz, kto mógł wypowiedzieć zdanie: NIE PYTAJCIE, CO KRAJ MOŻE ZROBIĆ DLA WAS, LECZ CO KAŻDY Z WAS MOŻE ZROBIĆ DLA KRAJU?

— Dajże spokój zagadkom. Bo ja wiem, może Rakowski.

— Ciepło, ale jeszcze nie gorąco. Zdanie to wypowiedział John Fitzgerald Kennedy, prezydent kraju wielekroć większego i zamożniejszego od Polski. Skoro Kennedy — i to w czasie prosperity — odwoływał się do Amerykanów, to wy musicie odwołać się do Polaków, do siebie samych po prostu. Bo nikt was z kryzysu za uszy nie wyciągnie.

— No dobrze, Art, przypuśćmy, że masz rację. Co ja jednak mogę zrobić dla tego kraju i to zaraz, natychmiast, a nie kiedyś tam!?

— Cóż — Buchwald uśmiechnął się jakoś dziwnie — nie znam zbyt dobrze tutejszych stosunków, jeżeli jednak państwowy „Pewex" sprzedaje whisky z bonifikatą, widać ma w tym jakiś interes, nasze wielkie domy towarowe też nie tracą na wyprzedaży. Poprzyj „Pewex", zgub ten nawis dolarowy, bądź człowiek, skocz po jeszcze jedną butelkę. A wtedy wypijemy toast za ogólną pomyślność i wszystkie cywilizacje kosmiczne!

Co było robić, przegadał mnie, skoczyłem.

**JERZY P.**

# 2 Sport

## A ja jestem przeciw!

Kierownictwo redakcji siedziało i dumało. A jak kierownictwo siedzi i duma to zawsze wychodzi z tego dla nas robota. Tym razem los padł na mnie. Kierownictwo wezwało mnie i powiedziało: — Napiszesz o sportowych plebiscytach!

— Ale ja nie cierpię plebiscytów — zaprotestowałam.

— No, i bardzo dobrze — powiedziało kierownictwo. — Tekst ma być jutro — dodało, aby nie było wątpliwości.

Kierownictwo zawsze ma rację — tak przynajmniej samo twierdzi, choć my myślimy czasem inaczej. Ale tym razem miało rację. Plebiscytów rzeczywiście namnożyło się niemożliwie. Najlepszych sportowców wybiera się w kraju, wybiera w województwach, wybiera w miastach, gminach. Niedługo a w każdej wsi będzie się wybierać najlepszego sportowca.

Dziesięciu najlepszych sportowców wybiera już od lat „Przegląd Sportowy". Jest to plebiscyt ogólnokrajowy. Kończy się on balem sportowców. Telewidzowie całej Polski mogą przez kilka minut obejrzeć wyróżnionych i zobaczyć, jak bawią się najlepsi sportowcy.

Po balu wracamy do smutnej sportowej rzeczywistości. Ten plebiscyt ma już tradycję i choć jestem generalnie przeciw, to ten jeden bym zachowała. Dziesięciu najlepszych sportowców wśród setek średniaków i zupełnych miernot zawsze można znaleźć.

Kiedyś w plebiscycie „Przeglądu Sportowego" prym wodzili piłkarze. W tym roku wśród kandydatów do dziesiątki najlepszych figuruje samotnie tylko nazwisko Józefa Młynarczyka. Uważam że sprawiedliwie, choć piłkarze w 1983 roku raczej pokazywali jak nie należy grać. Młynarczykowi tytuł jednego z najlepszych należy się „za całokształt działalności". Szkoda tylko, że jego kandydatura do najlepszych plasuje się na tle nijakiego średniactwa w piłce nożnej.

„Rok 1983 nie przyniósł zbyt wielu sukcesów sportowcom krakowskim" — wyznało szczerze krakowskie „Tempo", ale mimo to 30 kandydatów do „Dziesiątki asów" znalazło. Któż jest na tej liście?

Jest na niej Krzysztof Lenartowicz — mistrz świata w lotnictwie sportowym, a obok niego Bogdan Pawlik — hokeista lodowy, członek kadry olimpijskiej. Panowie kochani! Do igrzysk olimpijskich niecałe dwa miesiące. Zostać asem można dopiero wówczas, gdy drużyna olimpijska odniesie w Sarajewie jakiś sukces, choćby malutki. Na razie Bogdan Pawlik — może i bardzo zdolny hokeista — jest nadal kandydatem na asa i pozostanie nim nawet wówczas, gdy czytelnicy „Tempa" zaliczą go do „Dziesiątki asów".

My tu się pod koniec roku 1983 bawimy w plebiscyty, a już niebawem całą tę naszą zabawę zweryfikuje Olimpiada w Sarajewie. Czy spodziewacie się Drodzy Czytelnicy, że odniesiemy tam niebotyczne sukcesy? Niebotyczne to są tam góry. Sukcesy będą mieli inni. My możemy się spodziewać co najwyżej, że klęska nie będzie taka gorzka. W sportach zimowych od dawna już nie mamy zbyt wielu asów, raczej same biotki, żeby pozostać przy karcianej nomenklaturze. Czasem zdarzy się jakiś król, dama, walet...

Spójrzmy jeszcze raz do listy 30 kandydatów na asów krakowskiego „Tempa". Od reprezentantów Polski aż się roi, mistrzów raczej mało. Wiesław Guzik jest na przykład absolutnym mistrzem Polski w spadochroniarstwie. Słusznie kandyduje, gdyż as to niewątpliwy, ale obok niego kandyduje też Teresa Folga — reprezentantka Polski w gimnastyce artystycznej Agnieszka Czopek jest mistrzynią Polski w pływaniu i słusznie jest kandydatem, bo to też as, ale obok mamy Krzysztofa Włosika — reprezentanta kraju w łucznictwie. I tak można dalej.

Zaraz, zaraz — powie być może entuzjasta plebiscytów — przecież czytelnicy mają z tych 30 wybrać dziesięciu, wybiorą więc mistrzów, czyli prawdziwe asy. Jeżeli już musimy bawić się w plebiscyty w każdym mieście, województwie i gminie, to chociaż zastanówmy się, czy w sytuacji, kiedy w sporcie nie ma specjalnych sukcesów jest sens kreowania najlepszych na siłę. A może ograniczyć liczbę tych najlepszych, choć najlepiej byłoby ograniczyć liczbę plebiscytów do niezbędnego minimum.

Czyż to nie jest trochę śmieszne że sukcesów nie ma, a najlepszych wybieramy? Najlepszy w Łodzi, najlepszy w Fabianicach, najlepszy w Piotrkowie Trybunalskim. Może być jeszcze najlepszy w Sieradzu, Skierniewicach, Tomaszowie Mazowieckim, Rawie Mazowieckiej, Nowosolnej... A sukcesów w sporcie nadal mieć nie będziemy.

Plebiscytomania panuje nie tylko u nas. Oto nadeszła wiadomość z Verony, że przebywający tam Władysław Żmuda został laureatem nagrody „Sport i człowiek". Władysław Żmuda nie grał przez cały rok, gdyż leczył kontuzję. Dopiero w połowie grudnia 1983 r. wrócił na boisko. Sam przyznał, że nagroda ta była dla niego „sporym zaskoczeniem". Dodał jednak, iż „uznano, że moje „zmagania" z dwukrotnie operowanym kolanem, wytrwałość w dążeniu do powrotu na boisko są warte tej nagrody". Może i tak. Nie nasze zmartwienie. Wróćmy lepiej do kraju.

Proponuję, i to zupełnie poważnie, zastanowić się nad tym mianowaniem co roku najlepszych. Czyż robienie na siłę całej plejady najlepszych, podczas gdy sport przeżywa kryzys i nie ma sukcesów nie jest demoralizujące? Bo proszę mi nie wmawiać, że jest to lansowanie dobrych wzorów do naśladowania. Wzory niby są w każdym mieście, województwie, gminie, a sukcesów nie ma. Gdzie tu logika? Gdzie realizm?

**BOGDA MADEJ**

# 3 Zdarzenia i zwierzenia

## Niejaki P.

Niejaki P. drukujący w miesięczniku „Literatura" felietony z cyklu „Wolomin" napisał o mnie, że niejaki Wilmański to mętniak i ignorant zwłaszcza — o zgrozo! — lokalny. Niejakiego P. doskonale rozumiem. Mógł go zirytować mój felieton, w którym zaprotestowałem przeciwko wyzwiskom niejakiego P. pod adresem Czeszki, Załuskiego, Dobrowolskiego, Melkowskiego... To rzeczywiście jest mętniactwo i ignorancja (lokalna!), gdy ktoś nie może zaakceptować maglarskich dywagacji niejakiego P. na stronicach „Pół wieku" drukowanych w „Literaturze".

Niejaki P. mętniakiem nie jest — a na pewno nie jest „lokalny", lecz centralny. Co prawda jego „centralność" dawno się skończyła, ale niejaki P. nadal trwa w przekonaniu, że posiada mandat moralny i polityczny do osądzania innych w sposób właściwy dla magla. To co pisze bowiem nie jest mętniactwem nawet, lecz wylewem żółci.

Oczywiście zdaje sobie sprawę, że złośliwie opisując wystąpienie niejakiego P. na pewnej literackiej naradzie, naraziłem starego pisarza na irytację. Zrobiłem to celowo, aby mu uświadomić, jak czuć się może znany pisarz, gdy ktoś o nim pisze w sposób tak obrzydliwy, w jaki pisze o swoich kolegach i towarzyszach niejaki P. Niestety — niejaki P. wyznaje filozofię Kalego. On może obrażać — jego, wara!

Ale niestety. Jeśli bierze się do ręki instrument obrazy, plotki, osobistych wycieczek — trzeba przyjąć do wiadomości, że taki sam instrument może być użyty w odwecie.

Przecież operując tylko i wyłącznie informacjami z „Pół wieku" można spreparować portrecik niejakiego P. równie obrzydliwy, jak portrety Załuskiego, Sokorskiego, Kraśki i innych — tak gęsto rozrzucone po kartach „Pół wieku", najgłośniejszego serialu literackiego niejakiego P.

Ale mniejsza o to. Gorzej, że niejaki P. ma poważne kłopoty ze zrozumieniem tego, co czyta. Gdzież on wyczytał w moim felietonie, że określam jakieś „strefy chronione" w życiorysach pisarzy? Gdzież on przeczytał, że podważam prawdziwość faktów podawanych przez niejakiego P. w jego „Pół wieku"?

Ja nawet wierzę w te fakty, nie określam „stref chronionych", ale budzą mój sprzeciw wyzwiska („błazen", „skończony osioł"), wyciąganie prywatnych intymności w sposób obraźliwy... Rzecz nie w tym co zostało napisane, ale jak zostało napisane.

Niestety — niejaki P. tak się zirytował moim złośliwym opisem jego nieudanego wystąpienia — że już nic nie zrozumiał z felietonu.

Ja także czegoś nie rozumiem: jakie mroczne tajemnice duszy niejakiego P. (ma ją niewątpliwie, choć marksista) sprawiły, że w jego tekstach znalazło się tyle żółci, śliny oraz zapiekłej niechęci (a może nienawiści?) do ludzi przecież sobie bliskich?

Myślę, że nie pojmuje tego nie tylko „lokalny mętniak i ignorant niejaki Wilmański" — ale nawet najbardziej biegli w życiorysie i twórczości niejakiego P.

**JERZY WILMAŃSKI**

# 4 Przejście podziemne

## Karnawał

Pewien mój znajomy z czasów, gdy byliśmy jeszcze inteligentami przedrotacyjnymi, na posadach rządowych, samorządowych albo autonomicznych, skądinąd paleoetnograf — folklorysta urbanizacyjny (specjalizacja wąska jak ostrze brzytwy), napisał i wydał drukiem (w pierwszym obiegu, co się chwali) rozprawkę o ludycznych i metafizycznych pierwiastkach dezalienacyjnych w strukturze stabilnych i mobilnych obyczajów ludności łódzkiego suburbium, zwanego „Dołkiem", w drugiej połowie XIX wieku, ze szczególnym uwzględnieniem okresu tzw. zapustów albo karnawału porównawczo w wybranych grupach tubylców napływowych: z obszaru gminy Charłupia w guberni kaliskiej, ze wspólnoty Braci Morawskich, Niemców nadbałtyckich — baptystów oraz Żydów — chasydzkich sefardyjczyków z guberni odeskiej i mohylowskiej. A co? I nawet, jak pamiętam, doktorat obronił — co zresztą nie uchroniło go przed wyrotowaniem, rzekomo pod zarzutem nieuwzględnienia (dawne to były czasy) aspektu walki klasowej w procesie osmozy kultury burżuazyjnej i proletariackiej — szczególnie podobno istotnego w porze roku będącej przedmiotem zainteresowania owej pracy, a zwłaszcza za pominięcie analizy jakoby rozpowszechnionego wtedy zwyczaju (we wszystkich wspomnianych grupach ludnościowych, aczkolwiek z różnym natężeniem, proporcjonalnym do stopnia lojalności grupowej — mierzonej według skali Wechslera-Urbaniaka — wobec autorytetów i lokalnych wzorców osobowych) sikania do cylindra niejakiego Traugotta Grohmana juniora, namiętnie korzystającego wtedy ze ślizgawki (szlichtady) w miejskim ogrodzie publicznym Kwela (Quelle — źródło), a stawiającego ów pomieniony cylinder pod jedną z ławek w tymże miejskim ogrodzie publicznym. Tak było... Chociaż w istocie podobno chodziło o podszykowanie etatu dla asystentki pewnego docenta, prowadzącego wtedy eksperymenty laboratoryjne i badania terenowe nad obyczajami seksualnymi mieszkańców rządowej wsi Bałuty pod Łodzią, ze szczególnym uwzględnieniem nawyknień zaszczepianych tamże przez przymusowo osiedlanych przestępców kryminalnych (tzw. worów i karmańszczyków) z obszaru prywiślińskiego kraju...

Dziś pewien mój znajomy prowadzi elegancki butik ze specjalnością: wyroby galanteryjne z kości i rogu, do którego zresztą towaru dostarcza mu ten sam docent od obyczajów seksualnych, onże właściciel zakładu usług lakierniczych w branży motoryzacyjnej i hektara pod szkłem i gerberami w podłódzkiej Starowej Górze (asystentka okazała bardziej przyziemne, chociaż mniej przyjemne, zainteresowania...).

Ale problem, problem pozostał — zresztą oba problemy, jakby do końca nie dopowiedziane. A tyle jeszcze było do odkrycia — co mnie szczególnie, jako inteligenta rotacyjnego, pobolewa.

Właśnie dlatego w naszym przejściu podziemnym powołaliśmy grupę do eksperymentalnych studiów porównawczych, chociaż już bez aspektu międzynarodowego, co jest samo przez się zrozumiałe w świetle Traktatu Wersalskiego z 28 czerwca 1919 roku. To znaczy — sam podjąłem tzw. obserwację uczestniczącą, ulubioną technikę badaczy życia seksualnego dzikich, łączącą w najbardziej harmonijny sposób przyjemne z pożytecznym. Po prostu: namówiłem szmukiera Mareczka, pisuardessę Metową i sjenta Mrówkę (malarz Grunt, Beatka-góralka i małolat Zenio się przyłączą) do zorganizowanej interakcji grupowej z konsumpcją i podkładem muzycznym, układającej się we wzajemnie przenikające się sekwencje, tworzące zintegrowaną w czasie strukturę, mającą swój wstęp, wielką kulminację i w dalszej perspektywie badawczej finał, jeżeli uczestnicy interakcji przetrzymają destrukturalizujący wpływ czynników zewnętrznych, świadomie wprowadzanych do wewnątrz organizmów członków grupy — czynników głównie w postaci rozcieńczonego $C_2H_5OH$, oraz silnie działających zachęt erotycznych, skłaniających uczestników eksperymentalnej interakcji do rozbicia jej na układy podgrupowe, bipolarne, dwujednostkowe, najczęściej odmiennopłciowe, choć niekoniecznie. Słowem: organizujemy bal — prywatkę z popijawą i ewent. różowym balecikiem — w salonach ajenta Mrówki... z możliwością przeniesienia w inne rejony użytkowe naszego przejścia podziemnego.

Odbyliśmy w związku z tym pomysłem szereg ciekawych rozmów wstępnych, o podłożu tzw. ideowym — czyli: po jaką cholerę? Że to niby bale się przeżyły (fakt niezbity, ale czyż reanimacja nie jest zajęciem szlachetnym?), że może być za drogo, że towarzystwo niedobrane... I tak dalej. Ponieważ prawdziwy cel badawczy imprezy został przeze mnie głęboko zakonspirowany, nawet przed szmukierem Mareczkiem, ten ostatni — uchodzący w oczach podziemnej opinii za inicjatora całego przedsięwzięcia — mógł rozwinąć w całej krasie swe argumentacyjne talenta, silnie eksponując rozrywkowy charakter imprezy. I co powiecie? — odniósł sukces!

Jedynie ajent Mrówka sformułował ostrożnie, nie chcąc definitywnie narazić się opinii zbiorowej, pewne zastrzeżenia natury finansowo-porządkowej — i tak do tego dopłacę, a jeszcze mi na wykładzinę narzygają...

— Ależ Mrówko — perswadowaliśmy mu z Mareczkiem — w razie czego zrobimy dodatkową zrzutkę, a jakby co, to Beatka zostanie z tobą i posprząta nawet.

Ten ostatni argument zapalił w chytrych, knajackich oczkach Mrówki jakiś krótkotrwały, marzycielsko-tęskny błysk. Błysk ten zasygnalizował nam, że opór Mrówki niebawem ześcieknie...

Nawet pisuardessa Metowa objawiła należne zainteresowanie. Zdumiało nas, że zaproponowała sama z siebie, aby zaprosić owego chuderlawego skurwensyna, którego przed paroma miesiącami pogoniła asenizacyjną ścierą za handlowanie pieskami w naszym przejściu. Może dlatego, że ocalony wtedy owczarek podhalański wyrósł na wielkie bydlę, utrzymujące w ryzach klientelę Metowej — zwłaszcza tego najderka, wypisującego na drzwiach kabiny numer 5 w męskim hasła podburzające do oraz odezwy ekstremy seksualnej, a chuderlawy skurwensyn przerzucił się na koty i w sumie okazał się być sympatycznym chłopakiem.

**I. ROTACYJNY**

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak (sekretarz redakcji), Jerzy Kwiecinski, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz (z-ca sekretarza redakcji), Tomasz Sas (z-ca redaktora naczelnego), Igor Sikirycki (kier. działu literackiego), Karol J. Stryjski, Janusz Szymański, Liliane (grafik), Paweł Tomaszewski, Lucjusz Wiodkowski (redaktor naczelny), Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler (fotoreporter).

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy", al. A. Mickiewicza 11, kod 90—438 Łódź. Telefony: sekreteriat i redaktor naczelny 36-52-44, sekretarz redakcji 36-80-89. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. WARUNKI PRENUMERATY: 1. dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" zamawiają prenumeratę w tych Oddziałach; — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; — osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa—Książka—Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch". Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23, 00—958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153 201045 138-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa Książka—Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90—103 Łódź. Druk: Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 3526. E-2.

**e świątecznym „Odgłosów" przedstawiliśmy nowej powieści Jacka Sawaszkiewicza Akaszy tom IV. Powtórka z Apokalipsy". iczni czytelnicy w listach i telefonach do redakcji prosili o jej kontynuowanie, w kilku najbliższych numerach wydrukujemy dalsze fragmenty „Kroniki Akaszy", która niebawem ukaże się w Wydawnictwie Poznańskim.**

JACEK SAWASZKIEWICZ

# Kronika Akaszy tom IV Powtórka z Apokalipsy

**(fragment powieści)**

**(2)**

## ROZDZIAŁ III
## WRZESIEŃ — GRUDZIEŃ ROKU WYBORCZEGO

1.

Dwa miesiące później, we wrześniu, Laura Thomas i Jane Biorne jadły znowu kolację w hiszpańskiej restauracji „Entre". Matka Jane spoczywała już w dębowej trumnie na cmentarzu katolickim, u boku swojego męża, Edvin Sloane natomiast w drobnoziarnistej postaci spoczywał w urnie wewnątrz pojemnego ossuarium, w sąsiedztwie swojego ojca.

Życie toczyło się dalej, tylko w kontaktach towarzyskich zaszły zmiany. Jeżeli chodzi o kontakty towarzyskie Jane Biorne, zmiany te były nieznaczne, chociaż awansowała ona do klasy średniozamożnych mieszczan. Nadal żyła z Laurą Thomas w związku „zaspokajającym romantyczne i wyrafinowane potrzeby" i sporadycznie dawała wycisk Douglasowi Johnstonowi, żeby umocnić swoją pozycję w „Dutson Telegraph", ale była teraz finansowo niezależna. Miała zdeponowany w banku pakiet akcji i papierów wartościowych, miała oszczędności i mogła wieść żywot rentierki. Była także właścicielką domu o czystej hipotece.

Podczas kolacji, która obie kobiety jadły we wrześniu w hiszpańskiej restauracji „Entre", ten dom stanowił przedmiot ich rozmowy. Jane poprosiła Laurę, żeby zamieszkała w nim razem z nią. Powiedziała, że wynajmowanie mieszkania w sytuacji, kiedy mają własną chałupę, całą dla siebie i to w takiej dobrej dzielnicy, jest amoralną rozrzutnością, patologicznym objawem i w ogóle nie wspominając już o niewygodzie. Laura Thomas nie kwestionowała tej argumentacji.

2.

Tego samego dnia kandydat prezydencki Harold Ballen w hotelowym apartamencie przygotowywał się do nagrania w studiu telewizyjnym. Studio miał zamówione na siódmą po południu, była dopiero piąta więc tymczasem siedział na taborecie, przed okrągłym lustrem oprawionym w płaską i szeroką obrecz ramy w kolorze Kuproru. Rozmawiał z szefem sztabu wyborczego, Chesterem Piercem i podejrzliwie przyglądał się swoim dręczycielom: charakteryzatorowi i garderobianemu, którzy poddawali go upiększającym zabiegom. Był przeświadczony że ci dwaj mają tyle gustu co oswojone makaki.

— Cunningham tak się spieni nad tym artykułem, że wypluje sztuczną szczękę — powiedział Chester Pierce z łóżka, gdzie leżał na brzuchu i studiował „The U.S. News and World Report". — On ma ciasny horyzont. Zamiast przystąpić do walnej bitwy, stacza z nami marginalne gerylasówki, angażuje w nie wszystkie swoje siły i jest szczęśliwy jeżeli uda mu się odnieść jakieś zwycięstwo bez znaczenia. Przejrzałem tego sukinsyna na wylot.

Kandydat prezydencki Harold Ballen odepchnął od siebie charakteryzatora.

— Przeczytaj jeszcze raz ten kawałek o tych dziwkach, Cheesy.

— „Gdyby ktoś mnie zapytał, to wolę zostać zakwaterowany w burdelu niż w trupiarni. Po kongresach obu partii republikanie mogą powiedzieć demokratom: nawet w razie najgorszej recesji Ballen przynajmniej zaprowadzi nas na dupy. Stafford zaprowadziłby nas prosto na cmentarz". Boże, dobrze, że ten Nicholas Will jest z nami.

— Boże — powiedział kandydat prezydencki Ballen przedrzeźniając Pierce'a — jak to dobrze! Lepiej spytaj, ile ten facet nas kosztuje. Jego pióro.

— Will nie inkasuje już od nas ani centa. Robi to bezinteresownie.

— Ja myślę! Byłby dyplomowanym debilem, gdyby żądał teraz forsy. Zna wyniki ostatniej ankiety badania opinii publicznej i notowania na politycznej giełdzie. Może ocenić nasze szanse.

4.

W garniturze z brązowej flaneli kandydat prezydencki, Harold Ballen, spacerował czytając tekst wystąpienia. Garderobiany i charakteryzator już odeszli, pozostał tylko szef sztabu wyborczego, Chester Pierce, w tym hotelowym apartamencie, pod którego drzwiami czuwali dwaj lojalni w każdym calu goryle: Gene Temaner i Rusty Portman.

„The U.S. News and World Report" spadł z łóżka na podłogę z szelestem i Harold Ballen słysząc ten szelest przerwał spacer. Schował do kieszeni tekst wystąpienia.

— Ta panna Wścibskinochal — powiedział do siebie.

— Co?

— Ta samobieżna hulajnoga. Uciszyli ją?

Chester Pierce ukrył ziewnięcie. Przez te obłędne podróże wyborcze od stanu do stanu, bez chwili wytchnienia, był ciągle zmęczony i niewyspany.

— Kogo? — spytał niepewnie.

— Te piczkę z „Dutson Telegraph". Czerwcowy numer. Albo lipcowy.

Chester Pierce przetrząsnął pamięć. Nie znalazł w niej żadnej potrzebnej informacji.

— Wszystko w porządku, Bee — powiedział na wszelki wypadek.

— W porządku? Te insynuacje to jest w porządku?

— Jakie?

— Rety, Cheesy, co się z tobą dzieje? Sam to wyszperałeś. „Dutson Telegraph". Trzeciorzędna szmatka, ale z mojego rodzinnego miasta. Rzekomo są tam sami sprzymierzeńcy. Sto procent uprawnionych do głosowania nosi w klapie moje nazwisko, tak? Ci z prasy aż ściskają tyłki, żeby nam dogodzić, tak? I tu raptem ta petarda.

— Już wiem — siedząc na łóżku Pierce jakby w sennym zwolnieniu przeciągnął rękę po twarzy. — „Eksplodujący element kampanii wyborczej". Oni to dali jako przeciwwagę, żeby ich nie posądzono o nachalną stronniczość. Zlecili tę robotę jakiejś adeptce bez wyrobionej marki, jakiejś wojowniczej dupci.

— Ja ich chromolę, tych palantów — powiedział kandydat prezydencki, Harold Ballen. — Ale ta dziewczyna ma więcej oleju w głowie niż ty i twój sztab. — Spojrzał na drzwi i dodał pół tonu ciszej: — Muszę wprowadzić do tej gry piątego asa, Cheesy. Wiesz o czym mówię?

— Nie — odpowiedział Chester Pierce. Było to zgodne z prawdą. — Szykujesz coś?

Harold Ballen stanął w nogach łóżka i pochylił się nad szefem swojego sztabu wyborczego.

— Ten cep Stafford — powiedział — zebrał ostatnie lewy w czterech stanach. To jest nic, nic to jeszcze nie znaczy, ale ci fakirzy, komentatorzy polityczni, nadają temu rozgłos. Nie chcę, żeby w listopadzie jakiś snopek z Florence w Południowej Karolinie drapał się w wiechowatą łepetynę nad kartą wyborczą. Dlatego musimy przejąć inicjatywę w tej grze, zepchnąć tego cepa do defensywy. Niech się broni, Cheesy, rozstrzygniemy wynik wyborów w tym miesiącu.

— Łatwo powiedzieć — zauważył Chester Pierce i zaraz tego pożałował. Harold Ballen dał mu niejednokrotnie boleśnie odczuć, że nie płaci mu za sceptycyzm.

— Musimy go przebić, Cheesy. Musimy zagrać tak wysoko, żeby ten cep oniemiał. Zanim się obudzi, zanim się rozchmucha i przejdzie do kontrataku, będzie po wyborach.

Chester Pierce oblizał wargi.

— Masz jakiś konkretny pomysł? — spytał i znowu tego pożałował. To on powinien mieć pomysły.

Kandydat prezydencki przespacerował się do lustra, popatrzył w nie niewidzącym wzrokiem i wrócił do swojego szefa sztabu. Postawił nogę na łóżku i oparł lewą rękę łokciem o kolano, zawieszając dłoń.

— Mam „Eksplodujący element kampanii wyborczej" — powiedział. — Ta dziewczyna z „Dutson Telegraph" nie kłamała. Ona tylko uprzedziła fakty.

— Co? — Chester Pierce, który słuchał tego spoglądając na but Harolda Ballena, but z brązowego kurdybanu na musztardowożółtej kapie łóżka, podniósł wzrok. — Chcesz upozorować zamach na siebie?

— Aha — odpowiedział kandydat prezydencki, Harold Ballen. — Mam już gotowy plan.

5.

Plan ten olśniewał prostotą i jasne było, że się powiedzie. W wersji kandydata prezydenckiego, Harolda Ballena, przedstawiał się następująco:

W przyszłym tygodniu wybiorą się do Chicago. Wybiorą się tam w ramach normalnej podróży wyborczej. Rano do tego miasta poleci Rosalynn, żeby wygłosić przemówienie na zebraniu aktywistek z Ruchu Wyzwolenia Kobiet. W podróży będzie jej towarzyszyć ktoś ze sztabu, jakaś opiekuńcza mamcia oraz dwaj goryle: Lee Donker alias Kruszynka i Mathews White alias Byk. Po lunchu do Chicago poleci on — Harold Ballen — Chester Pierce, Gene Temaner i Rusty Portman, i paroosobowa świta tych darmozjadów, którzy nic nie robią i nawet nie potrafią podetrzeć własnego tyłka, chociaż biorą ciężką forsę za organizowanie i reżyserowanie kampanii. Reszta tej zapieprzonej bandy uda się tymczasem do Green Bay, w stanie Wisconsin, dalszego etapu podróży wyborczej, żeby nadzorować przygotowania do imprezy politycznej mającej się tam odbyć nazajutrz po imprezie chicagowskiej. Po wygłoszeniu przemówienia Rosalynn pojedzie na lotnisko położone pod Chicago, gdzie będzie czekać, aż z kolei on — Harold Ballen — wygłosi przemówienie i dokooptuje do niej, żeby razem z nią polecieć do Green Bay w stanie Wisconsin — w ślad za forpocztą swojego sztabu, tą resztą tej zapieprzonej bandy darmozjadów. Około godziny piątej po południu Rosalynn znajdzie się więc na pokładzie jednego z trzech wynajętych śmigłowców, do którego wsiądzie także opiekuńcza mamcia oraz dwaj goryle: Lee Donker alias Kruszynka i Mathews White alias Byk. I może jeszcze ktoś, jakiś ekspert od reklamy, jakiś menażer, steward, pilot. W dwadzieścia minut później, kiedy on — Harold Ballen — opuści salę konferencyjną i zejdzie do samochodu, lub kiedy będzie już w drodze na lotnisko, nad pasem startowym wybuchnie mały gejzer ognia. Jeden z trzech wynajętych śmigłowców wzbije się w powietrze, zabierając Rosalynn, opiekuńczą mamcię, dwóch goryli, jakiegoś eksperta od reklamy, jakiegoś menażera, stewarda, pilota. Śmigłowiec ten wzbije się w powietrze uniesiony podmuchem wytworzonym przez dwanaście funtów eksplodującego plastyku.

9.

Chester Pierce siedział zgarbiony na łóżku i wyłamywał sobie palce u rąk.

— To jest samobójstwo — powiedział. — Nawet dziecko skojarzy ten zamach z tamtym nieudanym zamachem w Dutson.

*Rys. Janusz Szymański-Glanc*

Już wtedy jakaś rozhukana jednolatka wietrzyła propagandowy chwyt tam, gdzie go nie było. Teraz dopadną nas wszystkie wściekłe kundle z psiarni Cunninghama, Stafford uruchomi służby śledcze, Gliny, tajniacy z FBI zbadają każdy cal kwadratowy na tym lotnisku. Każde nasze słowo, każdy ruch zostanie przeanalizowany, przetworzony i naniesiony na dziurkowane karty. Ci mózgowcy po MIT-cie wsadzą je w komputer i... Boże, boję się myśleć, co będzie potem. Wypatroszą nas publicznie.

Kandydat prezydencki, Harold Ballen, uderzył się pięścią w kolano.

Spokojnie, Cheesy — powiedział skrzekliwym głosem. — Nie ma w tym najmniejszego ryzyka. Niech Cunningham spuszcza ze smyczy swoje kundle. Wtedy my podkręcimy Willa, Swintona, Jem-Jossa, O'Tuxtera, Bo Solo'a, Warde'a i innych. A co oni napiszą? Że dwa sfingowane zamachy to trochę za dużo, bo Ballen dokonując ich w takiej ilości zwiększyłby ryzyko, że któryś z nich nieopatrznie mu się udał. Wielkie nieba, napiszą, przecież w tym drugim zginęła jego żona! Zginęli ludzie z jego ochrony... Im więcej będzie trupów, Cheesy, tym lepiej... Rosalynn Ballen, napiszą, była dla swojego męża żywym kapitałem. Tutaj Will albo Jem-Joss poda liczbę wywiadów, których udzieliła, liczbę odbytych przez nią narad i szkoleń instruktażowych, i zapyta, komu zależało na pozbawieniu mnie mojego kapitału? Czy Ballen, zapyta, został kandydatem republikanów po to, żeby po trupach swojej rodziny i przyjaciół pozwolić Staffordowi suchą stopą, w butach o czystych podeszwach przestąpić próg Białego Domu? No, on to sformułuje z większą finezją. Jak znam Willa, to tak im dopierdoli...

— Stawiasz nas wszystkich, Bee, w obliczu katastrofy — powiedział szef sztabu wyborczego Chester Pierce.

— Wiesz, co? — odpowiedział kandydat prezydencki Harold Ballen. — Zachowaj ty te swoje stawianie w obliczu katastrofy na okazję jakiegoś oświadczenia telewizyjnego, okay? Będziesz mieć bez liku takich zapieprzonych okazji w przyszłym r. Wiem, że mierzysz wysoko.

10.

Kiedy otworzyłam oczy, leżałam w mroku rozpraszanym trójkolorowym światłem, którego źródła nie mogłam dostrzec. Wiszący przy łóżku na ścianie gobelin ozdobiony był wypukłym haftem wyobrażającym tajemnicze bóstwo pogrążone w kontemplacji, spowite palmetą, akantem i zawiłą ornamentyką wschodnią. Powietrze przesycał aromat perfum odurzających i słodkich jak woń kadzidła. Stonowana, uspokajająca muzyka grana na instrumentach szarpanych typu vina czy setar napływała z nieokreślonego miejsca.

Podniosłam rękę, by przetrzeć oczy i zobaczyłam na swoim środkowym palcu złoty pierścień. Złoto było niemal białe, z nikłym odcieniem chromoksydowej zieleni. Umieszczony w oprawie kamień błyszczał zimno niczym oko żmii.

Rozluźniłam mięśnie i ręka opadła mi bezwładnie. Byłam odrętwiała i oszołomiona. Leżałam tak może z minutę, wdychając kadzidlany aromat perfum, słuchając kojącej indyjskiej ragi i goniąc uciekające myśli. W końcu zebrałam siły i usiadłam na tym wygodnym mosiężnym łóżku.

Odruchowo spojrzałam po sobie i nie poznałam samej siebie. Te ręce, te nogi miały zupełnie inny wygląd niż moje. Były posłuszne mojej woli, ale zdawały się należeć do kogoś obcego. Zacisnęłam dłoń na jednej z tych opalonych nóg i nagle pojawił mi się w pamięci tamten dzień, kiedy po trwającym czternaście lat hipnotycznym śnie siedziałam na szpitalnym łóżku i tak jak teraz badałam swoje przywrócone do życia ciało. To samo niedowierzanie, to samo zadziwienie, ten sam niepokój.

— Jesteś, Anetto.

Popatrzyłam w głąb pokoju, skąd doszedł mnie ten głos tak cichy jak westchnienie. Przez chwilę widziałam tylko meble, ściany od spodu oświetlone żarówkami w trzech kolorach: szkarłatnym, złotawym i błękitnym, odblask tych świateł na ekranie wyłączonego telewizora i na wysmukłym wazonie stojącym na podłodze, i kotary zasłaniające okna. Dopiero kiedy zaczęłam rozróżniać szczegóły, dostrzegłam tę postać w fotelu naprzeciwko mojego łóżka.

— Witaj — powiedziała Laura Thomas.

11.

Och, wiedziałam, że to nastąpi. Wiedziałam o tym od dnia, kiedy po raz pierwszy jako istota z krwi i kości, znalazłam się w moim hipnotycznym świecie, a Laura Thomas, trzymając mnie za łokieć w tamtym przedpokoju, mówiła: „Pośpieszyłaś się. Każdego dnia i o każdej porze, byle nie teraz". Dała mi tym do zrozumienia, że niebawem powtórnie wezwie mnie do siebie. Byłam na to przygotowana. Bałam się, niemniej czekałam na jej wezwanie podniecona.

„Czy Laura Thomas sama posiadała umiejętność widzenia rzeczy niewidzialnych?" — zapytałam w „Oglądzie". — „Czy posiadała ją za życia?"

W „Inicjacji" mówi o sobie:

„Bywałam w aśramach i dyskutowałam z uczniami (...) Mistrzów. Znam trochę Wschód i jego filozofię. Tamtejsi ludzie przenikają i odsłaniają przed nami przyszłość...

Czy bywając w aśramach dostąpiła jakiegoś wtajemniczenia? Nie wiem. Nie wiem nawet, czy to faktycznie ona uchyliła przede mną furtkę do tamtego świata".

Wtedy miałam wątpliwości. Zresztą mam je do dzisiaj. Ale z tego i z następnych naszych spotkań wnoszę, że Laura Thomas stała wyżej ode mnie w wielostopniowej hierarchii duchowej, że była ogniwem pośredniczącym między mną a istnościami, które wyprzedziły nas w rozwoju (takimi jak Gabe), i że czerpała siły do swojej działalności z ich nieograniczonych rezerw.

12.

— Laura — powiedziałam. — Laura Thomas.

— Witaj w naszym świecie, Anetto. — Z natchnionym uśmiechem wstała z fotela i przeniosła się na łóżko. Popatrzyła na mnie tym znanym mi już wzrokiem i odniosłam wrażenie że zagląda mi w duszę. — Nie jesteś zdezorientowana — stwierdziła — i lęk cię opuścił. To dobrze.

Czubkami palców dotknęłam swojej twarzy. Zbadałam ją cal po calu — czoło, brwi, oczy, nos, usta, brodę, policzki. Mimowolnie rozejrzałam się za lustrem.

— To ciało Jane — powiedziała Laura.

— Tak — odpowiedziałam. — Wiem.

Opuściłam ręce i skrzyżowałam te silne, opalone nogi. Siedziałam w luźnej koronkowej koszuli nocnej, nieruchoma, w pozie lotosu pod bóstwem na gobelinie — jak żeńskie wcielenie Buddy. Owiewał mnie aromat kadzidlanych perfum, dźwięki stonowanej muzyki indyjskiej — koniecznie muszę użyć tu tych słów — pieściły moje uszy.

— Jesteś osłabiona — powiedziała Laura — i wydaje ci się, że twoim ruchom brak koordynacji. To szybko minie. Dam ci coś na wzmocnienie, Anetto.

Posłusznie wypiłam kilka łyków napoju ziołowego. Czułam, jak zwilża mi przełyk, który nie jest moim przełykiem, i spływa do żołądka, który nie jest moim żołądkiem. Groteskowe uczucie, groteskowa sytuacja.

— To pani mnie tu... sprowadziła, pani Thomas?

— Na imię mi Laura.

— Laura.

— Jestem przeciętną śmiertelniczką, Anetto, i nie mam żadnych nadprzyrodzonych mocy.

cdn.